Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron

Warszawa, 3 grudnia 1950 r.

Nr 36 Rok I

Biblioteka Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR Sopot

KAZIMIERZ BRANDYS

POKÓJ — TO BRZMI DUMNIE

Były to wielkie dni dla naszego miasta. Spoczęły na nim oczy świata, otoczyła je nadzieja i miłość milionów ludzkich serc. Głos Warszawy był w owych dniach głosem sumienia ludzkości, jej odwagą i dumą, jej najpiękniejszym językiem, zrozumiałym dla wszystkich — od Amazonki po Jang Tse-Kiang — dla wszystkich walczących o pokój, prawdę i wolność. Głos Warszawskiego Kongresu radiostacje nadawcze roznosiły na cztery strony świata. Słyszano go w dokach normandzkich portów i w przemysłowych ośrodkach Lombardii, na polach Korei i Vietnamu, w hutach Śląska i w odbudowanych domach Stalingradu; przedzierał się przez kraty amerykańskich więzień niosąc pokrzepienie tropionym i prześladowanym; brzmiał w dzielnicach bezrobotnych na ziemi krwi i przemocy; docierał do białych, żółtych i czarnych, do poniżonych i okłamanych. W eterze wyzwoleńcze wichry krzyżowały się wówczas z rozwścieczonym krzykiem wrogów wolności; słychać było jęki i świsty. To spłoszone widma Metternicha, Thiersa i Hitlera z głuchym wyciem opuszczały Europę, pozostawiając Trumanom i Marshallom obronę przegranej sprawy.

Nad placami i ulicami Warszawy, pod niebem na przemian słonecznym i dżdżystym, trzepotały chmury białych gołębi na błękitnych sztandarach pokoju. Ludzie przystawali, podnosząc ku nim głowy. Warszawa lubi gołębie, zna je od lat z podwórek i dachów; teraz zaczęła je oglądać na nowo: zwycięskie, łagodne ptaki, wypuszczone triumfalnym rojem z miliarda rąk, przetworzone dłonią artysty w znak walki o pokój — wysoko wzbiły się ponad nowe mury i dachy warszawskie. Barwne pęki flag wszystkich narodów świata szumiały na rogach ulic, jak drzewa zakwitłe w listopadzie. Stolica Polski nie była w tych dniach podobna do żadnego miasta kuli ziemskiej. Trudno było wyjść z tłumów zalewających śródmieście wielkim, radosnym gwarem.

✣

Kiedy przy dźwiękach poloneza Chopina otwarto Kongres Warszawski i Prezydium zaczęło zajmować miejsca na trybunie — dwa tysiące ludzi zebranych w ogromnej hali Domu Słowa Polskiego doświadczyło jednego uczucia: niezłomnej pewności, że mężczyźni i kobiety, którzy tu przybyli z najdalszych okolic globu, aby bronić pokoju — są moralnymi ustawodawcami współczesnego świata. Na trybunie, przy stołach delegatów zasiedli obok siebie uczeni, robotnicy, artyści; matki i inwalidzi, dziewczęta i starcy, świeccy i duchowni. Ludzie różnych kultur i różnych poglądów, których „brytyjska tradycja wolności" odepchnęła od brzegów Wyspy ciężką łapą policemana, zgromadzili się w stolicy ludowego państwa, aby ideą i słowem, wolą i rozumem przeszkodzić największej zbrodni, jakiej ludzkość może paść ofiarą.

Jest to nowe zjawisko w dziejach powszechnej świadomości, przełomowy punkt w historii zbiorowych czynów świata. Z tak pełną wiedzą, z tak nieugiętą wiarą człowiek nigdy jeszcze nie walczył przeciw wojnie. Od tysięcy lat wpajano mu przekonanie, że zaborcze agresje służą świętym celom — ojczyźnie lub zbawieniu duszy, dynastii czy obronie granic. Pędzono lud na wojny rzymskiego imperium, na krucjaty papiestwa, na rzezie stu- i trzydziestoletnie, na jatki cesarskie i imperialistyczne. Lud wyruszał na nie i ginął. Wojnę przedstawiano mu jako konieczne zjawisko związane z fizjologią ludzkości, jako prawo bytu zbiorowego, któremu każdy musi ulec, tak jak ulega prawu narodzin i śmierci. Miliony ludzi wierzyły w to prawo przez setki lat. Czyż nie znamy takich, którzy wierzą w nie jeszcze dziś?

Rewolucyjna myśl naszej epoki obnażyła wiele kłamstw i nauczyła ludzi przygważdżać je do ziemi. Zdemaskowała wiele zbrodni i pomogła narodom przed nimi się bronić. Najbardziej zbrodniczym kłamstwem, jakie ukazała oczom ludzkim, był imperialistyczny mit o konieczności wojen. Najbardziej zbrodniczą prawdą, jaką wykryła — były prawdziwe cele wojen imperialistycznych I tylko dzięki niej, postępowej, rewolucyjnej idei naszego czasu, nieustraszonej awangardzie myśli ubiegłych stu lat, która dała ludom wiedzę o prawach rządzących ich losem i środki do jego przekształcenia — tylko dzięki niej mógł Pietro Nenni z trybuny Warszawskiego Kongresu rzucić światu słowa: BYĆ MOŻE, IŻ WOJNA BYŁABY NIEUNIKNIONA, GDYBY NIE NASZ RUCH, GDYBY NIE MY — OBROŃCY POKOJU.

✣

Kim są obrońcy pokoju? Kogo reprezentowało około dwóch tysięcy delegatów, zebranych w sali Kongresu?

„Głos Ameryki" usiłuje ich przedstawić jako „agentów Kremla", poczynając od dziekana Johnsona i księdza Boulier, włącznie z Arnoldem Zweigiem, Fryderykiem Joliot Curie i Howardem Fastem. Zbyt dobrze wiemy, kto się kryje za „Głosem Ameryki", ażeby się temu dziwić. W oczach funkcjonariuszy Federalnego Biura Śledczego (FBI) agentami są zapewne wszyscy — nawet matka, która straciła syna w ostatniej wojnie, i mała dziewczynka prosząca Kongres: „Chcemy być szczęśliwymi dziećmi. Pomóżcie nam".

Ale pozostawmy imperialistyczne szczekaczki tym, co chcą słuchać imperialistycznego szczekania. Ludzie, którzy z nad odległych rzek, z dalekich miast i wsi pięciu części świata przyjechali do Warszawy, aby układać pokojową konstytucję ludzkości — nie byli wysłannikami tajemniczych, anonimowych sił. Różnymi językami mówili w imieniu setek milionów swych białych, żółtych i czarnych braci, których podpisy widnieją pod Apelem Sztokholmskim. Wyrażali wolę i myśl — nie kilkudziesięciu rodzin złączonych z sobą pokrewieństwem wspólnie wyciskanej krwi — lecz wolę i myśl ludów całego świata połączonych mądrą miłością pokoju i nienawiści do zbrodni. Tak, delegaci na Kongres Warszawski przybyli jako agenci: agenci prawdy i rozumu walczący o bezpieczeństwo narodów przed furią szaleńców, tak jest, przyjechali jako emisariusze: emisariusze niewinnej krwi przelewanej w Vietnamie, i dymnych chmur buchających z bezbronnych miast Korei. Dwa tysiące delegatów radziło w sali Kongresu. Ale czyż pomieściłaby ona wszystkich ich mocodawców? Nie pomieściłby ich nie tylko Dom Słowa, ale nawet całe nasze miasto, cały nasz kraj... Tak wielkie są i liczne nieszczęścia ludzkie wynikłe ze zbrodni imperializmu, i z drugiej strony, tak potężny i rozległy jest obszar sprawiedliwej walki o lepszy los człowieka na ziemi.

Ile twarzy, ile różnobarwnych postaci, ile historii przesunęło się przez salę Kongresu w ciągu tygodnia obrad! Napisy z nazwami narodów, widniejące na stołach, mówiły o dziejach ostatnich lat, miesięcy, dni. Oto delegacja francuska: czyż nie znalazł się w niej jeden z przyjaciół Henryka Martin, żołnierza skazanego na więzienie przez sąd Czwartej Republiki za to, że ośmielił się głosić prawdę o bohaterskiej obronie ludowych wojsk w Indochinach? Znamy go przecież: pisał o nim Vercors w swym pięknym liście do redaktora „Lettres Françaises".

Kobietę koreańską, która mówiła nam o płomiennej walce swego narodu, słuchacze znieśli na rękach z trybuny. Być może, iż jej młodsza siostra musiała uciekać z rodzinnego miasta, gdy zapłonęło od bomb faszystowskich najeźdźców. Znamy ją również: ileż podobnych dziewcząt wędrowało szosami z polskich miast, pustoszonych przez hitlerowskie szturmówki pancerne...

Delegaci chińscy przybyli bronić pokoju po dwudziestu latach wojny z imperializmem, zakończonej zwycięstwem. Przedstawiciele Związku Radzieckiego, kołchoźnicy, stachanowcy, pisarze i dawni żołnierze, mogliby nam opowiedzieć nie jedno o krwawym oporze Stalingradu, o dziejach Małej Ziemi, ogarniętej faszystowskim zalewem; mogliby również podzielić się z nami nie jedną opowieścią o dobrodziejstwach czasu pokoju, gdy wolna ziemia radziecka rodziła nowe owoce i nieznane gatunki zbóż, gdy zmieniała swe krajobrazy i łożyska rzek, aby lepiej służyć człowiekowi.

Widzieliśmy ludzi z plantacji południowo-amerykańskiego wyzysku i innych, zrodzonych ze znoju górników w kopalniach brylantów, pisarzy wygnanych ze swego kraju przez reakcyjne rządy — i puste miejsca w Prezydium przeznaczone dla tych, których reakcyjne rządy nie chciały poza granice ich krajów wypuścić. Olbrzymi szmat bieżących dziejów, rozliczne dramaty, trudy poświęceń, cienie więziennych cel, blaski bitewnych ognisk, entuzjazm i gniew — wszystko to owiało Kongres Warszawski potężnym, gorącym tchnieniem.

✣

Absolutna niemal jednomyślność uzyskana przez obóz pokoju w głosowaniu nad Manifestem, nie była mechaniczną większością rąk pociągniętych do góry amerykańskim sznurkiem; Kongres Warszawski w niczym nie przypominał obrad ONZ. Półtora z górą tysiąca delegatów głosujących za Kartą Pokoju nie wyrażało interesów klik finansowo-politycznych, nie służyło niczyim machinacjom. Mandaty ich stanowiły miliony podpisów złożonych przez ludzi z obu stron równika, ludzi z różnych klas, zawodów i krajów. Składali podpisy, idąc za głosem rozumu i sumienia, w wielu wypadkach narażając się na szykany, prześladowania i bojkot. Są jeszcze kraje na świecie, w których czyn zgodny z rozumem i sumieniem uważany jest za przestępstwo.

Podpisów zebrano pół miliarda — przeszło dziesięć razy więcej niż liczy ludność! Francja, Anglia albo Italia, prawie cztery razy więcej niż Stany Zjednoczone. Z pół miliarda podpisów każdy mówi światu: „Pokój zwycięży wojnę. Wrogowie pokoju są wrogami ludzkości". Pół miliarda ludzi ogłosiło Manifest do narodów świata i orędzie do ONZ wzywające do obrony pokoju. W Manifeście umieszczono zdanie, które niewątpliwie przejdzie do historii myśli i woli ludzkiej walczącej o dobro przeciw złu:

„II Światowy Kongres Obrońców Pokoju dowiódł z niebywałą siłą, że ludzie, którzy zjechali się z pięciu części świata, mimo różnicy poglądów, mogą się między sobą porozumieć, aby zapobiec klęsce wojny i ocalić pokój. Niechaj rządy postępują podobnie, a sprawa pokoju będzie uratowana".

Pół miliarda ludzi powołało do życia Światową Radę Pokoju, której zadaniem jest czuwać nad bezpieczeństwem ludzkości.

Sprawa pokoju będzie uratowana. Po Wielkim Kongresie Warszawskim, nazajutrz po jego rozstrzygających uchwałach, gdy powiewały jeszcze nad naszym miastem błękitne sztandary z gołębiem, wszystkie inne miasta na świecie budziły się do pracy bezpieczniejsze niż przedtem. Kongres Warszawski roztoczył ochronę nad ziemią wszystkich kontynentów, nad dachem każdego domu, nad matką usypiającą swe dziecko, nad człowiekiem wracającym z fabryki czy z pola.

Nigdy jeszcze słowo POKÓJ nie brzmiało tak dumnie, jak dzisiaj.

Kazimierz Brandys

WARSZAWA — LAUREATEM HONOROWEJ NAGRODY POKOJU

Warszawa — wysiłkiem mas pracujących dźwigająca się z ruin i ran — zadanych Jej przez hitlerowskich barbarzyńców — do nowego życia, Warszawa kochana przez cały Naród — Stolica Polski Ludowej — otrzymała zaszczytne wyróżnienie, jako miasto-symbol odbudowy.

Masy pracujące Warszawy z radością i wdzięcznością przyjmują to wyróżnienie — przyznane naszej Stolicy przez Światowy Obóz Bojowników o pokój. Honorowa Nagroda Pokoju będzie chlubą i dumą naszego miasta.

Lud Warszawy z jeszcze gorętszym entuzjazmem i ofiarnością prowadzić będzie pokojowe dzieło odbudowy Stolicy, z głęboką wiarą, że każdym dniem swej pracy — służy sprawie umocnienia pokoju.

Lud Warszawy, na czele mas pracujących Polski z honorem wypełni swe zadanie w walce o zwycięstwo pokoju na świecie.

JERZY ALBRECHT

Przewodniczący Stołecznej Rady Narodowej

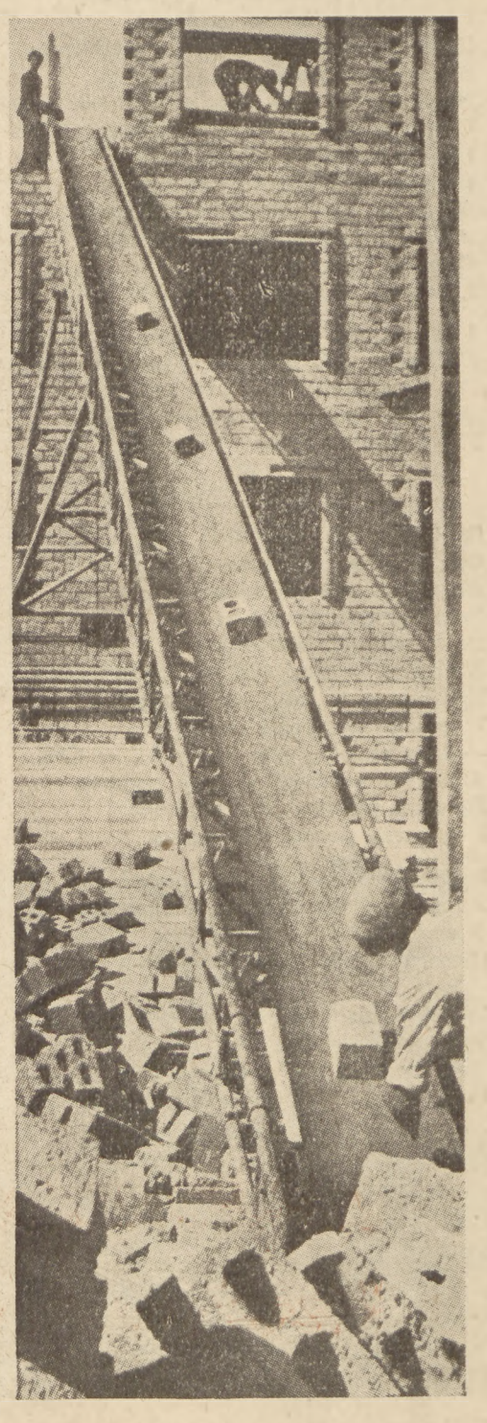

Zdjęcia z wydawnictwa: Bolesław Bierut „Sześcioletni Plan Odbudowy Warszawy", „Książka i Wiedza", 1950 r.

KONSTANTY SIMONOW

Przełożył WIKTOR WOROSZYLSKI

Wiersze z cyklu „Przyjaciele i Wrogowie"

WIEC W KANADZIE

W milczeniu na trybunę wszedłem.
Wojną pachniała wielka sala,
A cisza — ciszą, którą przerwie
Nieprzyjacielska pierwsza salwa.
Oto trzy pierwsze rzędy — o nich
Wcześniej zdążyła dotrzeć wieść już,
Że nas wygwiżdżą na tym wiecu
Na znak wypowiedzenia wojny
Wszedłem i zobaczyłem — ich,
Ich — o dwa kroki, ich — w trzech rzędach,
Ich — wypasionych, młodych, złych,
W płaszczach, z gumą do żucia w zębach,
Ręce w kieszeniach, mina harda,
Noga na nogę założona...
Twarz wroga — a więc oto ona!
A z tyłu tylko sala czarna,
Nie widać twarzy. Przyjaciele?
Tak, wierzę, że tu są na pewno,
Są na tej sali, są tu ze mną,
Lecz tam, gdzie ciemniej, tam, gdzie cienie,
Ukryci w głębi — są na pewno,
Więc niech się choć ich oczy żarzą,
Świecąc mi, jak przewodnia gwiazda!
Za trzecim rzędem mrok już nastał,
Pierwszy mi dymi prosto w twarz.
Poczuwszy niemal oparzenie,
Zaczynam mowę swoją tak,
Jakbym się zrywał do ataku,
By iść, by się nie wtulić w ziemię:
— Stalingrad, Stalin, Związek Rad! —
I oto nimem pojął, naraz
Z tyłu nieznaczny dobiegł hałas,
A zaraz potem, niby grad,
Fala, lawina, burza nagła —
I już nie wstrzyma siła żadna
Głosów, co jak ogromna góra
Runęły niespodzianym „hurra"!
Minęła północ, niedaleko
Już świt, a wielki wiec nasz trwa wciąż,
Ludzie śpiewają, wstają, klaszczą,
Na sali się oddycha lekko —
I tylko milczą te trzy rzędy,
Milczą, bo będzie z nimi źle,
Czwartą godzinę z rzędu lęk
Nie dał im puścić pary z gęby.
— — — — — — — — — — — —
Lecz końca nie opowiedziałem.
A jest on zwykły: dzisiaj, kiedy
Wojną nam czasem grożą, wtedy
Wspominam sobie ową salę.
Salę!
A nie trzy pierwsze rzędy!..

CZERWONE I BIAŁE

Na dzień ten miałem obiecaną
Wycieczkę do murzyńskich dzielnic,
Przez miasto skok, przez rysę czarną,
Co nigdy nie przestała dzielić —
Ukryta, lecz nie zabliźniona
Przez pisaninę litościwą,
Przez Johna Browna krew uczciwą,
Przez Beecher-Stowe ani Lincolna.
Mieszkaliśmy w tym najwspanialszym
Hotelu (to istotny szczegół),
Dokąd nie każdy będzie pchał się
I przyjmą także nie każdego;
Dzień w dzień w hotelu na wywieszce
Świeżą drukarską farbą błyszczy
Numerowany spis tych wszystkich,
Co tu zamieszkać mieli szczęście;
Plejada nazwisk znakomitych
(W tym raju roje ich się kryją):
Aż dwóch monarchów niedobitych,
Trzech byłych prezydentów z Rio,
Czterech pomniejszych podopiecznych
I, oczywiście, mister Churchill.

I oto tu, do domu — sanktuarium,
Co jeszcze nas przyjęło, krzywiąc wargi,
By do Harlemu zawieźć mnie,
Jak najzwyczajniej, w biały dzień
Przyjechać po mnie
ma
Murzynka.

Spytałem, czy nie będzie dobrze
Oszczędzić czasu, schodząc na dół,
Ale obyty tłumacz odrzekł,
Że absolutnie by nie radził,
Że to wywoła idiotyczny,
A zresztą — tutaj dość zwyczajny
Komentarz, iż sobie nie życzę
W pokoju obecności czarnej.
— Lecz przecież jam radziecki! — Cóż,
Ona tym bardziej do was wejdzie,
By serca bólem czuć i wiedzieć
I być was pewną całą duszą.

Posłuszniem więc godzinę czekał,
Aż się zjawiła, by mnie zabrać —
Niemłoda, siwiejąca z lekka,
Cicha, o zaciśniętych wargach.

Wśród swoich — jest nauczycielką.
Tu — portier drogi nie ustąpi,
Tu — czarna wola siłą wielką
Do przejścia halli zmusza stopy.

W windzie znaleźliśmy się — sami.
Windziarz, w zgorszeniu nader przykrym,
By skrócić obcowanie z nami,
Pędził, mijając pięter cyfry.

Przeważnie gwarny, lecz nie wesół
Był hall, spowity w dymu obłok.
Czekając na coś pośród krzeseł,
Nie widział przechodzących obok.
Przeważnie.
Ale tego rana
Hall oczy wybałuszał na nas.

Gapił się, wykręcając szyje karkołomnie,
Gapił się, nie trafiając cygarami w usta,
Gapił się, jak na ulicy nagle na nagusa,
Jak na wybuchający niespodzianie płomień.

Skóra tłumacza i moja — była biała,
Kobieta miała czarną barwę skóry,
Ale naprawdę kolor z nami wspólny
Z wszystkich obecnych
tylko ona miała.

Szliśmy we trójkę przeciw spojrzeń kulom,
Pod ręce wziąwszy się, parując każdy strzał ich,
Swoim widokiem tamtych policzkując,
Troje czerwonych —
szliśmy przez tłum białych.

Jam całym ciałem, mijając szpaler, czuł tam,
Czuł skórą pięści zaciśniętych swych:
Świat się nie dzieli na czarnych, śniadych, żółtych,
Lecz na czerwonych — nas
i białych — ich.
Na białych, których, jeśli przyjrzeć im się,
Wygląd na wszystkich lądach jest już znany,
Na białych — tych, których widzieliśmy w dzieciństwie,
W tym właśnie sensie. Więcej w żadnym.
Na białych, których w Afryce czy w Europie
Kiedyś czerwoni — pośród bitwy dymu,
Przerwawszy front, jak my na Perekopie,
Zrzucą do morza — jak my swoich z Krymu!

BAZA WOJENNO-MORSKA W MAJDZURZE

Nad zatoką ptaki ze śniegiem
Przecinają ukośnie horyzont,
Stada chmurek wysoko w niebie
Mew gromady na sobie kołyszą.

Długa jest zatoka i krzywa,
Długi, głośny jest każdy dźwięk w niej,
Niby do uliczki kamiennej,
Do zatoki swym czółnem wpływam.

Dziesięć grzmiących powita ech cię,
Ale żadne umierać nie chce,
Jak ludzkiego życia najdłuższy
Bieg, co cichnąc, wciąż jeszcze huczy.

Później taka cisza nastaje,
Że usłyszysz z dalekich urwisk,
Jak, szturchając się w boki wzajem,
Przepływają pod wodą chmury.

Niebo nosi tu barwę popiołu,
Góry — barwę rzadkiego tuszu.
Dość mam, dość mam już cudzych sporów,
Dość mam cudzych ciekawych uszu.

Dość mam porucznika O'Quisley,
Co pracuje w pewnym wywiadzie
I na znak żołnierskiej przyjaźni
Ciągle wgłębia się w nasze myśli.

On po plecach klepie nas chętnie,
Chwali smak naszych papierosów,
Uważając wszystkich za osłów,
Wciąż zadaje pytania natrętne.

Zbyt nużący warunek trochę —
Przez pół roku nieomal tu już
Co dzień pić z wywiadowcą zdrowie
„Ludu, który reprezentuje".

Być naiwnym się odechciało,
Dawno cisnąłbym „pal to diabli",
Lecz O'Quisley duszą i ciałem
Jest oddany nam. Ściślej — d o d a n y.

Swoją chęcią świadczenia usług
Męcząc nas do odjazdu statku,
Jeszcze z brzegu z jawnym przymusem
Pośle uśmiech po raz ostatni.

Nad zatoką — mew głodne wrzaski,
Stary śnieg pokrył górskie szczyty,
Krążowników japońskich maszty
Sterczą w górę, jak ostre dzidy.

I podwodna łódź hitlerowska,
Co, na przełaj przebywszy glob,
W dzień upadku Berlina przywiozła
Dyplomaty cenną osobę.

Fal zatoki zmęczone dłonie
Klaszczą w luki, płynąc koło niej.

Opiekunie nasz nieodłączny,
Gdzie pan jest, O'Quisley, w tej chwili,
Dobry duchu nasz, klawy chłopcze
I kolekcjonerze opinii?

Jakże musiałby pan się dziwić,
Zapewnienia słysząc niemądre,
Że po prostu chciałem tam widzieć
Tylko niebo i tylko wodę,
I tylko pochmurną pogodę,
I tylko północną przyrodę,

Tylko śniegu płatki ukośne,
Przypominające mi Rosję.
Domyśliwszy się tego przypadku,
Miast się pętać w mym towarzystwie,
Czas swój spędzać mógłby wszak pan tu
Znacznie lepiej w barze, przy whisky.

A poza tym — cóż, kiepsko raczej,
Uspokajać pana nie będę:
Komunizm zwycięży wszędzie!
Pan się trwoży? Tu ma pan rację!

W KLUBIE KORESPONDENTÓW

W gazetach znów o wojnie piszą,
Znów wymyślają na Rosjan i na Rosję,
I tłumacz z miną najżyczliwszą
Z obcym akcentem tłumaczy słowa obce.

Dziennikarzyna plugawy z „Nankin News",
Z butelką do mnie idzie; pewnie
Że się upiję marzy w głębi duszy
I rewelacje zdradzę mu o Kominternie.

Potem się sam zaleje i odejdzie.
Wszystko, jak wczoraj. Cierpliwości, przyjacielu!
Szyby się pocą, osmagane deszczem
I słychać jęk kaloryferów.

Cóż ci powiedzieć mam, dopóki tamten
Z butelką swą nie dotarł do mnie jeszcze?
Że kocham ciebie? — Tak.
Że tęsknię? — Tak.
Że się starałem przestać tęsknić bezskutecznie?

Tak. Kiedy już nie namiętnością wczesną
Z kobiety uczyniłeś losów towarzyszkę,
Nie cudem łatwym, lecz trudną siłą męską,
Gdy — aby zawsze razem — dobre są środki wszystkie,

Gdy ona nie jest już przeczuciem tylko
Czegoś, co może wcale nie nastąpi,
Lecz długim pasmem spotkań i rozłąki,
Miłości z wojną o me życie pojedynkiem,

Wtedy już bardzo trudne jest rozstanie,
Z za burty statku chusteczka jej nie machniesz,
W piersi głębokie tkwi — odłamek kraju,
Dać znać o sobie bólem gotów zawsze.

Ani wysłuchać, ani przez rentgen ujrzeć...
A na obczyźnie — nierówne serca tętno.
Nie wyjąć — wszędzie wlec za sobą śmierć swą,
A wyjąć — to natychmiast umrzeć.

Tak siła całej tęsknoty do ojczyzny,
Z tęsknotą moją do ciebie się łącząc,
Nagle brutalnie ściska serce dłonią swą.
Lecz bez tej dłoni cóż bym czynił?

— Hallo! Jak się pan ma? Nie przeszkodziłem?
Co dziś pijemy — whisky, rum?
— Cokolwiek. —
Zaraz go rąbnę z całej siły
I jeszcze dokończymy tę rozmowę!

PLAC CZERWONY

Na zegarze Wieży Spasskiej — północ.
Owianemu wiatrem wielu szlaków
Jak to dobrze raz się przestać tułać
I u celu, w środku świata, stać tu.

Gdy na długo wraca się, na zawsze
Przez pięć lat z dziesięciu krajów obcych,
Z wszystkich uczuć — to jest najwspanialsze:
Milcząc, stać pod murem Kremla w nocy.

Żeby nie jak coś, co dawno przeszło,
Pod powiekę opuszczoną wdarł się, —
Lecz po prostu — bruk czuć pod podeszwą,
Widzieć strzałek ruchy na zegarze,

Wiedzieć, że to tutaj, pod sklepieniem,
Co nad wielką salą ciężko zwisa,
Właśnie teraz, w długim zamyśleniu
Stalin się przechadza, jak zazwyczaj.

Cóż, niech będzie, że sto czyichś ust już
Znało wcześniej strofę tę i obraz —
Myśmy zespolili się w uczuciu
Tak, że innych słów nie zdołam dobrać.

Niby skądś z daleka tupot koni,
Jednostajny letni deszczyk ciepły
I leniwie klaszcze tysiąc dłoni
Małych kropli, co na plac pociekły.

Ale oto przez szum deszczu słychać
Za plecami krok czyjś niewidzialny, —
Wszyscy, którym lżej tu się oddycha,
Z ziemskiej kuli u nas się zebrali.

Nam przyjechać metrem z dworca — łatwo,
Łatwo nawet spod bieguna frunąć,
Ale tam za słowo „Lenin" płacą
Cel więziennych samotnością trudną.

Oni jadą z krajów, gdzie policja
Za ruch ręki — zdepcze ich i porwie,
Z krajów, gdzie krwią broczą po ulicach,
Broniąc flagi swojej purpurowej.

Jadą z krajów, w których zakopują
Żywcem w ziemię, palą ich i męczą.
Jadą z krajów, w których zdrajca kulą
Łatwo ich dosięga w parlamencie.

Chętnie stamtąd wszyscy by tu przyszli,
Lecz nie przyjdą, chociaż serce rwie się —
Trzeba trwać na miejscu. Tylko myśli
Spotykają się przy Spasskiej Wieży.

Tam, daleko, trudna trwa robota,
Niewidoczne są za mgłą ich oczy,
Ale o północy przez te wrota
Serc gromada na nasz Kreml przychodzi.

Może to dlatego nocami
Długo światło płonie w Kremla oknach?
I dlatego, gdy mówimy z wrogami,
Twardy jest głos i wzrok nasz!

KAROL MAŁCUŻYŃSKI

Warszawa w planie sześcioletnim

Warszawa otrzymała Międzynarodową Nagrodę Pokoju.

Bywały miasta, które otrzymywały odznaczenia i ordery wojskowe, które dekorowano za męstwo okazane w boju, za bohaterstwo w walce.

Warszawa otrzymała najchlubniejszy order za męstwo w pracy i za bohaterstwo w odbudowie.

Historia nie zna precedensu, by wróg postanowił miasto zgładzić. Nie obrabować, nie podpalić, nie zdobyć — a właśnie zgładzić. Tym wrogiem był faszyzm. Decyzja zgładzenia Warszawy zapadła. Zwykle wróg wydaje rozkaz zniszczenia obiektów wojskowych lub próbuje przynajmniej usprawiedliwić zniszczenia koniecznością wojskową. Tym razem historia wzbogaciła się o zupełnie niezwykły dokument — niezatarte świadectwo zbrodni dokonanej z premedytacją: Rząd Polski przedłożył w swoim czasie Międzynarodowemu Trybunałowi Wojskowemu w Norymberdze pismo datowane: Warszawa, 11 października 1944 godz. 10.40 Nr 13625, zatytułowane: „Betrifft: neue Polenpolitik" — „Dotyczy: nowej polityki wobec Polski". W piśmie tym m. in. czytamy: „...pk. 2). Obergruppenführer von dem Bach otrzymał nowy rozkaz. Warszawę należy spacyfikować, to znaczy jeszcze w ciągu wojny zrównać z ziemią, o ile konieczności wojskowe związane z umocnieniami nie stoją temu na przeszkodzie. Przed zburzeniem należy usunąć wszystkie surowce, tekstylia i meble. Główne zadanie spoczywa na administracji cywilnej. Powyższe podaję do wiadomości, ponieważ ten nowy rozkaz Führera o zburzeniu Warszawy ma olbrzymie znaczenie dla dalszej nowej polityki w sprawie Polski. Podpisane: Gubernator Dystryktu Warszawa, czasowo w Sochaczewie, Dr Fischer" (cytuję wg. protokułu z przesłuchania Von dem Bacha przez prok. Sawickiego w Norymberdze, trzeci dzień przesłuchania d. 28 stycznia 1946 r.).

Powtórzmy i zapamiętajmy: „...Zrównać z ziemią, o ile konieczności wojskowe związane z umocnieniami nie stoją temu na przeszkodzie..." A więc nie zniszczenie pod pretekstem konieczności wojskowej, ale całkiem odwrotnie: świadome, zamierzone zgładzenie miasta, z wyjątkiem właśnie obiektów wojskowych.

Ten dokument — to kwintesencja hitlerowskiej ludobójczej „polityki", to kwintesencja faszyzmu, który dążył do zagłady i ekstreminacji narodów podbitych.

Wiemy dobrze, że rozkaz ten był wypełniany z całą ścisłością, z żelazną bezwzględnością i — dodajmy — przy pomocy olbrzymiej, specjalnie w tym celu stworzonej organizacji technicznej, transportowej, wojskowej, gospodarczej itd. „Główne zadanie spoczywa na administracji cywilnej" — mówił rozkaz i administracja cywilna uruchomiła olbrzymi aparat dla wykonania swego głównego zadania. Przyjdzie czas, gdy poznamy z dokumentów tryby tej maszyny, jej rozgałęzione ogniwa. Dziś znamy skutki jej działania. Wiemy, że miasto — milionowe miasto — zostało ewakuowane do ostatniego mieszkańca, że zorganizowano planowy rabunek, że specjalne oddziały według specjalnych planów rozpoczęły niszczenie miasta: ulice, domy, pomniki, budowle zabytkowe — o niczym nie zapomniano. Mało znanym jest fakt, że specjalne jednostki odkomenderowano do wycinania drzew i zieleni. Pewno przeszkadzała w rozchodzeniu się ognia.

Dość na tym. Zbrodniarzom wydawało się, że cel został osiągnięty. Führer obwieścił w Reichstagu, że Warszawa stała się punktem geograficznym na mapie Europy. Gdy wchodziło się do wyzwolonej Warszawy 1945, gdy w tych dniach styczniowych przemierzało się warszawskie wąwozy — bo ulic nie było, i spoglądało się na warszawskie ruiny — bo domów nie było, wydawać się mogło, że zbrodnia została dokonana. Że miasto zginęło.

A przecież nie tylko o miasto — jedno z wielu — chodziło. Przecież chodziło o miasto-stolicę, o miasto w którym od wieków koncentrowało się życie kulturalne, gospodarcze, społeczne i polityczne, o miasto pełne archiwów, muzeów, bibliotek, zabytków i pomników, o miasto, którym żyła Polska i które żyło Polską.

Wydawało się, że to miasto przestało żyć.

Nie będziemy powtarzać historii niezwykłego, porywającego powrotu wygnańców do Warszawy. Powtórzymy tylko decyzję, którą powzięła pierwsza w naszym narodzie młoda, ludowa władza: „Warszawa pozostaje stolicą Polski. Warszawa będzie odbudowana!"

Niektórzy nazywali wtedy tę decyzję szaleńczą, goście z zachodu — nie szczędząc nam patetycznych słów współczucia — mówili o symbolicznym „geście", który miał być wyrazem hołdu dla bohaterskiego miasta. Inni wreszcie, nie umiejący zgłębić ogromu przemian, jakie się w Polsce dokonały, mówili, że odbudowa Warszawy to praca dla wielu pokoleń, że przerasta nasze siły.

Z entuzjazmem, wiarą i pełnym zaufaniem przyjął tę decyzję lud warszawski. Przyjął ją z entuzjazmem i pracą ofiarną podcyfrował. W najcięższych chwilach z braterską pomocą przyszli radzieccy ludzie, wojsko radzieckie, rząd Związku Radzieckiego.

I oto gdy niektórzy chcieli już nad Warszawą śpiewać requiem, gdy inni szerzyli niezdrowy, rozkładowy, demobilizujący kult „umęczonego miasta" i za przedmiot dumy podawali ogrom warszawskich zniszczeń, Warszawa poczęła się dźwigać, a warszawscy robotnicy za przedmiot chluby obrali ogrom warszawskiej odbudowy.

Minęło lat pięć i pół. Tętniąca pracą i — przysłowiowym już — „warszawskim" tempem stolica Polski, przystrojona odświętnie, rozjarzona tysiącem świateł przyjęła w swych murach II Światowy Kongres Pokoju, przyjęła posłów pokoju z 80 krajów. Delegaci przybyli z pięciu części świata, mówiący dziesiątkami języków, w podziwie stanęli przed miastem-symbolem, przed świadectwem triumfu pokojowej pracy nad wojenną zagładą.

Miasto Warszawa zostało odznaczone Międzynarodową Nagrodą Pokoju.

Wyjeżdżając z Warszawy delegaci narodów zjednoczonych w walce o pokój otrzymali książkę. Książkę niezwykłą — jak niezwykła jest historia odbudowy Warszawy. Piękny album, 370 stron fotografii, plansz, planów i rysunków — najwyższej klasy osiągnięcie graficzne i wydawnicze — nosi tytuł: „Sześcioletni Plan odbudowy i przebudowy Warszawy."

Myśl była prosta — zilustrować, zdanie po zdaniu, niemalże słowo po słowie, przełomowe dla historii odbudowy Warszawy przemówienie Prezydenta Bieruta, wygłoszone na I warszawskiej konferencji PZPR, w lipcu 1949.

Przemówienie Prezydenta — to nie tylko nakreślenie wielkich linii sześcioletniego planu odbudowy i przebudowy Warszawy, planu który porywa rozmachem i zdumiewa precyzją. Socjalistyczne planowanie bada przeszłość, poddaje ją krytycznej analizie, zachowuje pieczołowicie to, co w przeszłości wartościowe i twórcze, nawiązuje do najlepszych wzorów i najchlubniejszych tradycji historii. Równocześnie zaś planowanie wybiega daleko w przyszłość. Budując dzisiaj, zdaje sobie sprawę, że stwarza fundament pod budowanie jutrzejsze. Uwzględniając potrzeby dnia dzisiejszego, nie zapomina o skali, jaką się posługiwać będzie przyszłe pokolenie.

Toteż przemówienie Prezydenta o Planie 6-letnim jest zarazem lapidarnym skrótem i syntezą historii Warszawy, jest też wytyczeniem jej głównych linii rozwojowych na przyszłość dalszą, niż granice sześciolatki.

Niełatwe było wykonanie tej „prostej myśli": zilustrować „przemówienie". Tam gdzie mówi o przeszłości — pomóc pamięci i zacierającym się wspomnieniom. Gdzie mówi o dniu dzisiejszym — utrwalić dokument chwili. Gdzie mówi o przyszłości — wesprzeć wyobraźnię planem, uplastycznić rysunkiem, wzmocnić makietą.

Trudności, jakie stają przed tego typu wydawnictwem są bardzo różnorodne. Wspomnijmy tylko ogólnie o tym, że zniszczenie Warszawy pociągnęło za sobą zniszczenie materiałów archiwalnych, że dziś zdjęcia Warszawy przedwojennej należą do prawdziwych rzadkości, że wreszcie brak niemal zupełny fotografii, ilustrujących upośledzenie dzielnic robotniczych, brak fotografii ukazujących kontrasty i dysproporcje miasta kapitalistycznego.

Trudnością innego rodzaju jest „nieczytelność" wszelkiego rodzaju planów, które mają ilustrować pewne zagadnienia urbanistyczne ,budowlane czy komunikacyjne, a które są dla laika trudne do odcyfrowania. Z drugiej zaś strony rysunki perspektywiczne, makiety i modele, mające ilustrować „miasto przyszłości" są często zbyt „wizjonerskie", grzeszą przesadą, brakiem umiaru i precyzji, a przez to budzą sceptycyzm.

Ale zasadniczym niebezpieczeństwem, które zawsze czyha na tego rodzaju albumowe, fotograficzne wydawnictwa jest schematyczność układu i zabójcza statyczność, bezwładność zdjęć. Nie trzeba dodawać, jak groźnym było to niebezpieczeństwo dla tak dynamicznego tematu, jak od-

(Dokończenie na stronie 4)

ROMAN KARST

JULIUSZ FUCZIK

Listę laureatów Nagrody Pokoju otwiera nazwisko najwierniejszego syna Czechosłowacji, wielkiego człowieka i pisarza, patrioty i bojownika idei braterstwa pomiędzy narodami, Juliusza Fuczika.

Juliusz Fuczik poniósł męczeńską śmierć z rąk faszystowskich zbrodniarzy wojennych. Zginął na posterunku śmiercią komunisty, w walce, w obronie humanistycznej idei naszej epoki. Fuczika nie ma już między nami, ale słowa, które z najgłębszym przekonaniem głosił do ostatniego tchnienia, przyoblekły się w kształt rzeczywisty, żywy i trwały. Honorowej Nagrody Pokoju przyznanej pośmiertnie autorowi „Reportażu spod szubienicy" nie należy uważać jedynie za wyraz czci i uznania dla człowieka, który poległ w imię słusznej sprawy. Jest ona także hołdem złożonym idei, która porywa setki milionów ludzi do boju o lepszą przyszłość, przyszłość bez wojen i niesprawiedliwości społecznej.

foto API

Juliusz Fuczik

Juliusz Fuczik urodził się w roku 1903 na praskim przedmieściu Smichowie w rodzinie robotniczej. Z wielkim trudem przebijał się przez życie i borykał z niedolą proletariacką Naukę i studia uniwersyteckie opłacał pieniędzmi zarabianymi przy murarce, robotach ziemnych i rozlepianiu plakatów. Surowa prawda życia wskazała mu już w młodości drogę do partii komunistycznej, w której szeregach walczył do ostatka.

Pracę pisarską rozpoczął Fuczik jako publicysta literacki. Jego artykuły, szkice i essaye z owego czasu odznaczały się metodologiczną jasnością marksistowskiego ujęcia zjawisk artystycznych i precyzyjną konstrukcją myślową. W roku 1931 ukazała się jego książka o Związku Radzieckim, składająca się ze szkiców i reportaży napisanych po zwiedzeniu ZSRR. Znany czytelnikowi polskiemu tom pt. „W kraju, gdzie jutro jest już dniem wczorajszym" wykazuje niepośledni dar obserwacyjny i zdolność syntetycznego ujmowania spostrzeżeń. Uderza wnikliwość w ocenie nowych form ustrojowych, obyczajowych i moralnych, które olśniły autora. Spostrzeżenia Fuczika oparte są nie tylko na osobistych impresjach, lecz także na gruntownej znajomości historycznego przebiegu wydarzeń rewolucyjnych i pierwszych lat odbudowy Krainy Rad. Fuczik skreślił w swych reportażach żywy i prawdziwy wizerunek człowieka radzieckiego, „który okupił swoją wolność walką i cierpieniem, który jednak zwyciężył i już widzi owoce swej pracy; człowieka, którego szczęście leży w jego własnych rękach i wciąż rośnie".

Po powrocie ze Związku Radzieckiego Fuczik objął stanowisko redaktora dziennika komunistycznego „Rude Pravo", pisując ponadto do wielu czasopism i dzienników postępowych i współpracując stale z pismem „Lewy Front". Wierność ideałom rewolucyjnym i Związkowi Radzieckiemu Fuczik opłacał często więzieniem. Nieraz schodził w podziemie, ścigany i szczuty przez policję. Ostatnim jego artykułem w prasie legalnej była odezwa opublikowana bezpośrednio po układzie monachijskim, kończąca się następującymi słowy: „Nasz naród został oszukany, ale nie ujarzmiony".

Po zajęciu Czechosłowacji przez armie hitlerowskie udało się Fuczikowi i jego przyjaciołom uruchomić wydawnictwo nielegalnych czasopism i dzienników, które w niezwykle trudnych warunkach prowadziły podziemną walkę z faszyzmem. W okresie owym Fuczik poświęcił również wiele czasu studiowaniu dziejów literatury czechosłowackiej. Rezultatem tych badań był szereg prac krytycznych, w których przeprowadzona została oparta na zasadach marksistowskiej estetyki analiza demokratycznych tradycji czechosłowackiej literatury. Do najciekawszych prac z tego zakresu należy studium o Bożenie Niemcowej, czeskiej pisarce z XIX stulecia („Bożena Niemcowa jako bojowniczka") oraz monografia o słowackim poecie ludowym Janie Nerudzie. Część ostatniej pracy spłonęła niestety w archiwach praskiego gestapo.

Wiosną 1942 roku Fuczik został aresztowany przez hitlerowców i osadzony w więzieniu „na Pankracu", gdzie powstała jego książka wyróżniona honorową Nagrodą Pokoju, „Reportaż spod szubienicy". Sponiewierany i skatowany w śledztwie, pisarz przeżył straszne tortury, zachowując do ostatnich chwil postawę nieustraszonego bojownika. Po rocznym przeszło pobycie w więzieniu pankrackim został przewieziony do Berlina, gdzie „sąd" hitlerowski skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano w dniu 8 września 1943 roku.

Dziwne były koleje pamiętnika, które pozostawił nam w spadku Juliusz Fuczik. „Reportaż spod szubienicy" dotarł do czytelnika w trzy lata od chwili, kiedy autor jego zawisnął na szubienicy w Berlinie. Książka ta została napisana w więzieniu, które posłużyło za tło do wstrząsających wspomnień, na luźnych kartkach papieru, dostarczanych przez więziennego dozorcę. Drobne świstki udało się przemycić poza mury Pankracu, po czym dotarły one do rąk żony pisarza, która ogłosiła je drukiem po powrocie z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück.

Fuczik, pisząc swój „Reportaż", zdawał sobie jasno sprawę, że nie doczeka się jego opublikowania. Każdy rozdział tej książki jest pisany z pełną świadomością rychłej śmierci. Z każdego słowa przebija niespokojne pragnienie wykończenia pamiętnika przed zgonem.

„Krótki czas — pisze Fuczik — który mi jeszcze pozostaje na Pankracu, już nie pozwoli, abym nadał temu reportażowi wygląd, jaki powinien mieć. Muszę być zwięźlejszy. Będzie on bardziej dokumentem o ludziach, niż o samych czasach. To jest, myślę, najważniejsze".

(Dokończenie na str. 4)

JULIUSZ FUCZIK

My komuniści...

My, komuniści, kochamy życie. Dlatego też nigdy nie liczymy się z własnym życiem, jeśli chodzi o przebicie i utorowanie drogi dla życia prawdziwego, wolnego, życia pełnego i radosnego, zasługującego w pełni na tę nazwę. Życie w niewoli, w kajdanach, w pogardzie i wyzysku — nie jest godne miana życia, jest wegetacją niegodną człowieka. Czy wolno prawdziwemu człowiekowi, komuniście, godzić się na taką wegetację, czy wolno mu biernie podporządkować się ciemiężcom i wyzyskiwaczom? Nie! Dlatego komuniści nie szczędzą swych sił i ofiar w walce o prawdziwe, naprawdę człowiecze życie.

My, komuniści, kochamy człowieka. Nic, co jest ludzkie, nie jest nam obce, znamy wartość najdrobniejszych nawet radości ludzkich i potrafimy się z nich cieszyć. I właśnie dlatego nigdy nie wahamy się poświęcić swych ściśle osobistych zainteresowań, żeby zdobyć miejsce w słońcu dla prawdziwego, wolnego, zdrowego, radosnego człowieka, człowieka nie wydanego na łup okropnościom systemu anarchistycznego, rządu wyzyskiwaczy, bez względu na to, czy są to okropności wojny, czy bezrobocia. System, w którym zysk i jeszcze raz zysk jest hasłem przewodnim ludzkich poczynań, system, w którym stosunki między ludźmi zastąpiła całkowita zależność od pieniędzy i system, w którym pieniądz ma większe znaczenie, aniżeli człowiek, taki system rządów nie jest rządem ludzkim. Czy człowiek, kochający człowieka, czy komunista może bezczynnie spoglądać na to, jak inni ludzie są pozbawieni ludzkiej godności, czy może odwrócić się plecami na widok biedy i cierpienia milionów swych braci? Nie! Dlatego komuniści nie szczędzą swych sił ani ofiar w walce o pełnego, wolnego, prawdziwie ludzkiego człowieka.

My, komuniści, kochamy wolność. Dlatego też ani przez chwilę nie wahamy się, aby podporządkować się dobrowolnie najcięższej dyscyplinie swej Partii, wojskowej dyscyplinie armii towarzysza Lenina, dla osiągnięcia prawdziwej wolności, najszerszej i jedynej, zasługującej na to miano: wolności dla całej ludzkości. Wolność kilku poszczególnych osób, „wolność" grabieży dla jednych, a „wolność" głodowej śmierci dla drugich — to nie jest wolność, to jest niewola dla wszystkich. Czy wolno komuniście zadowolić się takim stanem, czy wolno mu jest zadowolić się jakąkolwiek osobistą „idyllą" takiej „wolności"? Nigdy! Dlatego komuniści nie szczędzą swych sił ani ofiar w walce o prawdziwą wolność, wolność coraz szerszą, wolność dla wszystkich.

My, komuniści, kochamy pracę twórczą, kochamy wzrost rozbudowy, tworzący przyszłość ludzkości. Dlatego też nie wahamy się zburzyć tego, wyłącznie tego, co staje na drodze nieograniczonym twórczym siłom człowieka. Tysiące, setki tysięcy talentów, które by mogły pomnożyć kulturę ludzką, udoskonalić ludzką organizację, doprowadzić do nieprzeczuwalnego wprost rozkwitu ludzkiej techniki, tysiące, setki tysięcy takich talentów leży obecnie odłogiem. Miliony i dziesiątki milionów pracowitych i zręcznych rąk, które mogłyby dać ludzkości w nadmiarze wszystko to, co potrzebne, miliony i dziesiątki milionów takich rąk zmuszone są spoczywać w bezczynności w okresie kryzysów, które zdarzają się coraz częściej. Czy wolno komuniście nie widzieć szkód, wyrządzonych w ten sposób społeczności ludzkiej? Nie, nie wolno! Dlatego więc komuniści nie szczędzą swych sił, ani ofiar w walce o wprowadzenie w życie takiego systemu rządów, dzięki któremu będą w pełni wykorzystane i rozwinięte wszelkie siły twórcze ludzkości i każdego poszczególnego człowieka.

My, komuniści, kochamy pokój. Dlatego walczymy. Walczymy przeciw wszelkim przyczynom wojen, walczymy o taką organizację świata, w której nie byłoby miejsca dla zbrodniarza, który dla korzyści kilku osób mógłby wysłać setki milionów ludzi na niechybną śmierć, w okropności wojennej grozy i zagłady wartości, niezbędnych dla życia. Nie ma i nie może być pokoju tam, gdzie człowiek z człowiekiem musi się bić o kawałek chleba. Dlatego komuniści nie szczędzą swych sił i ofiar w walce o prawdziwy pokój, o pokój ostateczny, o pokój, zapewniony dzięki nowej organizacji ludzkiego społeczeństwa.

My komuniści, kochamy swój naród. Nie może istnieć wolna ludzkość, nie może istnieć swobodny rozkwit wszelkich twórczych sił ludzkich, nie może istnieć ostateczny, stały pokój, jeśli choć jeden naród będzie uciśniony, nie może istnieć prawdziwa wolność, jeśli choć jeden naród będzie uciskał naród drugi. Nie możemy i nie chcemy żadnego ze swych wielkich ideałów wprowadzać w życie inaczej, jak w formach życiowych swego własnego narodu, w przeciwnym bowiem wypadku nie mogłyby się one stać rzeczywistością, nie mogłyby nawet żyć. Kochamy swój naród miłością szczerych synów. Dlatego jesteśmi dumni ze wszystkiego, czym on przyczynił się i przyczynia nadal do rozkwitu i chwały człowieczeństwa, a dzięki temu, do rozkwitu i chwały własnej. Dlatego więc niszczymy wszystko, co go zohydza, co z niego chce tyć, co na nim pasożytuje, co go osłabia. Kochamy swój naród. Dlatego nie szczędzimy swych sił i ofiar w walce o całkowitą wolność swego narodu, żeby jak równy z równymi żył nieskrępowany wśród wolnych narodów świata.

Wszystko to nakłada na nas olbrzymie obowiązki.

Wypełniać je i spełniać — do tego zobowiązuje nas zaszczyt należenia do światowej armii wielkiego stratega proletariackiego, do armii towarzysza Lenina. Wypełniać i spełniać je — to znaczy strzec jak oka w głowie jedności i czystości tej armii, jedności i czystości Partii Komunistycznej. Wypełniać i spełniać je — oznacza bezustanne mobilizowanie najlepszych sił narodu i całej ludzkości, to znaczy — zdobywać wciąż i wciąż większe szeregi sprzymierzeńców, oznacza to — być stale tam, gdzie znajdują się masy, wciąż, bez wytchnienia, cierpliwie wskazywać im drogę, bezustannie wpajać w ich świadomość, dokąd zmierza historyczny rozwój i czego od nich, w ich własnym interesie wymaga, znaczy to — być dla nich zawsze i wszędzie przykładem jasnego, realistycznego uświadomienia, odwagi, oddania, ofiarności i świadomości celów.

Z książki „Kochamy nasz naród".

Laureaci nagród pokoju

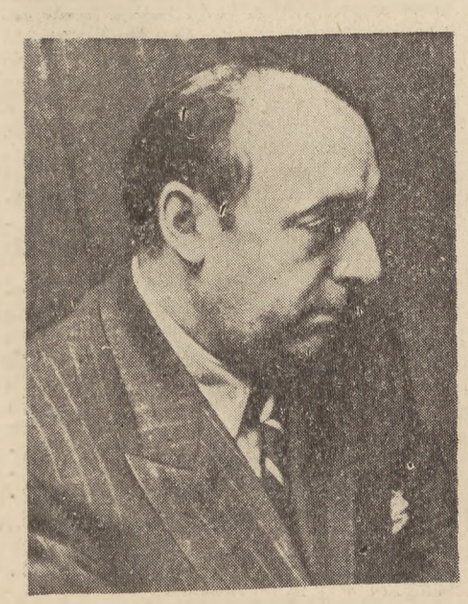

Pablo Neruda *foto API*

Nazim Hikmet *foto API*

Paul Robeson *foto API*

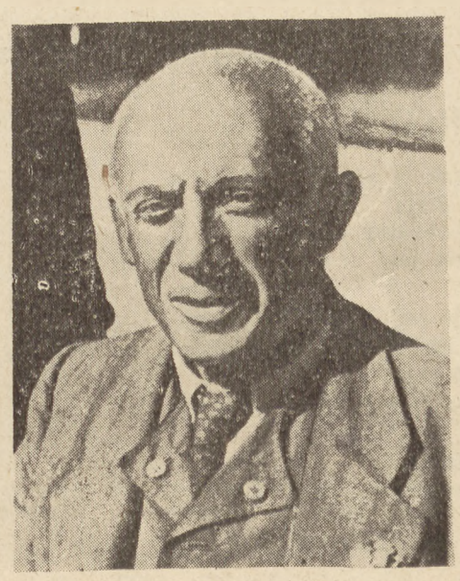

Pablo Picasso *foto API*

Wanda Jakubowska *foto API*

„Reportaż" określony skromnie przez autora jako „dokument o ludziach" jest jednak czymś więcej. Książka Fuczika jest dziełem o niezwykłym znaczeniu moralnym, politycznym i społecznym. Przemawia ono do czytelnika, pomimo unoszącej się nad jego kartami grozy szubienicy, nie ponurością śmierci, lecz ukochaniem życia.

„Reportaż spod szubienicy" jest politycznym testamentem człowieka, ktory poświęcił życie sprawie walczącego proletariatu, filozoficzną aprobatą ludzkiego istnienia, wyznaniem komunisty, stojącego w obliczu smierci. Jest posłaniem wystosowanym u kresu wędrówki, pełnym umiłowania świata i ludzkości. Słowa pisane w cieniu szubienicy przez człowieka poddawanego najwymyślniejszym torturom pełne są słońca praskich ulic, pełne wiary w zwycięstwo ludu Czechosłowacji, w zwycięstwo postępu i dobra nad złem.

„Żyliśmy dla radości — czytamy — za radość szliśmy do walki i za nią umieramy. Dlatego niech smutek nie łączy się nigdy z naszym imieniem".

„Kochałem życie i za jego piękno szedłem w bój. Kochałem was ludzie, i byłem szczęśliwy gdyście mi odpłacali miłością, cierpiałem gdyście mnie nie rozumieli".

Przestrzenne ramy „Reportażu" są nader zwężone: miejsce „wsypy", pokój sędziego śledczego i cela. Oto wszystko. Sama akcja jest również nikła. Dramatyczność książki polega na niezwykłej kondensacji elementu uczuciowego i klarownej ekspresji ideowej. Każdy gest fuczikowskich postaci jest przejmujący i pełen napięcia, każde słowo ma swoją wagę i znaczenie. Źródłem tego jest najszczerszy autentyzm przeżycia i obserwacji. Fuczik pisze o sobie mało, usuwając własną tragedię w cień milczenia. Na pierwszy plan wysuwa się *sprawa i człowiek*, który w jej imię walczy i ginie. Więzienie jest dla autora dalszym etapem walki prowadzonej na wolności. Pod kątem tej walki patrzy Fuczik na ludzi, czas i zdarzenia. Patrzy spojrzeniem jasnym, ludzkim, optymistycznym.

Pomimo że Fuczik nie miał możności i zresztą nie zamierzał nadać swemu pamiętnikowi literackiego połysku, jest on utworem o wielkich walorach artystycznych. Technika pisarska jest tu wypadkową wyjątkowych warunków, w jakich książka powstała, oraz wewnętrznego opanowania człowieka, który przeprowadza ostatni rozrachunek z życiem. Stąd owa bezpośredniość i prostota zdania, oszczędna konstrukcja fabuły i niesamowity w swoim spokoju, pozbawiony przesady liryzm.

Wyróżnienie „Reportażu spod szubienicy" Nagrodą Pokoju jest wyrazem hołdu postępowej ludzkości dla wielkiego bojownika i pisarza. Jest uznaniem dla dzieła, które należy dziś do najpiękniejszych utworów epoki wielkich burz i zmagań.

Roman Karst

TADEUSZ DREWNOWSKI

PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Ostatni tom prozy Wygodzkiego — „Widzenie" *) jest w dużej części poświęcony ogromnie ważnej tematyce — tradycjom polskiego ruchu robotniczego. Dlaczego dla naszej literatury szczególnie ten rodzaj problematyki jest taki ważny? Czy tylko dlatego, że przedwojenna i powojenna postępowa literatura poświęciła zagadnieniom walk rewolucyjnych stosunkowo mało miejsca? Ten argument — pomijanie tematów z historii ruchu robotniczego — jest oczywiscie ważny do czasu, ale istota zagadnienia leży gdzie indziej.

Wiemy, że burżuazyjna literatura wydała na świat wiele książek poświęconych młodości burżuazji, jej walkom wyzwoleńczym, postępowym programom, hasłom i czynom. Ale pamiętamy również, jak późniejsza, już reakcyjna mieszczańska powieść szermowała wzniosłą przeszłością własnej klasy. Rzewne i bohaterskie pamiętniki starego subiekta z „Lalki" — właściwie samodzielne, a sztucznie wmontowane w całość powieści — miały wypełniać przecież określone zadania ideowe. Heroiczną tradycją walk rewolucyjnych trzeba było pokryć i uwznioślić krociowe interesy na wojnie — to dyskretnie ukrywane źródło bogactw prusowskiego „romantyka" — Wokulskiego.

Heroiczna przeszłość burżuazji nie tylko miała uwieńczyć nimbem zasług późniejszy jej wyzysk i prześladowania. Po starych dworkach, opisywanych z takim upodobaniem przez Orzeszkową, snują się okryte tajemnicą postacie wiarusów, żołnierzy rewolucji francuskiej. Miały one dodać splendoru i chwały konserwatywnej szlachcie, połączyć prawem kaduka reakcyjną szlachetczyznę z tradycjami rewolucyjnymi innej klasy. Drugą funkcją tradycji bohaterskich czasów rewolucji burżuazyjnej było dofastrygowywanie polskiej szlachcie dalekich koligacji rewolucyjnych, przeważnie zagranicznych, mających w oczach narodu ratować jej społeczny prestiż.

Tradycje wolnościowe w momencie, gdy powoływali się na nie przedstawiciele reakcyjnej klasy, należały już do nowego spadkobiercy i kontynuatora — do proletariatu.

Jedyną w historii klasą, która nigdy nie sprzeniewierzyła się i nie sprzeniewierza własnej przeszłości, która do ostatka pozostaje twórczą siłą społeczeństwa — jest klasa robotnicza. Historia walk rewolucyjnych, prowadzonych przez proletariat, znajduje po rewolucji proletariackiej proste przedłużenie w dalszej walce mas pracujących pod przewodem klasy robotniczej o budowę socjalizmu. Dzięki swej roli historycznej klasa robotnicza ani nie zdradza swej przeszłości rewolucyjnej, ani nie potrzebuje jej wykorzystywać dla jakichkolwiek oszukańczych celów. Dlatego tradycje walczącego proletariatu taką czcią otacza sama klasa robotnicza, takim poważaniem darzą masy pracujące całego narodu.

Walki proletariatu przeciwko kapitalistom były najcięższymi w historii zmaganiami, ponieważ burżuazja wiedziała, że „bój to będzie ostatni..." Wszystkie środki administracyjne i policyjne kierowało państwo wyzyskiwaczy, ażeby zdusić płomienie walki, zanim rozprzestrzeni się pożar.

Z zapomnienia i zakłamania wydobywa dzisiaj Partia tradycje polskiego ruchu robotniczego, wielkich bohaterów polskiego proletariatu z początkowego stadium ruchu — Waryńskiego i Róży Luksemburg, Kasprzaka, Marchlewskiego i Dzierżyńskiego, a z okresu międzywojennego — Hibnera, Kniewskiego, Rutkowskiego i wielu innych.

Obok historii przypada tutaj literaturze wielkie zadanie. Przypomnieć klasie robotniczej, uprzytomnić masom pracującym, wpoić nowemu pokoleniu naszego narodu pamięć o bohaterskich zmaganiach proletariackich rewolucjonistów z przemocą kapitalistyczną. Stanie się ona podnietą i wezwaniem, drogowskazem i pomocą przy budowie socjalizmu. Te zadania dla historyka ruchu robotniczego i pisarza nabierają dzisiaj ogromnego, politycznego i wychowawczego znaczenia.

W tej dziedzinie postawiono ważne kroki. Obszernie mówił o przeszłości polskiego ruchu robotniczego na Kongresie Zjednoczeniowym — Prezydent i Przewodniczący Partii — towarzysz Bierut. Wydział historii Partii wydaje i opracowuje coraz nowe materiały z tej dziedziny. Prasa partyjna opublikowała nieco artykułów i wspomnień z polskiego ruchu robotniczego.

Nasza literatura na tym polu pozostaje w porównaniu ze społecznym zapotrzebowaniem daleko w tyle. Ogromną rolę spełnia tu twórczość Broniewskiego, wierna towarzyszka proletariatu przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Wielkim wyjątkiem trzeba w tej sytuacji nazwać napisane po wojnie literackie pamiętniki Lucjana Rudnickiego, w których można obserwować szmat dziejów polskiej klasy robotniczej, wyłanianie się z jej masy — Partii.

Do nowszych tradycji ruchu robotniczego z lat drugiej, burżuazyjnej Rzeczypospolitej nawiązuje ostatnia książka Stanisława Wygodzkiego. Przeszłość rewolucyjna stanowi główną tematykę kilku opowiadań. Prawie wszystkie pozostałe — nawet najbardziej współczesne — także rzucają światło na dzieje walk rewolucyjnych w przeszłości.

„Widzenie" nie ma żadnego przenośnego znaczenia. Tytuł mówi o widzeniu więziennym matki — proletariuszki z synem-komunistą, przy którym mądra i zahartowana matka nie zdradza aresztowanego pod innym nazwiskiem syna najlżejszym objawem wzruszenia. Robotnicza matka nie da się wyprowadzić w pole wybiegom wroga klasowego, umie im przeciwstawić wyrobienie polityczne i zdyscyplinowanie uczuć. Wspomnienia starego towarzysza, opowiadającego swoje przeżycia, nie ograniczają się do więziennej katorgi w Polsce sanacyjnej. Dowiadujemy się z nich wiele o działalności Partii w niezwykle ciężkich warunkach, kiedy każdy krok był śledzony przez sanacyjnych szpiclów. Te faszystowskie „oczy i uszy", czyhające na rewolucjonistów wszędzie, w Lubelskiem, w Radomskiem i na Podhalu, są w noweli symbolem zwyrodnienia ustroju.

Wygodzki jakby świadomie nawiązuje w tym opowiadaniu do wzoru Gorkiego. Polska matka jest młodszą siostrą matki Pawła Własowa. Nie osiąga ona takiego, jak matka z powieści Gorkiego, stopnia świadomości rewolucyjnej, ażeby wejść czynnie do ruchu robotniczego. Obydwie jednak — rosyjska i polska matka-robotnica, równie bezgranicznie są oddane sprawie rewolucji, za najwyższą dla siebie dumę uważają udział ich synów w walce z wyzyskiwaczami, chociaż nie trudno ją przypłacić życiem.

Twórca realizmu socjalistycznego przedstawia przebudzenie świadomości robotniczej, organizowanie się walczącej awangardy proletariatu i jej nierozerwalny związek z masami z niezrównaną znajomością, umiłowaniem klasy robotniczej i niezwykłym talentem; polski pisarz w innych historycznych warunkach opisuje podobny proces bardziej fragmentarycznie.

Najpełniejszy obraz przedwojennego ruchu rewolucyjnego daje szkic „Czy napiszę powieść?" Głównym terenem akcji jest fabryka chemiczna w jednym z miasteczek największego ośrodka robotniczego w Polsce — Zagłębia. Temat wybrany świetnie! W fabryce będącej własnością zagranicznych akcjonariuszy wzbiera w latach trzydziestych fala nienawiści robotniczej. Widać tutaj z krzyczącą jaskrawością prawa kapitału i pracy, maszynerię wyzysku i organizację walk.

Fabuła opowiadania ześrodkowuje się wokół postaci Wawrzyńca, nieodrodnego syna klasy robotniczej. Wawrzyniec przoduje w swym środowisku dzięki uświadomieniu politycznemu i zdecydowanej postawie. Na stal zahartowała go długoletnia szkoła KPP, więzień i nielegalnej roboty. Wawrzyniec zjawia się na każdym zagrożonym posterunku robotniczym: jest duszą komitetu strajkowego, zbiera na MOPR, potrafi po partyjnemu uczyć się z błędów walki strajkowej. Swoją działalnością zdobywa prawdziwy autorytet wśród masy robotniczej.

„Okazywali mu swój szacunek w ten sposób, że w dni wypłat nie musiał już wystawać przed biurem, sami zgłaszali się do niego i składali jakieś kwoty na MOPR.

— Swój chłop jesteś, Wawrzek, na, masz.

Uśmiechał się na to, podkręcał wąsa i rzucał:

— My wszyscy swoi. Tylko razem, tylko razem, chłopaki."

Dalsze dzieje działacza robotniczego — to powtórne więzienie, potem — front. Wawrzyniec zjawia się na nowo w opowiadaniu, kiedy pod niemiecką okupacją zaczyna się w miasteczku organizować Partia. On pierwszy przynosi wiadomość: „jest Partia — Polska Partia Robotnicza"! Partia organizuje walkę po „aryjskiej stronie" i w getcie. Droga Wawrzyńca, jak wielu innych towarzyszy, kończy się w Oświęcimiu. Więźniowie obozu przypomną potem grupkę komunistów z Zagłębia, którzy przed rozstrzelaniem śpiewali Międzynarodówkę.

Nasza literatura cierpi na brak bohaterów rewolucyjnych tej miary, co Paweł Korczagin. Gdzie pisarz powinien ich poszukiwać?

Cenne są pod tym względem próby Wygodzkiego. Zarys sylwety działacza rewolucyjnego znajdujemy w osobie Wawrzyńca z fabryki w Zagłębiu. Ale zawiera ona tylko pewne rysy. Ramy szkicu powieściowego nie dopuściły do pełnej realizacji pozytywnego bohatera.

Jeszcze jednym sposobem obcujemy w książce Wygodzkiego z historią ruchu robotniczego — przez starą kadrę partyjną. Jest ona nie tylko łącznikiem kolejnych pokoleń rewolucyjnych, żywą więzią między KPP a PZPR, a przede wszystkim do dziś stanowi mocny trzon nowej Partii. Na każdym z opisywanych przez Wygodzkiego zebrań partyjnych czujemy oparcie w starym, zahartowanym aktywie partyjnym. Towarzysz Misiaszek, towarzysz Bardowski — to ludzie, którzy w trudnej sytuacji umieją po bolszewicku stawiać i rozwiązywać zagadnienia, czuwają nad realizacją linii partyjnej, umieją rozbudzać entuzjazm.

W nagłówku jednego z rozważanych wyżej opowiadań autor zapytuje sam siebie, „czy napisze powieść" z odległego, dzisiaj już historycznego — dwudziestolecia, i na to pytanie odpowiada kompromisowo szkicem z życia robotników Zagłębia przed wojną. Podobnie inne, zbliżone tematycznie nowele i szkice Wygodzkiego, posiadają wartość cennych przyczynków literackich do dziejów polskiego ruchu robotniczego. W żywym zwierciadle literatury inaczej, niż z kart historii, poznajemy ludzi, ich zmagania, trudy i zwycięstwa. Toteż pisarze powinni dołożyć jak największych starań, aby do dzisiejszego czytelnika zbliżyć bojowników o socjalizm. Klasa robotnicza ma prawo spodziewać się od pisarzy gruntownego przedstawienia jej tradycji rewolucyjnych, zwłaszcza od pisarzy, którzy w tamtym czasie walczyli w szeregach ruchu robotniczego. Tak, towarzyszu Wygodzki, nie ma się co wahać, powinniście napisać powieść!

*

Zajmiemy się obecnie pozostałą grupą opowiadań Wygodzkiego, które wypełniają notaty i obserwacje z bieżącego życia partii.

Od dłuższego czasu można zauważyć, że Wygodzkiego jako pisarza pasjonuje najbardziej moralna strona aktualnej problematyki. Przy tematyce wojenno-okupacyjnej Wygodzki prawie nigdzie nie zdołał wydobyć się z atmosfery mglistego humanizmu. Jego obsesji moralnej w tomie nowel „W kotlinie" patronował kult cierpienia, współczucie dla słabszych, bezwyjściowy tragizm. Z niezwykłą sugestywnością wyraziła się ta postawa w głębokich i bardzo osobistych wierszach poety.

Z takimi obciążeniami Wygodzki przystępował do pracy nad partyjną tematyką. Trzeba tu jeszcze dla rozwiania nieporozumień dodać, że metoda realizmu socjalistycznego bynajmniej nic eliminuje i nie umniejsza zagadnień moralnych. Nie krępuje ona pisarza w wyborze tematyki (byle dość doniosłej społecznie), ani też w zasięgu jego zainteresowań (byle nie małostkowych i zdziwaczałych).

Przeciwnie, kształtowanie się socjalistycznej postawy ludzi pracy jest sprawą tak ważną, że wymaga ciągłego pogłębiania i przynaglania ze strony literatury.

Tymczasem ambitne moralizatorstwo Wygodzkiego, jakkolwiek mobilizuje szeregi partyjne do przestrzegania na każdym kroku czujności, nie spełnia wystarczająco pokładanych nadziei. Z życia partyjnego pisarz dobiera tylko wydarzenia najprostsze, niejednokrotnie dobrze podpatrzone ,ale najmniej wymowne. Nie nasuwa bowiem wątpliwości, że szuj i szumowin, złodziejów i jawnych prowokatorów, którzy hańbią partię w oczach mas, nie wolno tolerować w szeregach partii. Tymi bezspornymi postanowieniami „listopadowego zebrania" Wygodzki niepotrzebnie przesłania istotny nurt walki o nową socjalistyczną świadomość, która się toczy na obecnym etapie również wewnątrz szeregów partyjnych.

Pisarz nie uwidacznia klasowych korzeni i politycznych konsekwencji pewnych demaskowanych przejawów obcej moralności. W rezultacie dwu opowiadań — „Obcy", i „Aby żyć", — urabia się wzorzec moralny oportunisty, obcego drobnomieszczucha, którego własna samokrytyka wystarcza, żeby go ostatecznie zdemaskować jako wroga. Od autora oczekujemy bezskutecznie oceny klasowej i politycznej (oczywiście nie w postaci nauk moralnych) zarówno pochodzenia pewnych postaw wewnętrznych, jak i ich funkcji politycznej w naszych konkretnych warunkach.

Lenin w artykule „Czystka partii" pisze, że każdego oportunistę cechuje zdolność przystosowywania się do życia, ale nie każda zdolność przystosowywania się jest oportunizmem. Dla pisarza-wychowawcy szczególnie druga odmiana „filozofii życiowej" u której podstaw leży nie tylko interesowność i karierowiczostwo, podsuwa szeroką, polityczną tematykę.

Natomiast problematyka moralna nawet Wygodzkiego obraca się w kręgu elementarnej uczciwości osobistej i nie uwzględnia różnorodnych form walki o nową świadomość człowieka.

Dość jednostronne i schematyczne konflikty moralne z życia partyjnego w niewłaściwym świetle przedstawiają Partię. Partia jest jakby oderwana od życia, oderwana od mas. Gdyby na serio brać skalę zagadnień, którymi się Partia w szkicach Wygodzkiego zajmuje, to przypominałaby ona bardziej sektę religijną z surową regułą moralną, niż Partię, kierującą budową socjalizmu.

Trzeba jeszcze dodać jeden moment. Konwencja ukazywania życia Partii przez pryzmat zebrań jest także złym obyczajem naszej literatury. Wygodzki uniknąłby zapewne większości swych ideowych błędów, gdyby pokazywał Partię w działaniu, przy budowie.

Dla naszego etapu rozwoju społecznego inne są kluczowe zagadnienia natury moralno-politycznej. „Zdobycze rewolucji — pisał Lenin w 1921 r., u progu budownictwa socjalistycznego w ZSRR — nie mogą być teraz takie same jak przedtem. Nieuchronnie zmieniają one swój charakter w zależności od przechodzenia z frontu wojennego na front gospodarczy, od przechodzenia do nowej polityki ekonomicznej, od warunków, wymagających przede wszystkim zwiększenia wydajności pracy, wzmożenia dyscypliny pracy. W takim okresie główną zdobyczą rewolucji staje się poprawa wewnętrzna, nie jaskrawa, nie rzucająca się w oczy, nie widoczna od razu — polepszenie pracy, jej organizacji, jej wyników; poprawa w sensie walki przeciw rozkładowym wpływom drobnomieszczańskiego i drobnomieszczańsko-anarchistycznego żywiołu zarówno w stosunku do proletariatu jak i do partii..." *)

W tym urywku wielki wychowawca mas — Lenin mówi, w jaki sposób powstaje nowa socjalistyczna moralność i jakie jej grożą niebezpieczeństwa. Nie można charakteryzować kształtowania się w masach nowej moralności, pomijając stosunek człowieka do pracy. Praca jest podstawowym czynnikiem przy tworzeniu się socjalistycznej moralności i jej głównym sprawdzianem. Przy materialistycznym podejściu do człowieka, przebudowy jednostki nie należy odrywać od przebudowy życia.

Organizacja partyjna i poszczególni towarzysze z nowel Wygodzkiego plany produkcyjne fabryki i ich realizację mają jak gdyby na innym koncie. W jednym tylko późniejszym opowiadaniu — „Przed świtem" **), które nie weszło do zbioru „Widzenie" autor próbuje pogłębić i rozszerzyć charakterystykę robotnika przez jego stosunek do wykonywanej pracy.

Wygodzki w „Widzeniu" nie zobrazował tych wielkich zadań, jakie stoją w pierwszym rzędzie przed szeregami partyjnymi i masami pracującymi w ogóle w dziedzinie przebudowy moralnej. Wygodzki rozprawiając się z upiorami przestępczości i „czystego" oportunizmu nie uchwycił specyficznych zadań przeobrażania świadomości w procesie budowy socjalizmu w Polsce, nie wydobył nowych cech moralnych socjalistycznego człowieka. Dlatego w porównaniu z książkami Zalewskiego, Hamery i Konwickiego ta grupa jego opowiadań jest stosunkowo mniej nowatorska. Nasza literatura niszcząc przeżytki starej moralności powinna zarazem szczepić i uprawiać pędy nowego życia.

*

Szczególnie jednym opowiadaniem Wygodzki dał miarę swoich wysokich możliwości artystycznych — opowiadaniem „Stopnie nienawiści" ***). Wielkie prawa walk klasowych wyrażają się tutaj wprost w wydarzeniach, dążnościach i przekonaniach ludzkich. Tak nieokreślony, a ogromnie sugestywny tragizm „Szekspira" i „Ucieczki z Jasnej Polany" — opowiadań z epoki pieców Adolfa Rudnickiego, nic nie tracąc z temperatury znajduje w tym opowiadaniu społeczno-polityczne pogłębienie i wyjaśnienie. Klasowe naświetlenie losów narodu żydowskiego pod hitlerowską okupacją, prawdziwie obrazuje tragedię narodu żydowskiego, która chociaż w pewnych krajach spada na cały naród, nie pozostawia jednak złudzeń, kto był jej winowajcą, a kto ofiarą. „Stopnie nienawiści" — to jedno z najbardziej aktualnych, choć napisanych dawniej, antynacjonalistycznych, antyimperialistycznych opowiadań, demaskujących siły prowadzące do nowej wojny. Trafna analiza historyczna zachowuje zawsze największą aktualność jako punkt wyjścia dla trafnego wnioskowania.

Wspomnieniowy, nieco gawędziarski, tok wszystkich opowiadań Wygodzkiego, w tym przede wszystkim opowiadaniu jest po brzegi wypełniony bogactwem wiedzy życiowej. Przez cały bieg wydarzeń przebija osobista pasja pisarza, aby uratować wartościowe jednostki ze świata kapitalizmu na rzecz świata postępu i pokoju.

Wielkość artystyczna wyrasta zawsze na gruncie bogatej wiedzy o rzeczywistości i zespolenia z przodującymi siłami społeczeństwa. Szczytowe zdobycze Gorkiego, Majakowskiego i Szołochowa, nowe sukcesy radzieckiej literatury z ostatnich lat mają swe źródło w zżyciu z klasą robotniczą w jej walkach, w zespoleniu z masami pracującymi przy budowie nowego ustroju.

Polskim postępowym pisarzom nie pochodzącym z klasy robotniczej, a z nią ideowo i praktycznie związanym, wciąż do pełnej artystycznej dojrzałości brak doświadczeń życiowych klasy robotniczej, zjednoczenia się z klasą robotniczą dla pełnego wyrażenia jej wielkich dążeń.

Na tej drodze widzę dalszy rozwój ideowy i artystyczny autora „Widzenia" i innych podobnie ambitnych i oddanych pisarzy.

Tadeusz Drewnowski

*) Dzieła wybrane Lenina w 2 tomach. Moskwa 1948, t. II, str. 879.

**) Nowa Kultura, n-ry 17 — 18, 1950 r.

***) patrz „W kotlinie".

*) Stanisław Wygodzki, „Widzenie", opowiadania. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1950.

Warszawa w planie sześcioletnim

(Dokończenie ze str. 3-ej)

budowa Warszawy i dla tak skondensowanego i pełnego treści przemówienia, jak referat Prezydenta.

Powiedzmy od razu, że te wszystkie trudności zostały znakomicie przezwyciężone. Układ książki trzyma się ściśle i literalnie tekstu przemówienia — jest więc jego wierną ilustracją. A równocześnie książkę tę ogląda się nie jak album i nie jak obrazki w fotoplastikonie, lecz jak pasjonujący, pełen życia film.

Świetny dobór zdjęć ilustruje ogrom zniszczeń Warszawy. Szereg nie publikowanych dotychczas, a rzadkich fotografii przypomina nam te pierwsze miesiące Warszawy po wyzwoleniu, ten niezwykły i już dzisiaj „egzotyczny" niemal obraz życia w Warszawie zniszczonej, w warunkach zupełnego prymitywu, bez najniezbędniejszych urządzeń. Każdy krok na warszawskiej ulicy ukazywał wtedy sceny i obrazy jedyne, niepowtarzalne, o których my już dziś w wirze odbudowy zapominamy, a które w opowieściach za lat kilkanaście będą zapewne budzić niewiarę. Budziłyby... gdyby nie zostały utrwalone na kliszy fotograficznej.

Doskonale rozwiązano graficznie szereg planów i rysunków, ilustrujących tę część przemówienia Prezydenta, gdzie kreśli on obraz Warszawy kapitalistycznej. Spójrzmy na jeden tylko plan, ilustrujący zabudowę miasta kapitalistycznego. Wąskie, ściśnięte, zduszone pasma jednostajnych ulic, upstrzone rzędami takich samych, czarnych prostokątów — domów, zajmujących każdy skrawek miejsca, rugujących każdy promień słońca. Między tą straszną siatką zabudowy, wąskie skrawki przestrzeni — to podwórka. Podwórka-studnie, podwórka-czeluście. Aż się duszno robi, gdy się patrzy na ten rysunek. A przecież to tylko wzięty pod mikroskop skrawek planu Warszawy — Muranów. Duszno było i ciasno na Muranowie. Taki jeden plan mówi więcej niż wiele namiętnych oskarżeń pod adresem miasta kapitalistycznego.

Albo weźmy — zdawałoby się „mało efektowny" — plan, ilustrujący zasięg kanalizacji przedwojennej Warszawy. Przyjrzyjmy się: czerwone plany — to mieszkalne dzielnice robotnicze. Błękitna linia — to granica zasięgu kanalizacji. Oplata ona Śródmieście, Mokotów, Żoliborz, Bielany, centrum Pragi. A poza jej zasięgiem — aż się pstrzy od czerwieni — to Ochota, dalsza Wola, Marymont, Pelcowizna, Bródno, Annopol, Targówek, cały prawie Grochów. Czyż to nie wymowny obraz klasowego oblicza miasta kapitalistycznego, klasowego charakteru gospodarki i inwestycji miejskich?

Przechodząc wreszcie do części ostatniej, do wizji przyszłej Warszawy — miasta socjalistycznego, książka operuje rysunkami i makietami, ale te właśnie rysunki mają umiar i precyzję nie tracąc rozmachu. Dzięki dowcipnym zestawieniom dzisiejszego stanu zabudowy i rysunku perspektywicznego „widzimy" Marszałkowską i plac na Rozdrożu i Wolę w roku 1955, z zainteresowaniem śledzimy bieg Nowej Świętokrzyskiej czy al. Marchlewskiego na planie, by w chwilę potem spojrzeć na jej perspektywę — odbywamy prawdziwy spacer po Warszawie roku 1955.

Książka znakomicie ilustruje słowa Prezydenta. Idąc wiernie za ich treścią, uwypukla najistotniejsze momenty, tłomaczy trudniejsze zagadnienia, pomaga zarazem pamięci i wyobraźni. Jest pięknym dokumentem odbudowy Warszawy, ukazuje rozmach i piękno Warszawy socjalistycznej.

A że historia odbudowy Warszawy, że jej wczoraj — dziś — jutro to dokument wielkiego dzieła pokojowej pracy, że imię naszej stolicy splotło się z historycznym Kongresem Pokoju — dobrze się stało, iż tę książkę dostali do rąk delegaci 80 narodów świata.

Wiozą dziś do swoich krajów — w Europie, Azji, Afryce i obu Amerykach książkę, która każdemu wytłomaczy, dlaczego miasto Warszawa otrzymało chlubny tytuł: laureat Międzynarodowej Nagrody Pokoju.

Karol Małcużyński

SIEMION BOTWINNIK **Przełożył IGOR SIKIRYCKI**

W DRODZE

Ciężko nam było patrzeć, jak w płomieniach
Kruszył się domów naszych ślad,
Jak każdy dzień na popiół chłodny zmieniał
Ogromny trud kilkudziesięciu lat.

Szliśmy na front. Jeszcze nie śmiały trawy
Wyrosnąć tam, gdzie czołg rozmiażdżył gruz...
Ujrzeliśmy: chłopczyna kcło stawu
Z drzewa i z ziemi most maleńki wzniósł.

A w oczach dziecka niebo takie sine,
Jak w dawne dni... I zrozumiałem już bez słów
Najprostszą rzecz: W tym ogniu nic nie zginie —
Nie my, to dzieci wszystko wskrzeszą znów.

1946 rok

O sytuacji w poezji

(Dyskusja na sekcji poetyckiej ZLP)

RYSZARD MATUSZEWSKI

(zagajenie)

OD wielu miesięcy toczy się wśród poetów i krytyków dyskusja na temat oblicza i zadań naszej współczesnej poezji. Mówię „toczy się", mimo iż właściwą polemikę, jaka rozgorzała w tej sprawie zimą br. na łamach naszej prasy literackiej, próbował już w marcu zamknąć i zreasumować artykuł Adama Ważyka w „Kuźnicy". Należałoby się bowiem zgodzić z głosami, które padły wkrótce potem, podczas czerwcowego zjazdu literatów, że właściwie zimowa dyskusja poetycka została raczej przerwana niż zakończona.

Co można uważać za ustalenia i bezsporne osiągnięcia zimowego etapu dyskusji, za zbiorowy wkład, do którego niezależnie od tych czy innych błędnych sformułowań przyczynił się w jakimś stopniu każdy z jej uczestników?

Pierwszym było dobitne zaakcentowanie, iż prawdziwie twórczą poezją naszej epoki może być tylko poezja rewolucyjna w treści i narodowa w formie, związana z naszą rzeczywistością, stwierdzenie iż wszelkie próby oderwania się naszej poezji od tych zadań prowadzą ją w sposób nieunikniony na manowce formalizmu i schyłkowej estetyki burżuazyjnej.

Następnym była pierwsza gruntowna analiza błędów naszej krytyki poetyckiej i redakcji czasopism literackich, „Kuźnicy" i „Odrodzenia", w latach 1945—1949, w stosunku do takich zagadnień jak wybór właściwych tradycji poetyckich, przezwyciężenie oddziaływania estetyki burżuazyjnej, oraz opieka nad młodymi kadrami poetyckimi.

Trzecim osiągnięciem pozytywnym była próba wskazania naszej nowej poezji właściwego nurtu tradycji, do której winna nawiązywać: podkreślenia roli Majakowskiego i w ogóle poezji radzieckiej, oraz postępowego nurtu polskiej poezji— dawnej i nowej, podkreślenie różnicy między twórczym oparciem się o właściwe tradycje poetyckie a niebezpiecznym tradycjonalizmem.

Czwartym wreszcie osiągnięciem dyskusji była analiza niektórych błędów ideowo-artystycznych naszej bieżącej produkcji poetyckiej, wynikających bądź z estetyzmu, bądź z obciążeń formalistycznych naszych poetów.

Dyskusja nie została zakończona, ponieważ już z przeprowadzonej w jej toku analizy sytuacji na odcinku naszej krytyki poetyckiej wynikło wyraźnie, że do dalszego pchnięcia jej naprzód potrzebna jest stała, systematyczna praca poetów i krytyków nad przyswojeniem sobie podstaw nowej estetyki realizmu socjalistycznego, następnie zaś stała, systematyczna praca nad rozwinięciem zasad tej estetyki w twórczości naszych poetów.

Dyskusja nie została zakończona, ponieważ daleko nam jeszcze do wypracowania pełnych kryteriów oceny naszej współczesnej produkcji poetyckiej, ponieważ wskazać zdołano zaledwie na niektóre jej błędy, a dalszy rozwój naszej twórczości poetyckiej wymaga stałej konfrontacji z wysuniętymi przez teorię postulatami, stałej analizy.

Nie została ona wreszcie zakończona dlatego, że panujący u nas chaos pojęć w zakresie estetyki poetyckiej nie zawsze pozwalał dyskutującym trafnie shierarchizować niebezpieczeństwa grożące naszej liryce. Często nie byli oni w stanie oderwać się od zaciemniających trafny, klasowy osąd naszej sytuacji poetyckiej, personalnych zaognień dyskusyjnych.

*

Wydaje mi się, że celem naszej pracy na sekcji poetyckiej ZLP winna stać się systematyczna kontynuacja dyskusji nad stanem i zadaniami naszej poezji współczesnej, a także dyskusja nad wyborem właściwych tradycji poetyckich i sposobem twórczego ich wykorzystywania. W zagajeniu dzisiejszym nie mam ambicji poruszenia wszystkich zagadnień, jakie w związku z tymi szerokimi zadaniami się nasuwają. Chciałbym pokusić się jedynie o próbę jak najbardziej szkicowej charakterystyki tych tendencji, jakim — moim zdaniem — daje wyraz bieżąca twórczość naszych poetów, którą obserwuję przede wszystkim, stykając się z materiałem poetyckim, jaki napływa do „Nowej Kultury", a po trosze także czytając to, co ukazuje się na łamach innych pism.

To co powiem chciałbym oprzeć przede wszystkim na przykładach z ostatnich miesięcy, nie wracając do pozycji, których krytyką zajęła się już dyskusja zimowa. Chciałbym raczej zwrócić uwagę na to, w jakim stopniu rezultaty owej dyskusji odbiły się na bieżącej produkcji poetyckiej, w jakim stopniu posłużyły za wskaźnik w jej przemianach.

Wydaje mi się, że, zgodnie z tym co powiedziałem o rezultatach zimowej dyskusji, jedną z jej konsekwencji jest niewątpliwie coraz silniejsze i powszechniejsze powiązanie naszej poezji z naszą rzeczywistością, z naszą walką o socjalizm: powiązanie nie tylko tematyczne, ale wyrażające się w poszukiwaniu coraz to lepszych, odpowiedniejszych środków artystycznych, aby tę rzeczywistość wyrazić poetycko. W wierszach, które do nas napływają, czy to będą utwory od dawna piszących i przechodzących częstokroć głęboką ideowo-artystyczną ewolucję poetów, czy też utwory — często bardzo jeszcze artystycznie niedoskonałe — debiutantów, powszechnie daje się zauważyć zwrot ku poetyckiemu realizmowi, i to realizmowi socjalistycznemu, chwytającemu to, co w naszej rzeczywistości jest nowe i twórcze, opiewającemu wielkie przemiany Polski dzisiejszej, jej walkę, jej socjalistyczne budownictwo.

Oczywiście nie brak i w bieżącej naszej twórczości poetyckiej zapóźnień, wypadków wleczenia się w ogonie owych przemian, najprzeróżniejszych ideowych i artystycznych nieporozumień. Ukazują się jeszcze w tej chwili, i zapewne przez pewien czas ukazywać się będą, tomiki złożone z wierszy często napisanych dawniej, w których dochodzą do głosu estetyzm i formalizm, lub w których nieśmiałe tendencje humanistyczne i dążenie do realistycznego ujęcia rzeczywistości nie wykracza poza granice doświadczeń czasu minionego, poza jego poetycką „krytykę", nie wyzwoloną z atmosfery zwątpienia, goryczy, pesymizmu, i przez to bliską klimatowi poezji schyłkowej, burżuazyjnej, bezkrytycznie przyjmującą jej środki artystyczne.

Tendencje te jednakże — podkreślam raz jeszcze — w bieżącej produkcji poetyckiej wyraźnie słabną, ustępują miejsca poezji w ogólnym swym klimacie optymistycznej, zespolonej ze zwycięską walką, jaką toczy nasz kraj. W tym co powiem nie chciałbym też zatrzymywać się na owych, coraz bardziej odosobnionych wypadkach zbłąkań i zapóźnień, lecz zająć się przede wszystkim analizą tych zjawisk poetyckich, które mówią o osiągnięciach, a także i o błędach poetów kroczących zasadniczo słuszną drogą walki o poezję socjalistyczną, rewolucyjną w treści, narodową w formie.

Nie możemy tworzyć nowej poezji bez oparcia jej o właściwy nurt jakiejś wielkiej tradycji poetyckiej. W toku dyskusji o poezji poruszana była niejednokrotnie sprawa owego wyboru tradycji. Mówiło się o Majakowskim i o wynikach radzieckiej dyskusji na temat właściwego korzystania ze spuścizny po wielkim poecie, mówiło się o naszych narodowych, postępowych i rewolucyjnych tradycjach.

W praktyce widzę u naszych poetów niekiedy niezupełnie twórczy, cząstkowy stosunek do tradycji, niewykorzystywanie jej w pełni. Nie byłoby może rzeczą słuszną mówić dziś o jakichś wyraźnych kierunkach w tej części naszej poezji, którą możemy uważać za bezwzględnie twórczą, która znajduje się na linii dążeń do socjalistycznego realizmu. Nie byłoby to słuszne zwłaszcza w odniesieniu do najwybitniejszych osiągnięć poetyckich, które wymagałyby w każdym wypadku odrębnej analizy.

Musimy jednak zdać sobie sprawę z tego, że na całokształt obrazu naszej bieżącej twórczości poetyckiej składają się nie tylko te osiągnięcia najdojrzalsze, ale również, a może przede wszystkim, pewne zjawiska o charakterze „seryjnym". Otóż, jeśli chodzi o te seryjne zjawiska w naszej poezji — zjawiska zupełnie zresztą pozytywne, o ile nie występują w postaci pewnych przerostów, — to widziałbym w nich zaznaczające się jak gdyby dwa nurty, dwa kierunki w wykorzystywaniu tradycji poetyckiej.

Jeden z nich wywodzi się dość ściśle z tych najlepszych tradycji naszej poezji społecznej, tradycji, jakie reprezentuje w naszej poezji Władysław Broniewski, z tradycji postępowego nurtu naszej poezji romantycznej, aczkolwiek w praktyce wcale nie zawsze najlepiej tradycje te wykorzystuje. Poezję tę cechuje dążenie do jakiejś jedności obrazu czy też akcji, oraz służące mu rygory poetyckiej formy, przeważnie — choć wcale nie zawsze — tradycyjnej. Tendencja społeczna czy też uczucia poety znajdują tu wyraz bezpośredni, metafory stosowane są oszczędnie. Poezja ta przemawia na ogół o wiele łatwiej, bardziej bezpośrednio do czytelnika. Ten rodzaj uprawiają u nas Pasternak, Dobrowolski, Wygodzki, Lewin, Brzechwa Z młodego pokolenia poetów zdają się zbliżać doń ostatnio między innymi — Woroszylski, Braun, Międzyrzecki. Zdaję sobie sprawę że poetów tych bardzo wiele od siebie różni Łączą ich jednak pewne dość istotne cechy: komunikatywność i bezpośredniość wyrazu, bezpośredni niejako stosunek do świata, o którym i dla którego piszą, przewaga retoryki i elementu postulatywnego nad opisowością, postawy czynnej (oczywiście chodzi o wyraz poetycki, nie o życiową postawę poety, nie zawsze się to łączy) nad refleksyjną, kontemplacyjną.

Jako pewne przeciwieństwo tego nurtu widzę w naszej bieżącej produkcji poetyckiej tendencje rozwoju liryki refleksyjnej i opisowej, wyrażającej rzeczywistość i treści ideowe naszej epoki najczęściej przy pomocy o wiele większego bogactwa obrazowania i metaforyki, ale w formie mniej bezpośredniej uczuciowo, trudniejszej dla czytelnika, stwarzającej niekiedy w stosunku poety do tego czytelnika jak gdyby pewien dystans, czasami będący także dystansem poety do wyrażanych przezeń treści ideowych. W liryce takich poetów jak Kubiak, Różewicz, Kamieńska Śpiewak, Wirpsza (znów zastrzegam, że zestawienie to nie jest podyktowane chęcią przejścia do porządku dziennego nad głębokimi różnicami dzielącymi tych poetów), występuje do pewnego stopnia niewątpliwie przedłużenie tego nurtu, jaki w poezji naszej stanowiła swego czasu liryka tzw. „awangardy", z jej kultem metafory i specyficznie pojętej obrazowości, oczywiście przedłużenie w pewien sposób „uhumanistycznione" przemianami, jakie zaszły w naszej poezji. Ożywcze soki czerpie dzisiaj ów nurt poetycki z bardzo różnych źródeł: czasem z takich świetnych zjawisk poetyckich jak twórczość Nerudy, będącego typowym poetą opisu, o rozlewnym, bogatym obrazowaniu, kiedy indziej z twórczości takich — zupełnie innych poetów jak Eluard, czy Aragon.

Zdaję sobie sprawę, że gdybyśmy zaczęli się wgłębiać i wnikliwiej analizować różnice w twórczości poszczególnych naszych poetów, okazałoby się na pewno, że w naszej poezji da się takich nurtów czy kierunków wyróżnić więcej niż dwa, że wskazując dwie wyżej scharakteryzowane tendencje, nie obronię się przed zarzutami pewnych uproszczeń. Wydaje mi się jednak, że takie właśnie wskazanie na pewne rozwidlenie w naszej poezji może okazać się płodne, wskazując na pewne grożące naszej współczesnej poezji niebezpieczeństwa

Jak wygląda klasowe oblicze scharakteryzowanych wyżej tendencji poetyckich? Obie występują, jak wspomniałem, w naszej politycznie postępowej produkcji poetyckiej. Obie, jak starałem się zaznaczyć, mogą powołać się na pewne, bardzo dobre tradycje poezji postępowej i rewolucyjnej. W utworach najdojrzalszych ideowo i artystycznie niektóre elementy obu postaw np. postulatywność i obrazowość, bezpośredni, czynny stosunek do rzeczywistości, oraz pogłębione refleksyjno-intelektualne jej ujęcie łączą się. Można z powodzeniem twierdzić, że nie istnieje między nimi żadna sprzeczność, że są to przeciwieństwa dające się przezwyciężyć.

Jeżeli nie zawsze są one przezwyciężane w praktyce, to wynika to w gruncie rzeczy zawsze z formalistycznych obciążeń czy też uproszczeń, za którymi stoi nieprzezwyciężony, burżuazyjny stosunek do sztuki, brak ideowego pogłębienia twórczych wysiłków poetyckich. W dwóch wskazanych przeze mnie nurtach naszej poezji obciążenia te występują w stopniu nierównym. W poezji korzystającej ze spadku po dawnej „awangardzie" niebezpieczeństwo jest o wiele większe.

Konsekwencją nieprzezwyciężonych tendencji formalistycznych, cechujących przede wszystkim poezję wywodzącą się z pnia tzw „awangardy", opartą na trudniej uchwytnych, wewnętrznych rygorach obrazowania i metafory, jest niebezpieczeństwo odrzucenia łatwiejszych i bardziej sprecyzowanych rygorów, myślowych czy wersyfikacyjnych, odrzucenie jedności obrazu i akcji, rozwichrzenie i chaos w obrazowaniu, niekiedy tendencje ekspresjonistyczne występujące w naszej poezji, o których szeroko pisano w toku zimowej dyskusji.

Niebezpieczeństwa te o wiele częściej stają na drodze twórczej poetów początkujących, borykających się jeszcze z formą, a pełnych wewnętrznego ładunku uczuciowego, ideowego. Mając trudności z nałamaniem się do rygoru wiersza o zwartej formie, jednolitym toku obrazowania, jednolitej — jeśli chodzi o poemat — akcji — rozpisują się oni, tworząc wielostronicowe poematy, najczęściej chaotyczne, rozwlekłe, nieujęte w żadne logiczne ramy, nużące czytelnika gadulstwem i brakiem tego, co tak ładnie nazwano „koniecznym kształtem" poezji. Nie jestem przeciwnikiem mądrze rozumianego nowatorstwa w poezji, ani bezwzględnym zwolennikiem tradycyjnych form wersyfikacyjnych, ale wydaje mi się, że jedną z przyczyn, która pozwala na ujawnianie się tego nieporządku myślowo-uczuciowego, bywa czasem przekonanie, że każda myśl czy tok skojarzeń ułożony w linijki, formą graficzną przypominające tzw. wolny wiersz, wystarczą, ażeby nazywało się to poezją. Nie twierdzę, że układając zwrotki i rymy nie można napisać także steku głupstw, ale trudności, które trzeba przy tym pokonać, są niekiedy pewnym filtrem dla chaotycznego natłoku obrazów i idej.

Te uwagi nie dotyczą oczywiście wierszy i poematów, które ujrzały światło druku i które mogę powołać tu jako ewentualne przykłady. Taki na przykład zamieszczony niedawno w „Nowej Kulturze" poemat Jacka Bocheńskiego „Pieśń o wieku nowym" jest niewątpliwie dobrą robotą poetycką, posiada jakiś wewnętrzny porządek obrazów i myśli, ale widzę też w nim cechy, które wskazują na pewne niebezpieczeństwa grożące moim zdaniem naszej liryce. Razi mnie u Bocheńskiego stylizacja języka, namaszczenie litanijno-biblijne, spotykane niekiedy także u Tadeusza Kubiaka, i będące wyrazem jakiejś „metaphoritis", przerostu obrazowości i opisowości, razi mnie maniera częstych powtórzeń tych samych zdań i zwrotów. Nadmierne i w tym stłoczeniu nieco monotonne nagromadzenie obrazów uważam też za pewną usterkę takiego, — pełnego zresztą myślowej i ideowej treści — utworu, jak „Oda na cześć pokoju" Anny Kamieńskiej. Oschłość, brak bezpośredniego uczuciowego obrazu, jakiegokolwiek ciepła, melodyjności, przeszkadza mi w bardzo „intelektualnych" wierszach Witolda Wirpszy. To samo uważałbym też za brak wierszy Romana Bratnego, mimo iż trudno nie widzieć pewnego postępu, jaki cechuje parę utworów tego poety, ogłoszonych ostatnio, w porównaniu z tym, co drukował przed ostrą krytyką, z jaką słusznie spotkała się jego twórczość w toku zimowej dyskusji.

Oczywiście powierzchownym byłoby sprowadzenie zasygnalizowanych tu niebezpieczeństw poezji sztucznie skomplikowanej lub nie dość „wewnętrznie uporządkowanej" do braków wyłącznie formalno - artystycznych: podłożem ich jest niewątpliwie odzwierciedlające się w usterkach formy nie dość silne ideowe ugruntowanie pojęć o właściwej funkcji poezji w społeczeństwie budującym socjalizm, mocnego przekonania o tym, że musi ona porywać, wzruszać, przekonywać, być jasna, czytelna, bezpośrednia, że winna bez formalistycznych sztuczek, a za to z pełnią uczuciowego zaangażowania pokazywać rzeczywistość i jednocześnie służyć sprawie tworzenia nowych jej form, sprawie jej przekształcania.

Niebezpieczeństwa poezji pierwszego nurtu — jasnej, czytelnej i bezpośredniej, — a więc takiej, jaka w zasadzie jest nam potrzebna — chciałbym pokazać na przykładzie dwu poetów, którym nie brak wymienionych wyżej zalet, ale w których poezji pewne cechy mnie niepokoją: na przykładach drukowanych ostatnio w „Nowej Kulturze" wierszy Leopolda Lewina i Jana Brzechwy.

Wydaje mi się, że w obu tych wypadkach niebezpieczeństwo stanowi rutyna, niepogłębiony ideowo, a więc też w gruncie rzeczy nieco formalistyczny stosunek do poezji. Jan Brzechwa, jeden z najlepszych w Polsce satyryków, świetny i dowcipny wersyfikator dał nam ostatnio w swoich „Strofach o Planie Sześcioletnim" próbę bardzo dobrego poetyckiego rzemiosła, które jednakże dziwnie przypomina doskonałość poematów pseudoklasycznych. W strofach takich jak: „Niechaj po mojej śmierci nie będzie minuty ciszy, niechaj ani na chwilę nie milknie głos towarzyszy", albo w okrzyku „o wizjo romantyczna, stworzona po raz pierwszy, jakim cię mam powitać hymnem czy peanem, poeta zadumany nad sześcioletnim planem" uderza pewna koturnowość, mącąca świeżość przeżycia zjawisk, o których pisze poeta.

Nie twierdzę, że takie wiersze, jak wiersze Brzechwy nie spełniają dzięki swej czytelności ważnej roli społecznej. Z kół czytelników poezji, w listach przychodzących do redakcji, w czasie dyskusji na objazdach autorskich dochodzą nas stale skargi przede wszystkim na trudność i niezrozumiałość poezji, na jej nieczytelność, która ma swoje źródło przede wszystkim w omówionym wyżej zjawisku „wewnętrznego nieuporządkowania", chaosu, braku jednolitości obrazu, niekiedy w zbyt abstrakcyjnym, intrawertycznym intelektualizmie. Z takich właśnie kół przyszedł do redakcji „Nowej Kultury" list jakiejś czytelniczki, pełen entuzjazmu dla krytykowanych wyżej przeze mnie wierszy Brzechwy, głos radości czytelniczki, która nareszcie znalazła w tych wierszach coś uporządkowanego, dopięty na wszystkie guziki rytm i rym, dowcipną pointę. Uważam ten głos za znamienny, choć wydaje mi się, że nie można go brać bezkrytycznie. Nie chodzi tylko o poprawną, a nawet kunsztowną, wersyfikacyjną formę. Właśnie z kół młodzieży silnie ideowo związanej z walką o nową poezję socjalistycznego realizmu słyszałem także skargi na pseudoklasycyzm tych utworów.

Wiersze Leopolda Lewina cechuje często również forma poprawna ale konwencjonalna. Konwencjonalność nie może nie stać w pewnej sprzeczności ze świeżością uczucia, z zapałem rewolucyjnym, choćby bił on sam z podjętego tematu. Konwencjonalność stoi bowiem w sprzeczności właśnie z doborem trafnej, odpowiadającej w każdym wypadku tematowi formy poetyckiej, jest pewnym usztywnieniem. Znamiennym przykładem może tu być drukowany niedawno w „Nowej Kulturze" wiersz „Nad rzeką Han", gdzie dramatyczna, wstrząsająca walka narodu koreańskiego opowiedziana została wesołym, skocznym rytmem piosenki, co wywołuje dysonans między treścią a formą. Pseudoklasyczno - konwencjonalny jest też utwór Lewina „Kocham kwiaty" drukowany w 10-ym numerze „Twórczości", natomiast zamieszczony tamże wiersz „Do Władysława Broniewskiego" ma na ogół trafnie zastosowane akcenty retoryczne i dużo świeżości, wskazując na to, że poeta mógłby bez trudu a z korzyścią dla swych utworów zrezygnować z konwencjonalnych rozwiązań.

Podkreślam raz jeszcze, że przytoczone tu przeze mnie przykłady pewnych usterek w naszej bieżącej produkcji poetyckiej nie zostały przytoczone w celu jakiegoś atakowania pewnych osób, gdyż przeciwnie, każdy z wymienionych przeze mnie poetów tym się właśnie odznacza, że zaprezentował, i to właśnie obecnie, w ciągu ostatnich miesięcy, pewien swój niewątpliwie pozytywny wkład w poezję walki o socjalizm, pokój, plan sześcioletni. Wkładem takim są i wymienione przeze mnie poematy Bocheńskiego czy Kamieńskiej, i wiersze Kubiaka, Bratnego, Wirpszy, Lewina i Brzechwy. Gdybym chciał z tego miejsca kogokolwiek atakować za całokształt jego postawy poetyckiej, musiałbym uderzyć przede wszystkim w poetów, którzy dotąd nie umieli zdobyć się na żaden wyraz łączności z toczoną przez nas walką, tkwiących jak zaskorupiałe ślimaki w konwencjach formalizmu i estetyzmu. Nie to było jednak celem mego zagajenia.

Chodziło mi jedynie o próbę pokazania pewnych najcharakterystyczniejszych trudności, jakie napotyka przed sobą poezja, dążąca do socjalistycznego realizmu, poszukująca drogi w przyszłość, w oparciu o najlepsze tradycje. Widzę te trudności — podkreślam raz jeszcze — bądź w pewnym nieuporządkowaniu, niezorganizowaniu wewnętrznym, w pewnym chaosie obrazowania, i braku bezpośredniego, uczuciowego wyrazu utworów, powstałych w atmosferze formalistycznych obciążeń naszej poezji, bądź w pewnych przerostach rutyny, będących jedną z postaci rozdźwięku między treścią a formą naszej poezji.

Trudności, które ma dziś do zwalczenia nasza poezja na nowym, wielkim etapie swego rozwoju są zagadnieniem głębszym, niż sprawa największego nawet poetyckiego mistrzostwa. Są wielkim zagadnieniem przebudowy świadomości. Świadczy o tym najlepiej wielki i trudny przełom, jaki przechodzą związani z nami czołowi poeci starszego pokolenia, poeci o ogromnym dorobku, którzy w swych nielicznych, dzisiaj pisanych utworach, jak gdyby na nowo rozpoczynali swą twórczość, tak dalece innych muszą używać środków poetyckich, tak dalece oderwać się muszą od swego dawnego poetyckiego warsztatu. Tym większy podziw i szacunek mamy dla nich, z tym większą radością witamy każdy nowy, i jakże często różny od dawnych utwór poetycki Tuwima, Iwaszkiewicza, Słonimskiego, a także zmagających się z trudnościami wielkiego przełomu poetów średniej generacji jak Miłosz, Gałczyński Wydaje mi się, że powinniśmy dołożyć wszelkich starań aby stworzyć atmosferę, która by sprzyjała jak najobfitszej ich twórczości, atmosferę która by przerwała wielomiesięczne nieraz milczenie tych poetów. W wielkiej walce o pokój i socjalizm, którą prowadzimy, każde słowo idącego z nami poety, zarówno tego, któremu wczoraj wydrukowano pierwszy utwór, jak tego, który przyszedł do nas z całym bagażem mieszczańskich obciążeń i zrzuca je, jest potrzebne. Każde jest niezastąpioną bronią, zwycięskim, bojowym sztandarem, jaki wznosimy, przeciwstawiając się światu starego imperialistycznego łotrostwa. Każde jest pochodnią lepszego, zwycięskiego jutra socjalizmu.

DYSKUSJA

JAN ŚPIEWAK

Wydaje mi się, że zagajeniu, które usłyszeliśmy brak było analizy, pokazania na konkretnych przykładach, jak wyglądała nasza poezja po wojnie, a więc: kto tworzył, jakie pokolenie, jakie były najwybitniejsze utwory, a potem — jakie były stopniowe zmiany. W tym wypadku moglibyśmy wysnuć o wiele więcej wniosków. Po wojnie zaczęło tworzyć pokolenie ludzi, którzy początkowo tkwili wyraźnie w poezji dwudziestolecia. Analiza przemian w twórczości czy to Jastruna, czy Przybosia, czy Ważyka, czy Miłosza — daję umyślnie przeciwstawne przykłady — wzbogaciłaby dyskusję.

Należałoby również ukazać przemiany jakie przeszła młoda generacja poetycka, która wystartowała po wojnie i początkowo nawiązywała do zupełnie innych nurtów poetyckich, niż później. Nie było rzeczą przypadkową, że Różewicz początkowo nawiązywał do Przybosia, a Braun do poezji francuskiej, a potem dopiero nastąpił przełom w twórczości poetów tej generacji.

ARNOLD SŁUCKI

Sedno wywodów prelegenta widzę w tezie o dwu nurtach w naszej poezji, z jednej strony poezji o bezpośrednim wyrazie, postulującej, z drugiej — poezji jednostronnie obrazowej.

Diagnoza została postawiona słusznie. Jest takie rozwidlenie w naszej poezji, ale nie została postawiona wyraźnie sprawa zadań współczesnej poezji, zagadnienie do czego dążymy. Ci poeci, którzy nawiązują do poezji zwartej, zamkniętej, do tradycji Broniewskiego, zapominają niekiedy, że wiersze takie jak np. „Łódź" lub „Zagłębie Dąbrowskie" są jednocześnie i rewolucyjnym stawianiem jakiegoś zadania, i bardzo sugestywnym obrazem. Dają pewne uogólnienie rzeczywistości, na podstawie którego wyrasta nowy obraz — obraz zagadnienia. Krytyka radziecka bardzo często cytuje wypowiedzi krytyka Gonczarowa, że bez obrazu nie ma poezji, nie ma sztuki. Poezja, nawiązująca do Broniewskiego, bierze czasem tylko jeden element jego poezji, a mianowicie postulatywność, ale odrywa tę postulatywność od konkretnego obrazu, ucieka od rzeczywistości.

Należy stwierdzić, część naszej poezji cechuje oderwanie się od przemyślanego, wypracowanego obrazu poetyckiego.

Z drugiej strony mamy typ poezji obrazowej. Mamy tam do czynienia z potokiem obrazów i potokiem dygresji intelektualnych, nie zorganizowanych, nie prowadzących do jakichś wniosków. Kiedy poeta-„obrazowiec" nie ma poczucia odpowiedzialności za obrazowanie i rzuca obraz w sposób nie prowadzący do konkretnych wniosków, kiedy nie ma aktywnej postawy wobec rzeczywistości, wówczas obraz rozłazi mu się i nie spełnia swej bojowej politycznej funkcji organizowania, wyostrzania myśli i wyobraźni, — a poprzez nie — organizowania czynnego działania. To są dwa chorobliwe zjawiska naszej poezji.

Mówiono tu o Nerudzie, ale zapominamy, że jeżeli chodzi o Nerudę, trzeba skonkretyzować, o jakich wierszach Nerudy mowa. Neruda daje nam przykład organizowania wyobraźni w ten sposób, aby mobilizowało to do walki i dlatego, dając przykład Nerudy, trzeba mówić o tych właśnie jego mobilizujących utworach. Jest to poeta, który w trudniejszych warunkach niż nasze, nie mając jeszcze konkretnych zadań budownictwa w swoim kraju, będąc tułaczem i jednocześnie poetą rewolucyjnym, zbliżył się w swojej poezji do podejmowania zadań realistycznych, do stawiania zadania walki czytelnikowi.

Rewolucja nasza nie tylko rejestruje naszą tradycję, ale ją przestawia i wydaje mi się, że naszym zadaniem powinno stać się teoretyczne i praktyczne przezwyciężanie wskazanego rozdwojenia w naszej poezji. Trzeba naszym poetom „postulującym" wytłumaczyć, że nie można „postulować" bez końca, że trzeba wypracować także obraz naszej rzeczywistości, uczyć się jej, uczyć się uogólniać obrazy rzeczy nowych. Naszym „obrazowcom" trzeba wytłumaczyć, że nie powinni dać się ponosić obrazowości, że trzeba umieć

(Dokończenie na str. 6)

LEON PRZEMSKI

M O C H N A

Krukowiecki stał przez chwilę na progu, w blasku światła idącego z wnętrza cukierni, i zastanawiał się, co robić. Iść do domu, za wcześnie, pospacerować trochę i pogadać z przygodnymi przechodniami, jak to zwykł był ostatnio czynić, za późno.

Przez plac Krasińskich niósł się gwar, dochodzący od strony Teatru Narodowego. Widzowie korzystali z małej przerwy i przechadzali się po dziedzińcu nadstawiając spocone twarze pod rzeźki wietrzyk płynący z Ogrodu Krasińskich.

Skierował kroki w tamtą stronę. W tej samej chwili od graniastej skrzyni studni zdobiącej, w towarzystwie dwóch innych, plac, oderwała sie jakaś ciemna postać i ruszyła w kierunku generała. Był to Mochnacki. Krukowiecki przywitał go z wylewną radością. Był to chyba najbardziej wymarzony słuchacz, jakiego sobie na dziś wieczór mógł życzyć.

— Witaj, Maurycy: Cóż ty tu robisz?

— Na generała czekam — odpowiedział Mochnacki z głuchą determinacją w głosie.

— Cóż to, czyżbyś znowu był w tarapatach? Ale zwracam ci uwagę, Maurycy, że w razie czego nie mógłbym ci udzielić schronienia, jak Lubecki w grudniu.

— Generale, nie otwieraj zagojonych ran.

— Ja przecież nic złego, Maurycy. Żarty na bok, ale dziwię ci się, żeś się tak dał wtedy zażyć z mańki temu farbowanemu lisowi.

— Za to miałem lekcję, która mi starczy na całe życie. Historia z Lubeckim już się więcej nie powtórzy.

— Nie mów hop, Maurycy, wypuściliście cugle z rąk i nie widzę, byście mieli je z powrotem uchwycić.

— Generale, są siły w stolicy, które nie śpią...

— Ja ich nie widzę — parsknął Krukowiecki. —Ten laluś Skrzynecki nareszcie poszedł, ale na swoim miejscu zostawił kukłę drewnianą. Jak wam nie wstyd? Jak mogliście do tego dopuścić? I to się nazywa młodzież. W listopadzie daliście się wywieść w pole Lubeckiemu, a teraz Skrzyneckiemu Zobaczysz, że Dembiński będzie tańczył tak, jak mu Skrzynecki zagra.

— Generale, ja właśnie w tej sprawie...

— Za późno, Maurycy, za późno — ciskał się Krukowiecki nasuwając na oczy gęstą czapę brwi — trzeba było wczoraj, zanim Dembińskiego wybrano na wodza. Teraz będzie z nim trudna rada... Przespaliście wypadki. O całą dobę. Spóźniliście się. Trzeba było widzieć wczoraj Dembińskiego Ja go widziałem i tak prędko nie zapomnę. Co za pewność siebie! Kto by to pomyślał. Hreczkosiej przeklęty. Czy wiesz, co o nim mówią u Loursa? On ma, powiadają, zadek do siodła, a nie głowę do dowodzenia. Dembiński będzie stokroć gorszy od Skrzyneckiego Wspomnisz moje słowa. Krukowiecki miał rację, powiecie... Ale będzie za późno... Spóźniliście się, moi drodzy. Trzeba było wcześniej przyjść do mnie.

Mochnacki spojrzał z ukosa na Krukowieckiego. Gra czy szczerze mówi? Przypływ rozgoryczenia czy też jak kupiec udaje obojętnego, by uzyskać lepsze warunki. Krukowiecki, jak gdyby wyczuł, że Mochnacki obserwuje go pilnie, włożył machinalnie kapelusz, który zdjął uprzednio z powodu gorąca.

— Zawsze powtarzałem Skrzyneckiemu: „Nic z ciebie nie będzie ważnego, bo głowę masz spaczoną". Do Dembińskiego nawet tego nie można powiedzieć, bo ten wcale nie ma głowy... Trzeba go było widzieć dziś nad ranem... Co za mina wielkopańska... A trzeba ci wiedzieć, że jeszcze nie tak dawno loterią austriacką handlował w Krakowie. Generale, wołał, ciebie jedynie widzę zdatnym do utrzymania porządku... Bałwan... Żandarma chciał ze mnie zrobić... Choć trzeba mu przyznać, że nie jest wcale taki głupi, na jakiego wygląda... To była przemyślana gra... Nie, to chyba nie jego pomysł. To mu musiał ktoś podszepnąć. Czartoryski? Tak, to na niego wygląda... Albo nie, już wiem. To zapewne ktoś z kaliskich hreczkosiejów. Łajdacy! Żandarmem mnie chcieli zrobić. Pojmujesz, Maurycy, co za szatańska gra? Ty, Krukowiecki, udzierasz się w Warszawie ze Starym Miastem, trzymaj w ryzach rewolucjonistów, psuj sobie renomę wśród ludzi, a my tu, mając spokój na tyłach, będziemy się układać z carem. Po cichutku, powolutku. Nikczemnicy! Ale przejrzałem cały ich manewr... Odmówiłem... A on swoim ochrypłym basem — miałem ochotę schwycić go za fioletowy pijacki nos — jak nie zagrzmi: „Jenera'e, nie ja cię proszę, ale ojczyzna cię potrzebuje, jak możesz odmawiać". Paradny. Skąd on może wiedzieć, gdzie mnie ojczyzna potrzebuje. Czy tylko on ma monopol na rozmawianie z ojczyzną? Mnie ojczyzna co innego powiedziała.

Mochnacki przerażony był tym potokiem słów. Nadto dobrze znał Krukowieckiego, by przypuszczać, że na tym się skończy. Dembiński generała zbyt głęboko ugodził. Ten zalew słów będzie trwał. Rozejrzał się dokoła. Na szczęście weszli dopiero w Miodową. Szli powoli nie śpiesząc się. Krukowieckiemu bynajmniej nie zależało na tym, by rychło znaleźć się w domu, a tym bardziej Mochnackiemu. Miodowa była już pusta. Tylko w chwili gdy mijali pałac Chodkiewicza, wysypała się z niego grupka cywilów i oficerów. To najzawziętsi bywalcy Honoratki, ci co to aż do zamknięcia kawiarni zwykli pić i gardłować, opuszczali ulubiony lokal Cbaj nasunęli głęboko kapelusze na oczy i przerwali rozmowę.

— Gdy ja byłem gubernatorem Warszawy — mruczał Krukowiecki pod nosem — u Honoratki były pustki. Czy wiesz Maurycy, że od trzeciego marca, to znaczy od chwili, gdy objąłem urząd gubernatora, do 29 maja, a więc do końca mego urzędowania, korespondencja sztabu zakończyła się numerem 6130. Czy ty to pojmujesz? Sześć tysięcy sto trzydzieści listów. Nie mówiąc już o licznych pomniejszych, nie numerowanych korespondencjach. Dla oficerów udających się za rozkazami wydano 1775 kart drożnych, inwitacji na podwody 1440, na kwatery 2100. Zastałem bałagan, jakich mało. Z lazaretów wypuszczano rekonwalescentów bez odzieży, zaopatrzenia i kwater. Maroderzy wałęsali się po ulicach Warszawy. Żelazną miotłą wyczyściłem wszystko. A teraz... Płakać się chce... Dwa miesiące wystarczyło, i znów się maroderzy pokazali. Pełno ich wszędzie na każdym kroku...

Krukowiecki urwał swój monolog na chwilę i zamyślił się głęboko, jak gdyby rozkoszował się w duchu wspomnieniem Warszawy uporządkowanej przez niego. Mochnacki postanowił szybko skorzystać z okazji.

— Z tego wszystkiego, generale, jeden tylko wypływa wniosek...

— Jaki wniosek? — zawołał Krukowiecki tupnąwszy nogą o bruk. — Żaden wniosek! Spóźniliście się. Trzeba było wcześniej...

Mochnacki chciał odszukać wzrok generała, ale oczy jego uciekały gdzieś w bok.

— Nigdy nie jest za późno, generale, żeby ojczyznę ratować...

— Zostaw tę ojczyznę, Maurycy, zbyt często słyszałem ten wyraz w ustach Skrzyneckiego, by na mnie już mógł robić wrażenie. Mnie nie trzeba przypominać ojczyzny. Popatrz na me włosy, siwe są, widzisz, ich siwizna to dowód, że o ojczyźnie nie zapominam. Ale o mnie, Maurycy, o mnie, którym od lat dla niej krew przelewał, wszyscy zapominają. A ty pierwszy, Maurycy. Z Horodyskim się wdawałeś... O Skrzyneckiego zabiegałeś... Wiem, wszystko, wiem...

Mochnackiemu pot wystąpił na czoło.

— Jeśli powtórzy się scena z Kozłowskim — pomyślał — zacznę wyć z rozpaczy.

Nagle ciszę nocną rozdarł przeraźliwy skowyt.

Krukowiecki zatrzymał się gwałtownie i wpił palce w ramię Mochnackiego.

— Słyszałeś? Co to było?...

Skowyt przeszedł w zawodzące skomlenie, a później uderzył po raz drugi.

— To kot, a byłbym przysiągł, że to mój syn tak krzyczy. Nie, przecież to niemożliwe. To zbyt daleko stąd, bym mógł usłyszeć. Leży biedny i czeka na ojca. Wasza Klimka go dogląda. Dzielna kobieta. To straszna rzecz, zapalenie stawów. Stoisz przed łóżkiem syna, wije się z bólu i nic nie możesz poradzić. A jesteś przecież ojcem... Zatykasz sobie uszy, by nie słyszeć krzyku... Przedwczoraj musiałem się obok niego położyć. Nie wiem, czy dlatego, że go rozgrzałem własnym ciałem, dość, że przestał krzyczeć. Prosił, żeby mu opowiedzieć bajkę. Wyobraź sobie, że nie mogłem sobie żadnej przypomnieć. Gdy byłem w jego wieku, nikt mi bajek nie opowiadał. Wobec tego zażądał, żebym mu coś zaśpiewał. Okazało się, że żadnej piosenki nie znam. Usprawiedliwiam się jak mogę, a on na to: „Tatusiu, jak to się dzieje — jesteś generałem, a nic nie umiesz." Ha, ha, ha... Jak ci się to podoba, Maurycy? Nie jesteś ojcem, nie wiesz, co to dziecko... Widzisz, to taka boczna ścieżka w lesie. Zmęczyłeś się krocząc szosą, więc od czasu do czasu skręcasz w bok... A te nagłe niespodziewane pytania, których sobie sam w życiu nigdy nie stawiałeś. Skąd to się u nich bierze? Szkoda, że nie masz dzieci. Ale cóż, nie masz czasu, by być ojcem. W głowie ci inne rzeczy. Ojczyzna, sława, poezja... Tak, urzekły cię piękne oczy Skrzyneckiego. I jego wspaniała lwia grzywa. No cóż, ja nie mam pięknych oczu. Ani lwiej grzywy. Muszę sobie pielęgnować włosy przy prawej skroni, żeby sobie nimi łysinę zakryć. A teraz, kiedy wszystko diabli wzięli, przychodzisz do mnie. Cóż teraz można zrobić?

Mochnacki wdarł się gwałtownie w wir jego słów.

— Generale, sam w to nie wierzysz. A co znaczą barykady wzniesione przez ciebie w środku miasta?

— Barykady, powiadasz? To było dwa miesiące temu. Od tego czasu wiele się zmieniło. Skrzynecki zabagnił wszystko. Rozumiem, wy, młodzi, wierzycie. Wam nic innego nie pozostaje. Możecie wszędzie zacząć nowe życie. Ale ja... Zawsze mówiłem ojcu twemu: „Panie Bazyli, syn twój wniesie ci w dom sławę, przygotuj miejsce".

Skręcili w ulicę Senatorską.

Szli powoli nie śpiesząc się. Od czasu do czasu przystawali. Krukowiecki rękoma w tył założonymi wywijał laską młynka. Mochnacki przygarbiony, zgnębiony słuchał jednym uchem. Nie wątpił, że generał rozgrywał z nim swoją najlepszą partię szachów. Każdy kwadrans wybijany przez zegar na wieży kościelnej wbijał mu się jak sztylet w serce. Cóż powie Kozłowskiemu? Że dał się wyprowadzić w pole staremu hrabiemu? On, który skakał do oczu Lubeckiemu, Czartoryskiemu, Chłopickiemu?

— Czy zwróciłeś uwagę, Maurycy — ciągnął generał — że my we trójkę ze Skrzyneckim jesteśmy z Galicji. Dziwnie się to wszystko układa... Jak on się sprytnie przebijał przez życie... Powolutku, cierpliwie... Umiał się ugiąć, gdy ktoś przydeptał, umiał w czas się podnieść. Wiedział zawsze, jak się komu ukłonić, na kogo hardo spojrzeć. Spodniczki i sutanny to były jego pomocnice. Tęskne spojrzenia dla kobiet i wzrok wzniesiony do nieba dla jezuitów. A czy ty wiesz, ile on się nakradł. Żołnierze jego chodzili boso, a on krocie przegrywał do Rożnieckiego, by się przez niego wśliznąć do Wielkiego Księcia. I teraz się sprytnie urządził. Przycupnął pod skrzydłami Dembińskiego. Jeżeli się nam coś uda, potrafi zwycięstwo zakasować dla siebie, a niech się nam noga powinie, zwali wszystko na tego niewydarzonego dowódcę. Czartoryskiemu się dziwię, ma przecież oczy, widzi, co się dzieje. Nic innego, tylko wypadki przerosły nas wszystkich. I co wy mi dziś przynosicie? Co wy reprezentujecie? Kogo macie za sobą? Rzemieślników ze Starego Miasta?

— Jesteśmy wysłańcami ludu, generale.

Krukowiecki przystanął i roześmiał się głośno.

— Gdzie ty masz ten lud? Gdzie? Od ulicy dowództwa nie przyjmę. Hrabia Krukowiecki na czele motłochu... Przecież nie śmiałbym się pokazać na oczy swoim przodkom na tamtym świecie. Ładne rzeczy, Hrabia Krukowiecki na czele szewców...

— Generale, szewcy warszawscy już raz pokazali, co potrafią...

— Mój drogi, zostaw Kilińskiego w spokoju.

— Generale, myśmy się jeszcze do ludu polskiego nie odwołali.

— I tę śpiewkę znam. Bartoszu, Bartoszu... Mógłbyś mi już raz coś nowego zaśpiewać. Od ciebie, Maurycy, mogę się tego domagać. Były raz Racławice, owszem, ale po Racławicach przyszły Maciejowice. Znam trochę historię.

— I cóż, generale, znaleźli się tacy, którzy i po Maciejowicach nie załamali rąk. I nie raz jeszcze po tym walczyliśmy o wolność. Ta walka nie skończy się, dopóki nie odniesiemy zwycięstwa. Naród, który chce żyć, nie da się nigdy ugiąć.

Przecięli Plac Teatralny i weszli w ulicę Wierzbową.

Krukowiecki zatrzymał się i zaczął laską kreślić kółka w kurzu przykrywającym grubą warstwą chodnik.

— Mierz siły na zamiary ha, Maurycy. Znam i to. Pewnie myślałeś, że stary generał poza regulaminem piechoty nic nie czytał. Coś nie coś zasłyszałem o waszych romantyzmach. Nikt mi nie zaprzeczy, że ja jeden jedyny stawiałem się hardo Konstantemu. Nie miał on ze mną łatwego życia. Na wieść o rewolucji stawiłem się pierwszy. Najstarszym generałem byłem. Nie lubili mnie. Spostponowali... Chłopicki jak subalterna traktował... Zacisnąłem zęby... Wiedziałem, że przyjdzie kolej na mnie... Wiem, że władza leży na ulicy, ale ja jej od ulicy nie przyjmę.

— Ale od Sejmu przyjmiesz, generale?

— A jakże wy sprawicie, że mi ją Sejm da? I tam mnie nie lubią.

— Generale, myśmy już raz zmusili Sejm do ugięcia się przed wolą ludu. Pamiętasz manifestację w rocznicę dekabrystów? Gdyby nie my, sejm nie uchwaliłby detronizacji Mikołaja.

— Tak, gdybym miał samych młodych ludzi dokoła siebie... Nie widzę ich...

— Generale, młodzi są wszyscy, którzy rewolucję zrobili... Zwołaj ich wszystkich... Otocz się nimi...

— Jeśli władzę wezmę — kłapnął Krukowiecki twardo — nie pozwolę sobie dyktować, kim mam się otaczać. Sam sobie ludzi dobiorę. Tylko dobro Ojczyzny będę miał na celu. Zaczną się pewnie pchać do mnie ludzie, którzy mnie szkalowali. Znam ja ich wszystkich. Rozpędzę całą tę adiutancką bandę nierobów, kręcącą się dokoła Skrzyneckiego. Wszystkich tych paniczów, co to uwili sobie ciepłe gniazdko w sztabie. Pracować trzeba. Jakem był gubernatorem Warszawy, to cztery godziny na dobę spałem. Barykady wznosiłem, prochy podkładałem. Saragossa... Saragossa... Pamiętam jak dziś. To było straszne, ale piękne. No cóż, możemy i z Warszawy zrobić Saragossę. Chcecie pięknie umierać... No cóż, postaram się. Tylko wtedy nie cofać mi

*) Fragment powieści o 1831 roku pt. „Szary jakobin", która ukaże się nakładem „Prasy Wojskowej".

O sytuacji w poezji

(dokończenie ze str. 5)

obrazy koordynować. Walka tych dwóch kierunków — w sensie wzajemnego ścierania się — powinna pomóc w przezwyciężaniu istniejącego rozdwojenia.

JERZY PUTRAMENT

Myślę, że tych parę prób określenia tendencji, nurtujących naszą poezję powojenną, które usłyszeliśmy, nadają się na bazę wyjściową dyskusji. Należałoby jedynie skonkretyzować linię podziału obu nurtów określonych tu w dyskusji jako nurty poezji postulatywnej i obrazowej.

Przede wszystkim więc ów drugi nurt poezji obrazowej wywodzi się z pewnych zjawisk, które zasługują na bardzo specjalną uwagę naszych krytyków. Każde pojęcie jakiejś „wartości poetyckiej" wyrabia się na podstawie całego rozwoju historycznego danej literatury narodowej. I bywa tak, że pewna literatura jest zapóźniona, inna zaś bardziej rozwinięta, w rozwoju historycznym. Zdarzają się zjawiska mechanicznego przechwytywania pewnych wartości literackich, pewnych pojęć z literatury zaawansowanej, przez literaturę opóźnioną. Takim zjawiskiem w naszym życiu literackim, niewątpliwie zapóźnionym, jak zapóźniony był nasz rozwój społeczny, była tzw. awangarda krakowska, która nie wyrosła z naszego nurtu narodowego, z naszej poezji, tylko stanowiła mechaniczne przejęcie pewnych rzeczy właściwych i typowych dla literatury obcej, francuskiej czy włoskiej, reprezentującej zupełnie inne stadium rozwoju społecznego.

Literatura francuska pod koniec ubiegłego wieku znajdowała się, jako literatura narodu o wiele bardziej społecznie zaawansowanego, na zupełnie innym etapie rozwoju niż nasza literatura. Tzw. „awangarda krakowska", przejmując mechanicznie wartości literackie, typowe dla literatury innego okresu społecznego, usiłowała je wprowadzić w nasze życie literackie. To zjawisko przechwycenia pewnych wartości literackich, nieodpowiadających ani naszej sytuacji społecznej, ani — co ważniejsze — naszemu etapowi rozwoju, odbiło się na całej historii naszej poezji okresu międzywojennego i okresu powojennego.

Weźmy np. wypadek wielkiego poety Nerudy, albo Eluarda (Hikmet jest mniej typowy). Eluard czy Neruda, poeci o świadomości postępowej, (Eluard czynny działacz, bliski francuskiej partii komunistycznej) ale poeci żyjący w środowisku, które działa w ramach ustroju kapitalistycznego, mający za odbiorcę przede wszystkim inteligencję pochodzenia burżuazyjnego, działają w zupełnie innej sytuacji społecznej niż my.

Przejmując mechanicznie ich system wartości artystycznych przy nowym odbiorcy, przy nowej sytuacji społecznej, działalibyśmy w próżni. I ów nurt poezji, który określano tu jako nacechowany przerostami obrazowości, typowymi dla surrealizmu, wynika przede wszystkim ze zjawiska mechanicznego przejmowania środków artystycznych od poetów, którzy znajdują się na innym etapie rozwoju historycznego.

Nasza „awangarda" podrabiała poezję burżuazyjną w okresie, kiedy Polska była zacofanym państwem kapitalistycznym. Obecnie są u nas poeci, usiłujący przechwycić pewne środki artystyczne od poetów zachodu w momencie, kiedy oni są w stosunku do nas opóźnieni w rozwoju historycznym.

Gdybyśmy chcieli scharakteryzować naszą poezję powojenną, to można by powiedzieć, że w pierwszym okresie, w latach 1945—1948, dominowała u nas poezja przeznaczona dla inteligenta pochodzenia burżuazyjnego.

Dwa lata temu nastąpił przełom. Nasze środowisko literackie zrozumiało, że powinno znaleźć odbiorcę, do którego trzeba trafić wartościami dla niego dostępnymi. Młodzi poeci mają tę zasługę, że pierwsi prawdę tę sobie uprzytomnili, że dobijają resztki formalizmu.

Słusznie podkreślono tu także występujące u niektórych poetów braki powiązania treści ideowej z obrazem. Obraz jest w poezji elementarną rzeczą, poezja jest to myślenie obrazami. Wiele pojawia się istotnie wierszy takich, gdzie wydaje się, że autorowi chodziło o pokazanie: „jestem politycznie w porządku". Jest to oczywiście też rodzaj formalizmu... Z tym wszystkim trzeba walczyć. Niestety, na przykład „Nowa Kultura" za mało walczy. Uważam, że selekcja wierszy w „Nowej Kulturze" jest za mało rygorystyczna. Ostatnie np. z zamieszczonych wierszy Różewicza, zawierających wspomnienia z Węgier, to po prostu pierwsze słowa z artykułu wstępnego, pozbawione obrazu, metafory i jakichkolwiek rygorów poetyckich.

Zaczyna zwyciężać w naszej poezji słuszna postawa, uznanie, że poezja jest przeznaczona dla klasy, która ma nasz naród przebudować i dźwignąć w górę. Zwycięstwo tej postawy jest niewątpliwe. Żeby je przyśpieszyć musimy żądać od poetów coraz to większego doskonalenia się, bardziej krytycznego stosunku do swych utworów. Pisząc zły wiersz „deklaratywny" poeci nasi dają broń w rękę wrogowi.

Kwestionowane tu wiersze Brzechwy uważam za dobre i potrzebne. Są u nas poeci, którzy już przed wojną stali w szeregach rewolucyjnych i wymagania, jakie w stosunku do nich stosujemy, muszą być większe. Poeta, który przed wojną był od nas daleki, ale zrobił dziesięć kroków naprzód, może być dziś jeszcze w tyle za takim, który był nam bliższy, ale zrobił tylko jeden krok. Te dziesięć kroków należy jednak zapisać na jego dobro. Jest ważne i cenne, że Brzechwa dał nam szereg wierszy, które świetnie nadają się do deklamacji, i odgrywają pożyteczną rolę w akcji walki o pokój i plan sześcioletni.

MIECZYSŁAW JASTRUN

W dyskusji była mowa o poezji obrazowej i nie obrazowej, agitacyjnej, deklaratywnej. Wydaje mi się, że wynikło to z błędnego pojmowania terminu obrazowości w poezji. Sądzę, że niektórzy mówcy mieli na myśli plastykę wyrazu. Np. wiersz Mickiewicza „Polały się łzy me czyste', nie jest wierszem, który daje jakikolwiek obraz, niemniej jest to wiersz plastyczny, dlatego, że jest dokładny, każde pojęcie jest w nim ustawione i każde wyobrażenie w odpowiednim miejscu.

Wiersz może być bardzo obrazowy, i nie być przytym plastyczny. Próbowano tu uzasadnić (kol. Rymkiewicz) jakoby poezja słowiańska szczególnie operowała obrazami. Nie jest to ścisłe. Kochanowski nie jest wcale obrazowy. Krasicki jest plastyczny, ale nie obrazowy.

Jeżeli chodzi o poezję XIX wieku, to zarówno Mickiewicz, jak Słowacki są poetami, którzy często operowali obrazem w dosłownym znaczeniu (Sonety Krymskie, Pan Tadeusz, a Słowacki we wszystkich prawie utworach). Ale nie to jest w nich wartościowe, że operują obrazem (Norwid nie operuje obrazem, a jest doskonałym poetą), ale to, że jednocześnie obrazy te są bardzo plastyczne. Wydaje mi się, że ich poezja była obrazowa w sensie plastyki, natomiast poezja dwudziestolecia, o której mówimy, jako o poezji obrazowej, której obrazowość rzekomośmy odziedziczyli, jest po prostu poezją krajobrazową, nie obrazową. Dlatego wydaje mi się, że łączenie wielkiej tradycji Mickiewicza, Słowackiego z tą poezją pseudo-obrazową, poezją dwudziestolecia jest zupełnie niesłuszne.

Zgadzam się z kol Putramentem, gdy chodzi o jego wystąpienie przeciwko plagiatowemu charakterowi naszych przełomów literackich, temu nienarodowemu stosunkowi do poezji, temu przejmowaniu zbyt łapczywemu wpływów z innej formacji społecznej i politycznej. Wydaje mi się jedynie, że nie należy wiązać nazwisk Eluarda i Nerudy, gdyż są to poeci zupełnie różni. Mówimy o Nerudzie z okresu jego walki politycznej. Jest on jednym z najbardziej gwałtownych, namiętnych poetów współczesnych: co dla nas może być obce, to jego ton biblijny, który tłumaczy się tym, że w kraju, w którym żyje, ludzie czytają biblię i on operuje tym, jako obrazem naturalnym, zupełnie jak operował nim Słowacki wtedy, kiedy czytał biblię w okresie swej mistyki. Mimo że Eluard i Neruda wyszli z tego samego nurtu rozbicia materii poetyckiej, z okresu Rimbauda, to jednak rozwój ich poszedł innymi drogami. Neruda jest naprawdę poetą namiętnym, politycznym. Weźmy jego utwory o armii radzieckiej: czy jest tam wielomówstwo? Bynajmniej. Cechuje je najwyższa oszczędność słowa. Słusznie powiedziano tu, że wiersz o jednej strofie może być rozgadany, a najdłuższy poemat skondensowany i zwarty.

ilustrował ANTONI UNIECHOWSKI

C K I*)

się ani na krok, bo będę strzelał... Nie znacie mnie jeszcze. Ze mną żartów nie ma.

Weszli w Niecałą i do Ogrodu Saskiego. Księżyc, który przed tym ślizgał się między obłokami, przeświecał blado przez każdy z nich jak wielki diament umieszczony u wierzchołka kopuły, zdołał wreszcie wyrwać się spośród puszystych fałdów. Wypłynął na duży płat granatowego nieba i oblał żywym srebrem ogród. Wystrzeliły w górę drzewa, zalśniły trawniki, zamigotały kamienne posągi zdobiące ogród. Antyczne boginki, ukryte dotychczas wśród krzewów, mizdrzyły się sklepionymi pośladkami, bezwstydnie wypiętymi piersiami i błyskami w pustych oczodołach. Na ławkach ogrodowych zarysowały się kontury zakochanych parek, szepczących o miłości i szczęściu.

Masyw Saskiego Pałacu kładący się cieniem na trawnikach przypomniał Mochnackiemu, że nie wiele już czasu zostało.

— Generale, za chwilę rozstajemy się, a nie ustaliliśmy jeszcze niczego.

— Cóż będziemy ustalać, kiedy nic jeszcze nie wiadomo. Ja wam przeszkadzać nie będę. Jeśli sejm się do mnie zwróci, nie odmowię swej pomocy ojczyźnie. Żołnierz jestem — dokończył wymijająco — obowiązkiem moim słuchać. W każdym razie do Krakowa, jak Chłopicki, nie ucieknę. A co do ciebie, Maurycy, to nie zapomnę o synu Bazylego Mochnackiego. Zrobię cię referendarzem stanu...

— Kiedy ja, generale... — zaczął się jąkać Mochnacki — tu nie o mnie chodzi...

— Powiedziałem już — przerwał mu opryskliwie Krukowiecki — że nie pozwolę sobie nikogo narzucać. Czas już wielki, żebyś o sobie samym zaczął myśleć. Tylko się przypadkiem nie wygadaj przed mamą z tym referendarstwem — dokończył złośliwie już na schodach wiodących do Pałacu.

Mochnacki długo jeszcze patrzył na bramę, która zamknęła się za Krukowieckim.

— Referendarz stanu... — przedrzeźniał w myśli generała, zaciskając zęby, by nie krzyknąć z bólu — nie wygadaj się przed mamą... stary hulaka... jak szczeniaka mnie potraktował... zemszczę się na tobie — wygrażał się po cichu zaciskając pięści i wbijając sobie do bólu paznokcie w dłoń.

Oderwał wzrok od bramy, odwrócił się na pięcie, ale stał jeszcze ciągle na miejscu, nie mogąc się na nic zdecydować, jak niesforny uczniak, który nabroił, uciekł z domu i boi się wrócić. Prawda, że w domu nic mu nie grozi. Tam matka czeka zatroskana, wiecznie niespokojna, jak gdyby miał jeszcze dziesięć lat, a nie dwadzieścia siedem. Ale w domu go czeka również noc bez snu. Czuł, że nie zaśnie Pokpił najważniejszą sprawę. Co powie Kozłowskiemu? Będzie się wstydził pokazać mu na oczy. Właściwie, należałoby się jeszcze teraz z nim spotkać. Po całej Warszawie szukać, pod ziemią szukać, a znaleźć. Tak, poruszy niebo i ziemię i jeszcze dziś znajdzie Kozłowskiego. Stanie przed nim z pochylonym czołem i powie: „Józefie, nie możemy liczyć na Krukowieckiego, to stary łajdak, równie zgorzkniały i zepsuty, jak wszyscy generałowie napoleońscy". Tak powie Kozłowskiemu. Tak, tak będzie najlepiej. Kozłowski powinien teraz być u Emilii...

Chciał przeciąć dziedziniec Saski i wyjść na Krakowskie Przedmieście, gdzie mieszka Emilia, ale nogi poniosły go same drogą powrotną do domu. Wracał tymi samymi ulicami, którymi odprowadził generała, jak zbrodniarz, który wraca po własnych śladach, by zmylić pościg. I znowu Wierzbowa, Plac Teatralny, Senatorska i Miodowa. Wracał cichymi ulicami uśpionego miasta. Towarzyszył mu księżyc i gorzkie poczucie źle wykonanego zadania. Czuł niesmak w ustach, jakby się przejadł. Wszystkie rany, dawno już zaleczone, przypomniały się dojmującym bólem. Usiłował nie myśleć o rozmowie z Krukowieckim, zatrzeć w pamięci obraz jego kwadratowej, wykrzywionej złym, sarkastycznym grymasem twarzy, jego małych w bok patrzących oczu. Chciał skupić myśl na ranach, które zaczęły dolegać, uciec myślami w minione, przykre, ale nie tak, jak to co go spotkało przed chwilą. Ból nieumiejscowiony, spychany gdzieś w zakamarki, wracał z niesłabnącą siłą i ściskał serce żelazną obręczą.

Znaleźć się jak najprędzej w domu, nie spotkać się w drzwiach z czekającą na niego w niepokoju matką, która będzie pytać, gdzie był, dlaczego taki blady, co mu dolega. Znaleźć się w łóżku i spać, spać. Zapomnieć. A może jeszcze wrócić na Krakowskie Przedmieście i powiedzieć wszystko Kozłowskiemu? Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze zdąży. Szukał w myśli różnych pretekstów, które by go mogły zwolnić od tego przykrego spotkania, ale nie mógł znaleźć. Wiedział, że w takiej chwili każde usprawiedliwienie byłoby śmieszne. Zmęczenie? Prawda, był śmiertelnie znużony. Miał wrażenie, że ma nogi z ołowiu, że idzie nie ulicą ale jakimś mokradłem, z którego trzeba całym wysiłkiem woli wyciągać grzęznące coraz głębiej nogi. Czuł, że nie zdobędzie się na to, by teraz zawrócić. Przecież nic złego się nie stanie, jeśli Kozłowskiemu zda jutro sprawę z rozmowy. Wszystkiemu właściwie winien Kozłowski. Po co go wyciągnął z redakcji. Tak smacznie spał. Byłby odpoczął. Potem skończyłby zaczęty artykuł i wrócił wcześnie do domu. Mama czekałaby z świeżą kawą. Teraz już za późno na kawę. Nie będzie mógł zasnąć. Będzie leżał z otwartymi oczyma i liczył godziny wybijane przez zegar na wieży klasztornej.

Aby uciec przed dręczącymi go myślami, zaczął liczyć latarnie wzdłuż ulicy.

— Jedna...

— Dwie...

— Trzy...

... Krukowiecki mówił, że będzie się otaczał młodymi ludźmi. To chyba można uważać za sukces. Kozłowski też mówił o młodych. A że generał zastrzegł się, iż nie da sobie narzucać ludzi. Mój Boże, jakżeby mogło być inaczej. Przecież dowódca musi być ostrożny w doborze ludzi. Musi rozstawiać ludzi według swego instynktu i uznania. Inaczej nawet być nie może. On sam, jako referendarz stanu, może wiele zdziałać. Ktokolwiek będzie jego przełożonym w ministerstwie spraw zewnętrznych, nie odważy się wbrew jego woli zwracać z pokornymi prośbami do Metternicha czy dworu pruskiego. Co innego oczywiście z gabinetem angielskim czy francuskim...

Dziewięć...

Dziesięć...

... Jeśli na chłodno rozważyć wszystko, co powiedział Krukowiecki, to nie ma właściwie co rozpaczać. To nerwy mnie poniosły w pierwszej chwili. Jeśli tylko zdołam się przespać, to całkiem inaczej będę patrzył na dzisiejszą rozmowę. Właściwie, wszystkiemu winien Kozłowski. To on swoim oskarżeniem wyprowadził mnie z równowagi i odebrał możność jasnego myślenia, które tak konieczne było w rozmowie z Krukowieckim.

Głowa przestała mu ciążyć, nogi zrobiły się lżejsze.

Piętnaście...

Szesnaście...

Siedemnaście...

To już Miodowa.

Osiemnaście...

... O Saragossie mówił. Krukowiecki mamiono wszystko wyczucie wzniosłości. Marzy o pięknie śmierci wśród gruzów Warszawy. Czegoż można więc od niego wymagać? To nie Chłopicki, ani Skrzynecki. Prawda, brak mu postawy Skrzyneckiego, ale to nie jest ważne.

Długa.

Dwadzieścia jeden...

Dwadzieścia dwa...

Kozłowski weźmie mu zapewne za złe, że nie poruszył w rozmowie z Krukowieckim sprawy uwłaszczenia chłopów. Ale dobrze się stało, że go generał nie dopuścił do słowa. Ośmieszyłby się tylko. Dzisiaj, gdy cała Polska ogranicza się tylko do jednej Warszawy z okolicami, byłoby ironią dawać chłopom ziemię na własność A toby się Krukowiecki śmiał. Już nie macie większych zmartwień, zapytałby. Kto by to przypuszczał, że Kozłowski, taki na pozór trzeźwy, może się okazać fantastą. Przecież znacznie lepszym wyjściem byłoby zrobić tak, jak on to już dawno radził...

... Uszlachcić chłopów... I wtedy Polska stanie się krajem naprawdę szlacheckim.

Cały naród Rzeczpospolitą szlachecką. Polska będzie wzorem dla całej Europy. Rzecz prosta, jednym pociągnięciem pióra to się nie da uczynić. Trzeba powoli. Chłop, żeby zostać szlachcicem, musi sobie na to zasłużyć. Na polu chwały. Zamiast krzyża walecznych pasować chłopa na rycerza, na szlachcica. Tak jak za dawnych lat bywało. Co za kopalnia tematów dla poetów. Jak to powiedział Schlegel?... Poezja starożytna była poezją posiadania, nasza jest poezją tęsknoty, tamta...

... Nie mógł sobie przypomnieć, jak to dalej powiedział Schlegel.

Dwadzieścia dziewięć...

Jeszcze kilka kroków i będzie w domu. Mama zapewne będzie uważała, że jej Maurycy, jej wielki, genialny Maurycy zasłużył sobie na coś więcej niż być referendarzem stanu. Jakby to dobrze było, gdybyśmy w życiu mogli być tym, co dla nas wymarzyły sobie matki. A może i nie. Może by świat się naprzód nie posuwał...

Trzydzieści...

Nie, to nie latarnia. To światełko w oknie Lelewela. Profesor siedzi jak zwykle przy swoich sztychach i starych rękopisach. Temu będzie w życiu zawsze dobrze. Zawsze zadowoli się małym. Ale gdzie się do licha podziała latarnia, przy której świetle nieraz czytał siedząc u okna. Spojrzał w górę. Jakiś nędzarz w łachmanach wisiał u lampy i kołysał nogami, jedną własną i jedną drewnianą. W pierwszej chwili myślał, że to jakiś nieszczęśliwiec powiesił się z rozpaczy. Schwycił za nogę. To była noga żywego człowieka. Szarpnął mocniej. Na ziemię zesunął się ciężko jakiś inwalida, jak można było sądzić po resztkach wojskowego munduru.

— Co ty tu robisz? — krzyknął Mochnacki nienaturalnie głośno, jakby w tym krzyku wyładować chciał całą niedolę niewydarzonego wieczoru i strach, który go w pierwszej chwili ogarnął na widok tajemniczej postaci uwieszonej u latarni.

Inwalida skulił się cały.

Mochnacki chwycił go za pierś i potrząsając nim z wszystkich sił, powtarzał piskliwie:

— Mów, bo cię zatłukę!... Mów, bo cię zatłukę!...

— Chciałem z latarni zabrać trochę łoju... Głodny jestem. ...Suchym chlebem żyję... Wnętrzności się skręcają — mamrotał obcy chrapliwie.

— Znaczy się, kraść chciałeś, łotrze? — zawołał Mochnacki i zdzielił inwalidę tak silnie pięścią między oczy, że ten zatoczył się i upadł.

Rozległ się głuchy stuk czaszki o bruk. Mochnacki nie spojrzał nawet na leżącego, wpadł szybko do bramy i biorąc po dwa stopnie naraz wbiegł na pierwsze piętro. Drzwi otworzyła mu matka. Nie spała jeszcze, jak słusznie przewidywał. Patrzyła na niego niespokojnymi oczyma, zasłaniając dłonią świecę od przeciągu.

— Co się stało? Czemuś taki blady?

— Nic mi nie jest, mamo — mruczał utkwiwszy oczy w podłodze. — Spać mi się chce. Zmęczony jestem.

— Czemuś taki zadyszany, Maurycy? Przecież widzę, że coś się stało... Powiedz mi, mam prawo wiedzieć, matką jestem.

— Nic mi nie jest, proszę cię, zostaw mnie — krzyknął rozpaczliwie i odepchnąwszy matkę, wpadł do swego pokoju.

Osunął się na fotel, złożył głowę na ramieniu i dysząc ciężko siedział nieruchomo. W głowie huczało, jakby się w niej koło młyńskie obracało. W uszach szumiało. Skronie bolały tak, jakby ktoś w nie świdrem się wwiercał.

Sam nie wiedział, jak długo tak siedział bez ruchu. Gdy wstał, usłyszał szelest pod drzwiami. To mama pewnie nasłuchuje w niepokoju, pomyślał. W pierwszej chwili chciał wyjść i uspokoić matkę, ale myśl, że mógłby się teraz zetknąć z twarzą ludzką, przyprawiała go o mdłości. Wstał, podniósł wieko od fortepianu, chciał coś zagrać, ale zanim usiadł na taborecie, zatrzasnął z powrotem fortepian. Wykręcił knot od lampy i zasiadł przed biurkiem. Może uda mu się pracować. Ale zamiast wziąć pióro do ręki, sięgnął po biblię. Otworzył na chybił trafił. Zaczął czytać ewangelię św. Mateusza:

„Tedy odszedłszy jeden ze dwunastu, którego zwano Judaszem Isskariotem, do przedniejszych kapłanów, rzekł im. Co mi chcecie dać, a ja go wam wydam? A oni mu odważyli trzydzieści srebrników. A odtąd szukał czasu sposobnego, aby go wydał..."

Zatrzasnął z hukiem książkę. Głowa opadła mu ciężko na blat biurka. Ciałem jego wstrząsnął szloch. Po raz drugi tego dnia. Nie słyszał nawet jak matka weszła do pokoju. Położyła chłodną dłoń na jego rozpalonej głowie:

— Słuchaj mnie, Maurycy, rzuć do diabła całą tę politykę. Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Ty już swoje zrobiłeś. Tyle ran odniosłeś. Jeszcze im tego mało? Kto cię wciąga do nowych spisków? Powiedz mi. Oczy mu wydrapię.

Przypadł głową do kolan matki:

— Mamo, mamo, jaki twój syn nieszczęśliwy.

Leon Przemski

ANDRZEJ CRAUN

GŁĘBOKA RZEKA

Paulowi Robesonowi

Głęboka rzeka —
przez którą musisz
przejść —
Ciemna rzeka murzyńskiej krwi.
W dobrego Mojżesza,
który wywiódł z domu niewoli,
nie wierzą dzieci.
Nikt.

Głęboka rzeka —
Jezusa o czarnej twarzy
w Wirginii oblano naftą.
Głęboka rzeka —
Któż rzekę przejść się odważy
z podszczutą prawdą?

Tam człowiek
który zapisuje nazwiska —
na Colcie jego ręka.
Spod świstu
bykowca tryska
gorączkująca piosenka.

Za oceanem
inżynier skośnooki
postawił rzece tamę.
U beckich dziewcząt
dłonie dla twojej pieśni
wzniosły fundament.

Głęboka rzeka —
a jednak przebyć ją trzeba,
by przeżyć turkmeńskie wiosny.
Czarną
roboczą rękę
podnieś nie do nieba,
lecz sięgnij tam,
gdzie wskazał przykład
Moskwy.

ROMAN SADOWSKI

SŁUCHAJĄC PAK-DEN-AI*)

Noc stoi wpatrzona w gołębia,
który łopoce na wietrze,
ja stoję wpatrzony w gołębia,
który łopoce w sercu
i ważę twoje słowa
Pak-Den-ai...

...A kiedy ucichło wycie
i ludzie zaczęli wracać,
wśród nich była Kim,
młoda Kim z dzieckiem na plecach...

Nie widziała i nie wiedziała,
że dziecko jest bez główki,
a ludzie bali się jej to powiedzieć...

Urodziła listek miłości,
rąbek błękitnego poranka,
piórko słowika,
kropelkę rosy,
ziarenko ryżu...

I miała ręce ciche,
jak rączki dziecka,
które biegnie bezpieczne
do węża jadowitego...

I miała serce ciche,
wolne od nienawiści
i wolne od miecza,
który odgrodziłby świat jej od ognia...

We włosy dziecka wplatała złote pierścionki,
w swój śpiew wlewała srebro potoku,
w kołyskę ciszy przemieniała wiatr,
modliła słowo: pokój...

...A kiedy przyszła do Phenian,
był tylko płomień,
a kiedy chciała karmić —
mleko spłynęło w popiół...

I była jak drzewo samotne,
próchniejące nad ciemną wodą,
zawodzące pod ciemnym niebem,
nad ciemną wodą bez gwiazd...

W naszym mieście jest gołąb na wietrze
i wiele samotnych drzew,
w naszym mieście są nowe domy
i domy, jak deszczu śpiew...
W tych samotnych drzewach śpi smutek —
skrzypiec ton,
w tych deszczowych domach są oczy —
smutku dno...

Młoda Kim dzisiaj wzięła do ręki,
twardy miecz,
poszła w góry szerokie, jak niebo
i nieba cień.
Poszła w góry wysokie, jak niebo —
poszła się bić,
za swe dziecko, za wolność, za pokój,
za nowe dni!

Dzień wstaje wpatrzony w gołębia,
który łopoce na wietrze —
ja idę wsłuchany w gołębia.
który łopoce w sercu: —
nasze matki są z tobą, młoda Kim,
nasze matki są z wami,
o Pak-Den-ai...

20. XI. 1950 r.

*) Pak-Den-ai — delegatka Korei na Kongresie Pokoju w Warszawie.

EGON NAGANOWSKI

Hamlet i jego poznańska inscenizacja

Szekspir, człowiek z ludu, aktor, reżyser i dostawca utworów dla wędrownych trup teatralnych, był — w odróżnieniu od większości swych poprzedników, pisarzy o uniwersyteckim wykształceniu — autorem w całym tego słowa znaczeniu popularnym. Zwracał się nie do cienkiej warstwy szlacheckofeudalnej czy dworskiej, lecz do przeciętnych widzów, którzy pod koniec XVI wieku tłumnie uczęszczali do nowopowstałych wtedy w Anglii teatrów „otwartych", teatrów dostępnych dla ludzi wszystkich stanów. Właśnie „w bezpośrednim związku z teatrami „otwartymi" — pisze uczony radziecki M. Morozow — „wyrosła ta pełnokrwista, potężna, realistyczna dramaturgia, której największym przedstawicielem był Szekspir". Jego historyczno-polityczne dramaty ukazujące m. i. po raz pierwszy niezadowolony plebs jako realną siłę polityczną („Juliusz Cezar", „Korolian"), jego komedie, zawierające wiele pierwiastków ludowych i odzwierciedlające stosunki społeczne elżbietańskiej Anglii, znajdowały szeroki oddźwięk i powszechne zrozumienie. To hałaśliwy tłum plebejskich widzów decydował wtedy o powodzeniu sztuki.

Dopiero z biegiem czasu — a proces ten rozpoczął się jeszcze za życia Szekspira — warstwy posiadające przywłaszczały sobie coraz bardziej genialnego pisarza, preparowały go na swój wyłączny użytek, odgrodziły od prostego ludu. By przystosować Szekspira do arystokratycznych a potem burżuazyjnych gustów, zrobiono zeń odzianego w togę sztucznej teatralności klasyka, „pogłębiono" jego bohaterów, zależnie od kraju i epoki, klasycystyczną, romantyczną, naturalistyczną, symboliczną, psychoanalityczną czy — ostatnie „odkrycie" — egzystencjalistyczną interpretacją, przytłoczono jego dzieła aparatem i maskaradą formalistycznych, często bombastycznie rozbudowanych inscenizacji. Przecież już w roku 1666 William D'Avenant wprowadził do gruntownie przerobionego „Makbeta" pieśni i tańce, przeistaczając tragedię chwilami w rewiowe — jakbyśmy dziś powiedzieli — widowisko. W tym wszystkim ginął prawdziwy Szekspir, wielki realista i humanista, wyrosły z określonej epoki, z określonego podłoża społecznego, a jego miejsce zajął, szczególnie w scenicznej praktyce wielu teatrów burżuazyjnych XX wieku, Szekspir sfałszowany i wypaczony, któremu kazano być autorem „uprzystępnionych" komedii, pełnych drobnomieszczańskiej błazenady oraz „trudnych" dramatów, pełnych „ponadczasowych" problemów i psychologiczno-dekadenckich komplikacji. Wprawdzie istnieli zawsze światli ludzie, którzy wzorem Lessinga, Goethego, Coleridge'a, Lamba, Stendhala, Bielińskiego a szczególnie Marksa i Engelsa kochali prawdziwego Szekspira, szerzyli właściwe zrozumienie jego dzieł, ale dopiero radziecka szekspirologia i radziecka praktyka teatralna postawiła sobie szczytne zadanie systematycznego oczyszczania dzieł wielkiego Anglika z antyrealistycznych i antyhumanistycznych naleciałości interpretacyjnych i zwrócenia ich tym szerokim masom, dla których były pisane. Już dziś w Związku Radzieckim Szekspir stał się własnością milionów widzów. Ten sam cel przyświeca nam w Polsce Ludowej. I dlatego każde nasze przedstawienie szekspirowskie należy z tego właśnie punktu widzenia oceniać.

W Polsce odbywa się w danej chwili jakby drugi, mały festiwal szekspirowski bez wyznaczonych nagród i oficjalnych uroczystości. Podczas gdy Warszawa „rzuciła się" jednak tym razem na komedie, Teatr Polski w Poznaniu pokusił się o pokazanie „Hamleta", tego „najwspanialszego — jak go nazywa Bieliński — brylantu w promienistej koronie króla dramatycznych poetów". Przedsięwzięcie to ambitne i obowiązujące. Chyba żaden inny utwór Szekspira nie wywołał tylu sprzecznych komentarzy (ca. 20 tys. pozycji bibliograficznych w różnych językach świata!), nie był tak rozmaicie i często tak fałszywie interpretowany. Jedna z przyczyn tego stanu rzeczy leży pośrednio w genetycznej dwuwarstwowości samego dzieła. Szekspir przejął bowiem wątek ze starej sagi o Amlecie, spisanej po raz pierwszy w XII w. przez duńskiego kronikarza Saxo Grammaticusa i do tej unowocześnionej przez siebie historii o zemście rodowej wprowadził tragedię współczesnego sobie humanisty, postawionego wobec podłości otaczającego świata. Przy tym nawet w postaci Hamleta pozostały pewne cechy jego legendarnego pierwowzoru. I choć cechy te, podobnie jak inne „archaiczne" pozostałości w dziele, nie odgrywają zasadniczej roli, choć Szekspir nadał im nowy, realistyczny sens, to jednak one właśnie, powierzchownie interpretowane, sprawiły, że wiele teatrów wystawiało „Hamleta" jak tragedię krwawej zemsty, jako pseudohistoryczną sztukę kryminalną, dającą okazję do zastosowania efektownych lub efekciarskich, bogato rozbudowanych elementów scenicznych. Inni znów wpadali w drugą skrajność i uważając akcję sztuki, jej zewnętrzne powikłania za „żenujący prymityw", koncentrowali prawie całą swą uwagę na osobie Hamleta, na jego przejściach duchowych, przez co prezentowali oderwany dramat psychologiczny, dla którego najlepszą oprawą jest pusta lub prawie pusta scena. Jeszcze inni wreszcie — a tych było i jest bodaj że najwięcej— wybierali eklektyczną drogę złotego środka, starając się pogodzić w najróżniejszy sposób dwa poprzednie ujęcia. Takim ujęciem eklektycznym z silnym zresztą przechyleniem w stronę egzystencjalistycznego psychologizmu było np. przedstawienie „Hamleta" w r. 1947 w paryskim teatrze Marigny, gdzie rolę tytułową grał Jean-Louis Barrault. I taką też eklektyczną inscenizacją, w tym wypadku skłaniającą się ku tragedii zewnętrznych zdarzeń, był „Hamlet" pokazany przez Szyfmana podczas Festiwalu Szekspirowskiego. Nie trzeba oczywiście specjalnie podkreślać, że żadna z wyżej krótko scharakteryzowanych mniej lub więcej formalistycznych koncepcji nie jest już dla nas obecnie do przyjęcia. Wiemy bowiem, że wielkie realistyczne dzieła przeszłości tylko przez realistyczną interpretację mogą się stać nam naprawdę bliskie, mogą zajaśnieć pełnym blaskiem w oczach dzisiejszego, nowego widza.

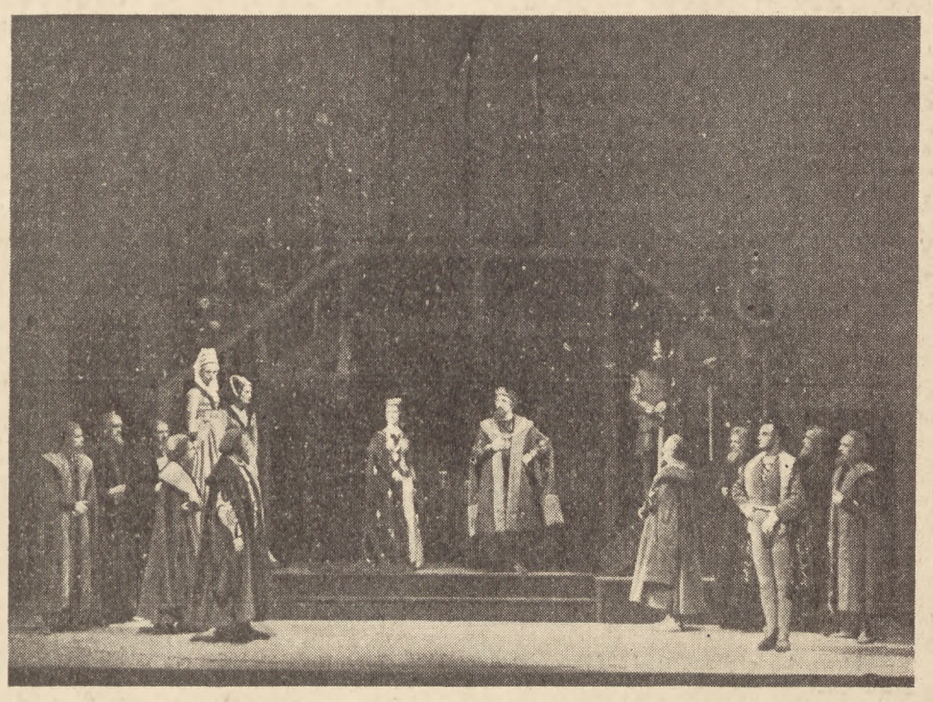

„Hamlet" w Teatrze Polskim w Poznaniu. Scena 2 z aktu V. Hamlet — P. Białoszczyński, Laertes — A. Mroczkowski. Inscenizacja i reżyseria — Wiliam Horzyca, scenograf: Jan Kosiński.

Należyte zinterpretowanie szekspirowskiego arcydzieła zależy przede wszystkim od należytego postawienia i aktorskiej realizacji postaci samego Hamleta. Jak wiadomo w królewiczu duńskim wynajdywano i uwypuklano w ciągu wieków najróżniejsze, często trudne do pogodzenia rysy charakteru i motywy działania. I tak ci, którzy upatrywali w sztuce tragedię krwawej zemsty zwracali raczej uwagę na bohatersko-woluntarystyczne cechy księcia, na jego czynne borykanie się z losem, odwagę, żywotność, zdolność trzeźwego myślenia, mściwość, umiejętność maskowania się udanym obłędem, dumę, bezwzględność graniczącą z okrucieństwem itp. natomiast zwolennicy dramatu psychologicznego podkreślali chorobę woli, niezdolność do czynu, marzycielstwo, utopijny idealizm, wyczulony zmysł etyczny, przewrażliwienie uczuciowe i egzaltację, mizantropię, gorzki pesymizm, obłęd, kompleks Edypa itd. itd. Nie ulega przy tym wątpliwości, że prawie we wszystkich tych spostrzeżeniach jest ziarno prawdy. Mimo to, a raczej właśnie dlatego — Hamlet pozostawał i musiał pozostać dla idealistycznych szekspirologów „wieczystą", „nierozwiązalną" zagadką, bo nie uwzględniali historycznego (w sensie materialistycznym) i klasowego uwarunkowania postaci, zawieszali ją w ponadczasowej próżni. A z nią całe dzieło.

To prawda, że Hamlet wygłasza zdania pełne pesymizmu, że świat i ludzie napawają go wstrętem i z tego powodu pragnie chwilami tylko „Umrzeć, zasnąć — Nic więcej". Ale pesymizm ten nie jest bynajmniej czymś bezwzględnym, lecz wyraźnie odnosi się do określonego świata i określonych ludzi, do środowiska, z którym Hamlet jest pochodzeniem i pozycją życiową związany i od którego jest w gruncie rzeczy zupełnie zależny. „Nie powinnaś mi była wierzyć — powiada książę do Ofelii — bo cnota nie daje się wszczepić w stary nasz pień, tak, abyśmy trącić nim przestali...". „Jesteśmy arcyhultaje, wszyscy bez wyjątku; żadnemu z nas nie ufaj". Dworski rozkładający się świat feudalny, w którym rządzi król Klaudiusz, „opuchły od obżarstwa i pijatyki" skrytobójca, świat niecnych Rozenkranców i Gildensternów, ograniczonych a zarazem chytrych intrygantów à la Poloniusz czy dorobkiewiczowskich lizusów w rodzaju Ozryka, co to „w komplementa bawił się już z cyckiem, nim zaczął go ssać" — ten właśnie świat Hamlet ma na myśli mówiąc, że:

„To niepielony ogród samym tylko
Bujnie krzewiącym się porosły chwastem".

Postępek matki i zamordowanie ojca jest dla księcia jedynie przejawem ogólnej niesprawiedliwości i zbrodniczości dworskiego otoczenia. Dlatego — jak słusznie pisze cytowany już Morozow — „cel osobisty zemsty przeradza się dla niego w zadanie poprawy społeczeństwa. Wszystkie myśli, wrażenia, uczucia, wyniesione ze spotkania z duchem ojca Hamlet zawiera w słowach:

„Świat wyszedł z wiązań — ach, dlaczego wraże
Zrządzenie mnie to naprawiać go każe".

Potem zaś, kiedy wojska norweskie idą, by Polsce wydrzeć pas ziemi i gdy Hamlet zadaje pytanie:

„. . . . . warto tracić
Parę tysięcy dusz i dziesięć razy
Tyle dukatów dla takiej drobnostki?
. . . . . dla kaprysu,
dla widma sławy, ..."

znów sprawa osobista kojarzy mu się ze sprawą ogólną:

„...A więc czym ja jestem,
Ja, który ojca zgon i hańbę matki
Gnuśnie przesypiam? Gdy oto ze wstydem
Widzę, jak idzie po swą śmierć dwadzieścia
Tysięcy ludzi...".

To „czym ja jestem", robienie sobie wyrzutów z powodu bezczynności przewija się niby motyw przewodni przez cały utwór. Nawet po zabiciu Klaudiusza Hamlet mówi jeszcze o „gorzkim świecie", bo usunięcie występnego władcy faktycznie niczego nie rozwiązało. Gdyby jedynym celem księcia była zemsta za zamordowanie ojca, już dawno byłby jej dokonał. Przecież sam wspomina kilkakrotnie o swej „woli i sile", o „przyrodzonym kwiecie stanowczości", podkreśla, że dla działania posiada „przyczynę, wolę, siłę i środki", a nawet odznacza się bezwzględnością („...ja twe serce łamać teraz będę — i skruszę" — do matki). Jeżeli więc mimo to „na przekleństwach czas trawi jak dziewka uliczna", to przyczyna tego leży w świadomości, że właściwe zadanie, które sobie wyznaczył — naprawa otaczającego świata — było w ówczesnych szesnastowiecznych warunkach dla ówczesnych humanistów, wyznawców socjalnych utopii, niewykonalne. Widzieli zło, lecz nie widzieli sposobu, by je usunąć. Rozdźwięk zaś między rzeczywistością a marzeniem o lepszym świecie, między epoką obfitującą w możnych drapieżników i podłych służalców, a wiarą w godność i szlachetność człowieka, której Hamlet daje entuzjastyczny wyraz („Jak doskonałym tworem jest człowiek!..."), napawał ich głębokim smutkiem. Tak więc „tragedia Hamleta — to tragedia humanizmu w epoce Szekspira" (Morozow). Z drugiej strony ten typowy tragizm politycznej i społecznej bezsilności ówczesnych humanistów, który w królewiczu duńskim znalazł reprezentacyjne, genialne odbicie, idzie u niego w parze z walczącą postawą młodego, pełnego werwy, ciętości i wspaniałego kpiarstwa myśliciela, demaskującego bezlitośnie sposób postępowania, moralność i mentalność dworskiego świata. W tej walce na myśli i słowa Hamlet jest zdecydowanie górą, odnosi prawdziwe zwycięstwa. Dzięki nim szekspirowska tragedia dźwięczy mimo wszystko nutą optymizmu, którego nosicielami są też w dziele biedny student, przyjaciel Hamleta — Horacjo oraz epizodyczny, a jednak ideowo ważny książę norweski Fortynbras, zjawiający się przy końcu jako przedstawiciel przyszłych rządów prawa i sprawiedliwości. Fortynbras to władca, po którym można się spodziewać, że dokona tego w rzeczywistości, o czym Hamlet jedynie mógł marzyć, o co borykając się ze zwątpieniem mógł walczyć jedynie orężem ducha. Ale walka ta się liczy i norweski książę ją w pełni uznaje, każąc Hamletowi sprawić żołnierski pogrzeb.

W sumie Hamlet — to młody, z natury żywotny, ruchliwy, bystry, zapalczywy młody humanista, który poznawszy z własnych bolesnych doświadczeń nikczemność współczesnego sobie świata, chciałby go naprawić, lecz czując, że to zamiar ponad jego siły, że jego marzenia o sprawiedliwości nie dadzą się zrealizować, popada w rozterkę, myśli już to o śmierci, to znów o czynach („Prężcie się mięśnie!") i dlatego wyżywa się jedynie w demaskatorskiej walce intelektualnej („Do dzieła mój mózgu!!"). Tragizm Hamleta nie polega na tym, że osiągnąwszy osobisty cel zginął, lecz że zginął, nie osiągnąwszy celu ogólnego, społeczno-politycznego. Szekspir opisując w „Hamlecie", podobnie jak w innych dziełach, pod cudzoziemskim przebraniem otaczającą go rzeczywistość angielską, nie mógł oczywiście wszystkiego nazwać po imieniu. Nie ulega jednak wątpliwości, że w osobie duńskiego księcia przedstawił potencjalnego rewolucjonistę, którego Klaudiusz obawia się nie tylko ze względów osobistych. Przecież król wbrew swoim osobistym interesom nie pozwala Hamletowi powrócić na uniwersytet w Wirtenberdze, bo — domyślamy się — młody książę, ongiś „zwierciadło mody" (słowa Ofelii) nabrał tam prostoty w ubiorze i sposobie bycia, zaprzyjaźnił się z ubogimi studentami (Horacjo) i zapewne właśnie tam nasiąkł niebezpiecznymi nowinkami. Jak wiemy Hamlet wyżej ceni zwyczajnego rybaka od napuszonego szambelana Poloniusza, przestaje na przyjacielskiej stopie z wędrownymi aktorami i wypowiada do grabarza w akcie V-tym znamienne zdanie o bystrości umysłowej prostych ludzi. Gdy zaś Rozenkranc a potem Laertes dziwią się, że król nie ukarał Hamleta za zabicie Poloniusza, Klaudiusz dwa razy mówi, że nie mógł tego uczynić, ponieważ „ma on (tj. Hamlet) miłość ludu". Wprawdzie Szekspir tego momentu dramatycznie nie wykorzystał, nie rozwinął, niemniej jednak powiedzenie króla ma swoje znaczenie.

Tak więc odbiegliśmy dosyć daleko zarówno od koncepcji tragedii zemsty rodowej (ten motyw u Hamleta w ogóle nie gra roli, chodzi mu tylko o zemstę za ukochanego człowieka), jak też od dramatu psychologicznego nietypowej, oderwanej jednostki. Po tych koniecznych — jak mi się wydaje — wyjaśnieniach zajmijmy się nareszcie poznańskim przedstawieniem.

Scena 1 z aktu II. Król — K. Wichniarz, Poloniusz — St. Orzechowski, Laertes — A. Mroczkowski.

II.

Wiliam Horzyca, twórca i reżyser poznańskiego Hamleta — w przeciwieństwie do Szyfmana w r. 1947 — wyszedł ze słusznego założenia, że widza nie wolno odciągać od treści widowiska, nie wolno go rozpraszać przepychem dekoracyjnym i, co się z tym łączy, ciągłym opuszczaniem kurtyny. Mając przed oczyma scenę z czasów Szekspira, która operowała pewnymi stałymi, bardzo prostymi dekoracjami architektonicznymi, oraz biorąc pod uwagę, że wskazówki sytuacyjne w rodzaju: „taras przed zamkiem", „oddalona część tarasu", „pokój w zamku" itd. pochodzą w większości od późniejszych wydawców, bo Szekspir o miejsce akcji niewiele się troszczył, Horzyca dał kompozycję na temat sceny elżbietańskiej, wykonaną z nieco przesadną może surowością przez Jana Kosińskiego. Kompozycja ta wykorzystująca odpowiednio przetworzone zasadnicze elementy szesnastowiecznej sceny angielskiej, jak balkon czy galeria w głębi sceny z wnęką pod spodem, zaopatrzoną w zasłony, przez cały czas przedstawienia pozostaje niezmieniona, pominąwszy drobne fragmenty (np. krzesła wnoszone przez statystów). Dzięki temu sceny następują bezpośrednio jedna po drugiej, przerwy między aktami trwają krótko, a spektakl mimo małych stosunkowo skreśleń w tekście (tłum. Paszkowskiego), mieści się w ramach niespełna 3 i pół godzin.

Stworzywszy widowisku bardzo trafne, historycznie uzasadnione i zgodne z duchem szekspirowskiego realizmu ramy ogólne, Horzyca przy rozwiązywaniu poszczególnych scen a nawet w obrębie poszczególnych scen nie mógł się jednak zdecydować na jedną, konsekwentnie przeprowadzoną koncepcję inscenizacyjną. Raz odnosi się wrażenie, że reżyserowi chodzi o możliwie dokładne wygranie akcji, o drobiazgowe zaakcentowanie szczegółów zewnętrznych, to znów mamy psychologizm i psychologiczny symbolizm, obok niewątpliwie pięknych fragmentów realistycznych. Oto np. zaraz w pierwszej scenie I aktu oficerowie i Horacjo zacząwszy swe kwestie od niczym nieusprawiedliwionego patosu prowadzą potem swą rozmowę z przekonywującą naturalnością, by z chwilą ukazania się ducha ustawić się w stylizowaną, sztuczną grupę, podkreśloną specjalnie snopem światła. Klaudiusz i Hamlet rozwijający swe role przeważnie w zupełnie różnych wymiarach ekspresji artystycznej, właściwie raz tylko, w akcie III spotykają się na jednej płaszczyźnie, kiedy to pierwszy jest przy końcu modlitwy oświetlony reflektorem czerwonym, drugi, zastygły w stylizowanym ruchu, reflektorem jaskrawo białym, a obydwaj unoszą się niby surrealistyczne zjawy na tle tonącej w mrokach scenerii. Obraz na cmentarzu rozgrywa się w kilku niesharmonizowanych planach — od doskonałej, realistycznej rozmowy grabarzy poprzez misteryjnie ujęty pogrzeb Ofelii do histerii Hamleta nad trumną. A groteskowy tumult powstały wśród dworzan po przedstawieniu aktorów w akcie II wnosi do przedstawienia akcent niezamierzonego komizmu, podobnie jak przemarsz niefortunnie ubranego wojska Fortynbrasa w akcie IV. Nie zrobiono też niczego, by jakoś rozładować czy złagodzić tragikomizm tekstowo i sytuacyjnie niestrawnej dziś dla nas sceny śmierci wszystkich głównych bohaterów w akcie V. Przeciwnie. Wszystkie melodramatyczne naiwności wygrano tu bez reszty, z godnym lepszej sprawy pietyzmem.

Pokazana na kilku przykładach niejednolitość inscenizacyjna spektaklu poznańskiego świadczy oczywiście nie tylko o braku konsekwentnej koncepcji formalnej, lecz również — co się z tym w myśl zasady dialektycznej jedności środków artystycznych i treści ideowych ściśle łączy — o braku zdecydowanej, słusznej koncepcji ideologicznej. Widzimy to najlepiej po sposobie interpretacji postaci przez aktorów, za których reżyser jest przecież odpowiedzialny, w każdym razie jeżeli chodzi o zasadnicze ujęcie ról.

Tytułowego bohatera gra gościnnie występujący Tadeusz Białoszczyński z Krakowa, aktor wytrawny, w tym jednak wypadku niewątpliwie popchnięty w fałszywym kierunku. Jego Hamlet samą już postawą zewnętrzną zbyt jednostronnie akcentuje słabość, smutek, zwątpienie, pesymizm. I tak też interpretuje swoją rolę. Nawet na początku ma w sobie bardzo niewiele z „obiecującego, ruchliwego i przedsiębiorczego młodego człowieka", jakiego m. i., opierając się bezpośrednio o tradycję aktorską z czasów Szekspira, grano jeszcze w początkach XVIII w. w Anglii. Od pierwszego do ostatniego aktu góruje u Białoszczyńskiego nuta łzawej lub łzawo-lirycznej melancholii, pogłębionej pesymistyczną mądrością — mądrością bolesnej rezygnacji (taki właśnie charakter mają u Białoszczyńskiego wspaniałe, demaskatorskie pchnięcia intelektualne, zadawane przez Hamleta Poloniuszowi i innym dworakom). A wtedy, gdy np. podczas „klasztornej" sceny z Ofelią, czy zasadniczej rozmowy z matką, zdobywa się na odruchy energii, stanowczości, zawziętości — zabarwia je przeważnie histerią. Ta nuta histerii połączona ze smętną depresją sprawia też, że Hamlet nie wydaje nam się jedynie „szalony przez podstęp", o co przecież Szekspirowi najwyraźniej chodzi. Ważniejsze jednak jest coś innego. Białoszczyński wybijając silnie sentymentalną prawie że miłość Hamleta do nieżyjącego ojca, ambiwalentny stosunek do matki i bezsilną nienawiść do stryja, blokuje sobie drogę do pokazania Hamleta jako potencjalnego rewolucjonisty. Z interpretacji Białoszczyńskiego nie wyczuwamy, by dla księcia prawdopodobna wina królowej, zbrodniczość króla czy podstępność Rozenkranca i Gildensterna były symptomatycznymi przejawami niesprawiedliwości i nikczemności dworskiego otoczenia. I dlatego bez wewnętrznego przekonania boleje nad tym, że bezczynnie patrzy na ogólne zło, faktycznie bowiem dręczy się tylko odwlekaniem zemsty za ojca, która — wbrew intencjom Szekspira — nie budzi u niego myśli o poprawie świata, poprawie społeczeństwa. Rzeczywista tragedia Hamleta Białoszczyńskiego w przeciwieństwie do Hamleta Szekpira, polega nie na tym, że zginął nie osiągnąwszy celu ogólnego, lecz na tym, że zginął osiągnąwszy cel osobisty, tj. zabicie wszystkich swych osobistych wrogów. W ten sposób postać królewicza duńskiego nabiera zupełnie innego, nietypowego charakteru, jego nadmiernie — powtarzam raz jeszcze — akcentowana słabość historycznie niczego nie reprezentuje, jest osobista, niezrozumiała, przypadkowa, wypływa jedynie z chorobliwości jednostki, a całość dzieła zostaje pomniejszona do ponadczasowego dramatu rodzinnego, który z nieco innymi akcesoriami mógł się rozegrać w każdej epoce.

Dla uniknięcia nieporozumień chcę tu jeszcze nawiasowo zaznaczyć — bo zasadniczo nie chodzi mi o ocenę samej gry aktorów — że Białoszczyński stworzył w ramach fałszywej koncepcji postać na ogół konsekwentnie, chwilami wspaniale zagraną, dał kreację dużej klasy, przez co właśnie tym bardziej przyczynił się do skierowania widowiska na mylne tory.

O niewydobyciu istotnej szekspirowskiej myśli przewodniej świadczy też postawienie innych ważnych ról w przedstawieniu poznańskim. Króla Klaudiusza — nb. nawet technicznie biorąc fatalnie zagranego przez Kazimierza Wichniarza (sztywność, brak mimiki, celebrowanie, maniera przeciągania samogłosek) — potraktowano jako jowialnego,

(Dokończenie na str. 11)

JANINA PREGER

Wiersze i poematy Majakowskiego

Tom przekładów Majakowskiego, który wyszedł nakładem „Książki i Wiedzy" pod redakcją Adama Ważyka, ma za zadanie ukazać czytelnikowi portret poety na podstawie wyboru fragmentów jego dzieła — oraz przedstawić wkład szeregu znakomitych tłumaczy, którzy pracowali nad przyswojeniem językowi polskiemu tej twórczości, tak trudno dającej się przełożyć „bez reszty", w całym swoim bogactwie. I jako próba portretu poety i jako przegląd tłumaczeń — jest to książka bardzo interesująca. Jest ona też szczególnie aktualna, gdyż pojawiła się jako ważki argument w chwili nie ukończonych zmagań o sztukę realizmu socjalistycznego, o pisarstwo polityczne, które ma nieść nowe treści ideowe i nowe dla nich formy. Majakowski dał przecie wspaniały przykład poezji o zupełnie nowej treści, poezji zaangażowanej w walce i propagandzie rewolucji — a zarazem nowatorskiej i rewolucyjnej pod względem formy. Książka może się przyczynić do lepszego zrozumienia tej roli poetyckiej Majakowskiego.

Oto jeszcze raz w historii literatury rosyjskiej wielki poeta dokonał „zniżenia" stylu, łamiąc przestarzałe tradycje koturnowej poetyczności anemicznego, elitarnego estetyzmu. Bardzo dawno uczynił to Puszkin — i umożliwił w ten sposób rozkwit literatury rosyjskiej w XIX wieku. Po stu latach trzeba było znowu przełamać szklane ściany oranżeryj i wieży z kości słoniowej, które zaczęły oddzielać poezje od bogatych źródeł prawdy życia, od ludu walczącego na ulicy o swoje ludzkie prawa. Uczynił to Majakowski. Wychodząc od futuryzmu — z tego wąskiego nurtu potrafił wyłowić i zużytkować to, co się przydało do budowy nowego języka poetyckiego, zrozumiałe i donośnie przemawiającego do niezmiernie rozszerzonego społecznie audytorium. Był to jego własny indywidualny język poetycki — tego artysta był świadom i z tego był dumny — lecz zarazem był to język, który wypowiadał niewypowiedziane dotychczas w poezji „niskie", „gminne" treści! Majakowski wprowadził do poezji szerokim nurtem te prawdy o człowieku, które znalazł na ulicy, na placu, na bruku zbuntowanych stolic, w szeregach rewolucji i w załogach fabryk.

Majakowski swoim dziełem poetyckim zdezawuował sentymentalne mistyfikacje, uprawiane przez „natchnionych z góry" kapłanów sztuki, służących rzekomo tylko Bogu i Apollinowi, ale zawierających sojusz z kontrrewolucją. Swoją szyderczą, donośną i walczącą poezją wyśmiał sztuczność i manierę niezliczonych epigonów romantyzmu, adherentów sztuki czystej, gardzących „tłumem" tj. społeczeństwem i jego sprawami. Był niestrudzoną miotłą, wymiatającą wszelkie niezdarne i pretensjonalne naśladownictwo. Sam — nie pragnął tworzyć kanonów, szkoły, nie uważał się za prawodawcę przyszłych dróg poezji. Przeciwnie, wybił szeroko drzwi dla wszystkich, mających odwagę i talent. Wołał o poetów „dobrych i różnych", nie pragnął tworzyć szkoły epigonów.

Była to wielka indywidualność, oryginalna i nie znosząca naśladownictwa. Doświadczenia, których dokonał, poszerzyły znakomicie naszą wiedzę o poezji. Krytycyzm wobec sentymentalnych reliktów, obowiązek bliskości poezji z jak najszerszą społecznie prawdą ludzką — to są już najogólniejsze drogowskazy, o których trudno zapomnieć twórcom po tym, czego dokonał Majakowski. Majakowski dowiódł — w epoce, gdy trzeba tego było dowodzić — że trzeźwość i spojrzenie na świat realisty nie są sprzeczne z istotą poezji, lecz przeciwnie, odmładzają ją i rozszerzają, naprostowują jej drogi, gubiące się w manieryzmie. Dał przykład stopienia się z najbardziej postępowym nurtem historycznym swoich czasów.

Wybór, przedstawiony w tym roku czytelnikowi polskiemu, ukazuje w wystarczająco wyraźnym stopniu rysy indywidualności rosyjskiego poety. Układ chronologiczny i objaśnienia na końcu tomu dobrze służą orientacji czytelnika. Z książki poznajemy Majakowskiego — kronikarza i pioniera rewolucji, poetę politycznego, polemistę, propagandzistę, człowieka, który umie rzucać wielkie hasła, i człowieka, który bezlitośnie szydzi z niedociągnięć, obnaża oszustwo, wyśmiewa głupotę, nie gardząc krytyką drobiazgów, jeśli one opóźniają krok rewolucji. Tęga głowa, odwaga i bystrość sądu, umiejętność argumentacji, efektowny talent retoryczny, wielkie poczucie humoru, siła uczuć i pasja polityka — oto rysy nieprzeciętnej indywidualności, które narzucają się czytelnikowi od razu. Walcząc z sentymentalizmem, powściągając wyraz uczuć i przemawiając mową rubaszną, często głosem wiecowego agitatora — komunikuje przecież ta poezja czytelnikowi głębię i subtelność uczuć poety, jego serdeczność i wrażliwość serca, patos przeżywania spraw indywidualnych i spraw społecznych. Czytelnik zachwyca się dowcipem — lub wzrusza powagą, z jaką przemawia do niego poeta. Tę rozpiętość wielkiej indywidualności wybór przekładów demonstruje dobitnie. Na czoło tomu wysuwa się cykl fragmentów z poematu „Dobrze", owej patetycznej i arcyludzkiej kroniki rewolucji październikowej. Patos historii, tragiczna prawda o surowości życia, bohaterstwo, które jest codziennym obowiązkiem, poczucie sensu nawet najbardziej ciężkiego życia indywidualnego, jeśli się je oddaje dobrej sprawie, sprawie walki o realizację komunizmu na gruzach ustroju despotii — oto bogactwo treści ludzkich, które przynosi ten poemat. Wzruszają słowa, którymi mówi poeta o paszporcie radzieckim, o legitymacji bolszewickiej. Wzrusza ton poezji, poświęconych pamięci Lenina. Prawdziwość i ludzkość uczuć, brak „wody" i poetyzowania — zdobywają wzruszenie czytelnika dla najbardziej patetycznych tematów. Rysy dziecinnej serdeczności i dobroci, głęboka wrażliwość serca, tak bardzo wystawianego na sztych— wzruszają u tego trybuna rewolucji. Swiadczą o tym: „List z Paryża do tow. Kostrowa o istocie miłości" i poemat „Obłok w spodniach". Niezakłamywane poczucie swojej wartości poetyckiej i wartości pracy artysty w ogóle — ujmuje czytelnika w satyrycznej „Rozmowie z inspektorem podatkowym o poezji" i we fragmencie poematu „Pełnym głosem". Cięty dowcip podziwiany w satyrach na temat cierni w pięcie socjalizmu — np. „Posiedzeniarze"; fantastyczny rozmach wyobraźni w poetyckich pamfletach na świat burżuazji zachodniej — wreszcie trudno wyliczyć wszystko, co pragnęłoby się wysunąć na plan pierwszy w tej bogatej książce poetyckiej.

Tom przekładów Majakowskiego stawia przed nami problem przekładów poezji, uprzytomniając wszystkie jego trudności. Przekład Majakowskiego wymaga od tłumaczy biegunowej niemal rozpiętości uzdolnień. Analitycznej dokładności — i bojowego rozmachu. Wiadomo, jak solidnym i wymagającym majstrem rzemiosła poetyckiego był Majakowski. Oddalając się od swoich wczesnych, futurystycznych upodobań do specyficznej wirtuozerii i ekwilibrystyki słowa — nie stał się Majakowski nigdy mniej wymagającym artystą. Przypominał, że poezja, podejmując się zadania propagandy nie wybiera łatwej drogi. To, co ma być łatwe i przekonywające dla czytelnika — wcale nie „pisze się" tak łatwo poecie. Orężem poety politycznego jest u Majakowskiego poza wszystkimi elementami troski również i dobra kompozycja utworu, uwydatniająca efektowność argumentacji, celowy rytm, przemyślany, dowcipny, zawsze nowy rym. Wiersz ten jest często niemal skandowany, sugestywny, łatwo poddający hasła, przypieczętowujący porażkę wroga. Przy tym jednak, zachowując regularną ramę, bywa pełen wyszukanych i dowcipnych niespodzianek w przenoszeniu akcentów, tak że jest przeciwieństwem monotonii, nudy, łatwizny. Już samemu profilowi rytmicznemu oryginału tłumacz rzadko zdoła dorównać. Zdarza się też, że dorównuje mu kosztem treści. Broniewski, Brzechwa, Pasternak — reprezentują w tomie grupę tłumaczy szczególnie wiernych „rytmicznemu imperatywowi" oryginału. Do ważnych dźwięków elementów wiersza Majakowskiego należą też aliteracje, zbitki spółgłoskowe, zbiegi wyrazów jednosylabowych, zbiegi akcentów, tak że wiersz otrzymuje formę niezwykłą, pobudzającą uwagę, wytrącającą czytelnika z kołysanki i drzemki szeregiem zderzeń, szoków, chropowatości i dysharmonii — które układają się w z góry przemyślany efekt. Szczególnie w utworach wcześniejszych dużo jest wirtuozerii tego rodzaju, później Majakowski używa tych środków bardziej umiarkowanie — ale tym większą mają wtedy rolę w wierszu, gdy już nimi nie zasypuje czytelnika. Ta sprawa — w połączeniu z częstym wykorzystywaniem gry słów, z wykorzystywaniem homonimów — utrudnia jeszcze bardziej zadanie tłumacza. Pod tym względem z największą zapamiętałością stara się zadośćuczynić oryginałowi Ważyk. (Kto ciekaw, jak mu się to świetnie udaje, niech zajrzy np. do przekładu takiego żartu poetyckiego jak „Demon i Tamara").

Najtrudniejszym jednak zadaniem jest wierność poecie w zakresie słownictwa, budowy zdania, akcentu logicznego w zdaniu, wierność w jasności sformułowań. Tu sprawa idzie o to, aby forma nie zdradziła treści.

Słownictwo i obrazowanie — w tym się ujawnia przecie charakter stylu poety, rewolucja poetycka Majakowskiego. Jeśli nie był jedyny, to był najznakomitszy z tych poetów, którzy wprowadzili do poezji język ulicy miejskiej. Ten język plebejski posłużył mu nie dla efektu tylko, nie dla epatowania burżuja, ale posłużył mu do wypowiadania prawd szerszych i celniejszych, dla odsłaniania prawd nowych o uczuciach człowieka. Precyzyjna wierność wobec słownictwa, stylu, obrazów oryginału była największą trudnością dla tłumaczy. Zachowując wierność wobec rytmu i formy dźwiękowej, nie zdołali jej częstokroć zachować w tak ważnej dziedzinie. Na ogół przekłady z konieczności są bardziej „zaokrąglone" od oryginału, mniej precyzyjne w aluzyjności, mniej „szorstkie", mniej mają skrótów w budowie zdania. Trudności akcentacyjne przekładu z języka rosyjskiego na polski powodują, że tłumacze często uciekają się do skróconej końcówki pierwszej osoby liczby mnogiej w czasie przyszłym czasowników: „Ruszym" zamiast ruszymy itp. Jest to koturnowość i archaizowanie obce Majakowskiemu.

Majakowski przemawia dobitnie, jasno, często szermuje dowcipem, często dowcip jest pointą końcową utworu. Niestety, przezwyciężenie innych trudności formalnych, o których mówiliśmy, odbywa się czasem kosztem jasności wypowiedzi. A ten grzech był najzupełniej obcy Majakowskiemu. Pod tym względem najpiękniejsze przekłady nie są bez skazy. Nieliczne są pozycje, w których wierność wobec t r e ś c i oryginału — dorównuje wierności wobec formy. Zwraca tu uwagę precyzyjnie przemyślany jastrunowski przekład „Obłoku w spodniach", „idealny" przekład Brzechwy „Rozmowy z inspektorem podatkowym o poezji".

Niestety, nawet bardzo dobry przekład pociąga za sobą, jak wiadomo, zubożenie i uproszczenie oryginału, „skróty" w jego obrazowaniu. Te skróty bywają konieczne, aby utrzymać się w rytmie i tempie oryginału, aby nie popaść w „komentatorstwo" i gadulstwo przekładowe.

W przekładach Sandauera troska o oddanie zawartości pojęciowej wiersza nie ustępuje trosce o wierność stronie formalnej. W rezultacie tej ambitnej pracy otrzymujemy szereg przekładów na wyrównanym wysokim poziomie. L. Pasternak radzi sobie często przy pomocy bardzo trafnych amplifikacyj (np. „Pieśń dziesięciolecia").

Wyrazistość mowy poetyckiej Majakowskiego gubi nawet dokładny Ważyk w jednym z wcześniejszych swoich przekładów („Nasz marsz"). „Kto nasze złoto błękitem przelśni?" pyta tłumacz. W oryginale wyraźniej: „Czy jest błękitniejsze od naszego złota?" Tekst tłumacza „Czy kule potną nas żądłem os?" nie dokładnie oddaje pozorne pytanie oryginału, które wyraża zuchwałą pewność, że kule ich nie śmią tknąć. Tekst tłumacza

„Byk dni mruk.
Arba powolnych lat"

jest wierny formie dźwiękowej, lecz daje obraz mniej jasny niż oryginał. Majakowski mówi: „Byk dni pstry. Powolna arba lat". W ten sposób jasny jest związek pojęć: lata są powolne, i wyraźny obraz — metafora czasu — byk ciągnie arbę. (Jest to obraz analogiczny do „Wozu życia" z dawnej poezji). Przestawienie części zdania w drugim wierszu zaciemniło sens, rozcięło obraz na dwoje. Przekład, zbliżywszy się pod względem budowy dźwiękowej do oryginału — utracił zasadniczą cechę jego stylu: logiczną jasność. (Była ona nawet we wczesnym okresie futurystycznym zasadą budowy wiersza Majakowskiego)

Jan Kott w przekładzie „Listu z Paryża do towarzysza Kostrowa o istocie miłości" oddał całą subtelność liryzmu Majakowskiego maskowaną rubasznością, jednak dwukrotnie oddalił się od treści oryginału. „Nie kochała — jam nieczuły..." pisze Kott, gdy tekst w literalnym przekładzie mówi „przestała kochać, odpłynęła". „Jam nieczuły" jest sprzeczne z treścią wiersza, który mówi właśnie o nieuleczalnej miłości Majakowskiego do owej osoby, która „przestała kochać". Z tego samego powodu nie odpowiada myśli oryginału przekład „Co się tam z głupstwami pieścić, lubię czy nie lubię" gdy autor mówi tylko „co tam wdawać się w szczegóły" — domyślne: czy mi się powiodło czy nie.

Leon Pasternak w sugestywnym przekładzie wiersza „Sergiuszowi Jesieninowi" dopuszcza niejasność pisząc: „Niezrozumiałą będzie ta śmierć, gdy pętlę lub scyzoryk ukażę waszym oczom" zamiast: przyczyn tej straty nie wyjaśni nam pętla ani scyzoryk. Również niejasne: „Widzę—jak kurcząc przegub podarty swych własnych kości kołyszecie miech"—przegub podarty zamiast: porżniętą rękę. Pasternak pisze: „Dla ludu, dla językotwórcy umarł czeladnik-hulaka" zamiast: ludowi umarł czeladnik śpiewający (zwonkij podmastierje).

Wł. Broniewski dał chyba najsugestywniejszą kartę w tomie: przekład siódmego fragmentu z poematu „Dobrze". W przekładzie tym nie zdołał uniknąć paru potknięć: „Żołnierz poruszył ogień i przytem iskra mu padła na oko" — blask ognia padł na oko. Zmienia sens, gdy mówi „lecz Chrystut nie szedł ku nim" (Błokowi i jego cieniowi) zamiast: „No Błoku Christos jawlatsia nie stał" — lecz Błokowi Chrystus się nie ukazał. Autor podkreśla, że Błok tego bynajmniej nie dostąpił. Poza tym przez dobór leksykalny Broniewski nadaje utworowi nastrój bardziej zbliżony do wizji romantycznej, podczas gdy u Majakowskiego występowały — jako dysonans w patetycznym temacie — elementy obrazowania naturalistycznego, np. gdy mowa o zbuntowanym krążowniku „Aurora", Majakowski porównuje go do „wielorybiego k a d ł u b a", Broniewski zaś mówi „jak w i d m o rekina cielsko „Aurory". Przesunięcie tonacji jest minimalne, ale jest. Mimo to przekład jest — biorąc w całości — niemal „podsłuchany" u Majakowskiego.

Umieszczony na wstępie książki przekład Słobodnika wprowadza niejasność do tekstu wczesnego wiersza Majakowskiego. „Ust nowych słowa jakże brzmicie gdy widzę ryb blaszanych grzbiet" — oryginał jednak brzmi inaczej: „Na łusce blaszanej ryby przeczytałem wezwania nowych ust" (literalnie), co jest zrozumiałe jako program futurysty, przekład zaś odbiera sens zdaniu. Jako karta wstępna książki to rzeczywiście niefortunne.

Niedopatrzeniu tylko przypisać można pozostawienie w zbiorze doskonałych przekładów — przekładu zbiorowego „Ody do rewolucji" (str. 62). Niezręczna, niejasna po polsku budowa pierwszego zdania, zmiana określenia rewolucji „wielka" na „straszna" wyraźnie wbrew intencji autora, niezrozumiała barokowa przenośnia „hydra kopuł" zamiast „sklepienia soboru", „tępodziobe świdry" (mowa o lufach armat) zamiast „kominów" ewentualnie „rur o tępych ryjach" (tłumacz pomieszał rosyjskie „buraw" — świder i „borow" — 1) komin, rura oraz 2) wieprz, z czego zresztą Majakowski skorzystał dla ambiwalencji obrazu); „Sława" — z nazwy okrętu przerobiona na okrzyk jakiegoś nie istniejącego w oryginale sternika; okrzyk przeciwstawienia „A potem!" zniwelowany przez usunięcie wykrzyknika i połączenie bez sensu z następnym zdaniem; wreszcie „czub zawadiacki na smagłym torsie" — oto niedokładny rejestr curiosów tego przekładu.

W kilku wypadkach, gdy idzie o wybitniejsze pozycje, znajdujemy w tomie przekład jednego utworu przez kilku tłumaczy. Tak postąpiono z poematem „Obłok w spodniach" i wierszem „Lewą marsz". Porównanie jest bardzo ciekawe dla czytelnika. Na tle Jastrunowskiego przekładu „Obłoku w spodniach" widać, że przekład Sterna nie spełnia już tych postulatów, które dzisiaj stawiamy przekładom poetyckim. Jego amplifikacje są zbyt luźne, obce charakterowi utworu.

Zasłużone uznanie miał u nas znakomity przekład Słonimskiego „Lewą marsz". Przyjrzenie się temu przekładowi obok nowszego przekładu Szenwalda i Ważyka prowadzi do ciekawych wniosków. Okazuje się, że nowszy przekład jest bliższy postulatu adekwatności. Czytelnika cieszy nie tylko większe zbliżenie do dźwiękowej formy wiersza Majakowskiego, ale i wyższy stopień wierności wobec stylu tej poezji. U Słonimskiego zauważymy dość znaczne przesunięcia „tonacji" wiersza, koturnowe „zaokrąglenia" prostego, „rąbanego" stylu oryginału. Zamiast „prawa" mówi tłumacz „gloria praw", zamiast „czy" — „zali", „brytyjskiemu lwu" każe się „prężyć" i „olśniewać" koroną zamiast „szczerzyć koronę". W tych wypadkach tłumacz nie umiał się obejść bez dodatków obcych charakterowi oryginału. W innym miejscu natomiast nie potrafił zmieścić w przekładzie ważnego elementu treściowego, „nie dociągnął": Słonimski pisze upraszczając „czyż ulegniemy w walce" zamiast „czyż będziemy leźli w przeszłość". Zwrot ten w nowszym przekładzie Szenwalda — Ważyka brzmi wierniej: „czy przeszłość zmoże nas w walce". Spółka tłumaczy ocaliła więc bardzo istotny moment treściowy. Na tym przykładzie najlepiej widać, jakie trudności pozostają niepokonane w przekładach, jak istotne elementy treści lub stylu pozostają „nieprzekładalne". Przecie nawet doskonalszy przekład Ważyka i Szenwalda znacznie „uszlachetnia" tekst oryginału. I to „uszlachetnianie jest charakterystyczne w mniejszym lub większym stopniu dla wszystkich przekładów Majakowskiego. Jest to zło konieczne, że przekład narzuca zawsze oryginałowi pewien procent banalności, wprowadzając utarte „zwroty poetyckie", które pomagają tłumaczowi zmieścić oryginał w ryzach rytmu, rymu, aliteracji itp.

Wydaje się, że stoimy tu wobec kluczowego problemu przekładów. Ważyk zrobił wiele dla dobra tej sprawy postulując uwolnienie od przymusu rymów męskich. To nie wszystko jednak. Za każdym razem tłumacz staje na nowo wobec problemu, który powinien rozstrzygnąć ścisłym rachunkiem: o ile wierność mniej ważnym elementom utworu pozwoli mu zachować ważniejsze jego elementy. Zbanalizowanie obrazu jest cięższym grzechem niż zaniedbanie aliteracji u futurysty lub w tekście, nawet klasycznym, użycie niepełnego rymu — i nie wiadomo, czy tłumacze zawsze o tym pamiętają. Rytm jest tak samo fundamentalnym elementem utworu jak słownictwo i obrazowanie, a przecież zgodność przekładu z miarą oryginału jest uświęconym od dawna kanonem, natomiast zastąpić świeży obraz komunałem lub naturalną budowę zdania inwersją i sztucznością — nie uchodzi dotąd w pojęciach ogółu za grzech kardynalny. A jednak te usterki formy najbardziej zagrażają treści.

Takie uwagi nasuwają się w związku ze starszymi przekładami, ale i w nowych kwestia ta stanowi największy szkopuł. Tym bardziej, że cudów nie ma i w rachunku przekładowym oryginał zawsze poniesie jakieś straty — idzie tylko o to, jakie?

Różnorodność indywidualności poetów, którzy dali w tym tomie swoje przekłady, pozwoliła ukazać te różnorodne właściwości indywidualności Majakowskiego, których jeden tłumacz nie mógłby zawsze z równą doskonałością przekazać. Ważyk, którego wkład w książce jest najpoważniejszy, ukazał u Majakowskiego sarkastyczną zjadliwość polemisty, bardzo logicznie skonstruowany do końca żart, pasję do precyzyjnych i trudnych zabaw grą dźwięków, słów i rytmu, umiał sugerować perspektywy, jakie Majakowski — inżynier wyobraźni — narzucał czytelnikowi, umiał sugerować autorytet poety-agitatora. Sandauer wydobył ton satyryczny poezji Majakowskiego. Broniewski oddał bezpośrednią, romantyczną intensywność uczucia i wizji, Pasternak — patos sprawy społecznej i uczucie dla przyjaciół, towarzyszy. Jastrun był przenikliwym tłumaczem dramatu duszy młodego poety, umiał przekazać jego ludzką wrażliwość — i poetycką „gigantomanię". Szenwald — wielkie porywy i wielkie kpiny Majakowskiego. Kott — rzadko poruszaną strunę sentymentu, maskowanego ironią.

Tom daje przegląd przekładów na wysokim poziomie, nie będziemy ich dalej wymieniać, gdyż nie ma tu miejsca, by oddać sprawiedliwość ich zasługom. Wszystkie przemawiają do czytelnika, dają mu wyobrażenie o jędrności i żywości wielkiej poezji Majakowskiego.

Janina Preger

EDMUND OSMAŃCZYK

Pisarz, krytyk, czytelnik...

(Głos w dyskusji)

Leon Kruczkowski i Ryszard Matuszewski w dyskusji „o dzisiejszych zadaniach pisarstwa i krytyki" poruszyli sprawę najistotniejszą; sprawę odbiorcy pisarskiej i krytycznej twórczości, sprawę czytelnika w określonym ściśle ustroju Polski Ludowej. I słusznie. Bo dyskusja, jeśli ma nie być jeszcze jednym odwiecznym sporem między pisarzami a krytykami, musi być rozszerzona na „dzisiejsze zadania pisarstwa, krytyki i czytelników".

W chwili obecnej, powiedzmy sobie otwarcie, mamy sytuację następującą:

Pisarz pisze książkę przez pół roku czy rok, po czym składa ją w wydawnictwie. Recenzenci wydawnictwa orzekają po dwóch, trzech miesiącach, że książkę należy wydać. Autor otrzymuje zaliczkę, książka idzie do druku, który trwa do trzech miesięcy, po czym autor czeka na recenzje. Książka tymczasem jest już w handlu księgarskim, wędruje do bibliotek, wypożyczalni, świetlic. Na okładce poza nazwiskiem autora, tytułem i wydawcą nie ma nic, coby zorientowało czytelnika, kim jest autor, co zawiera książka (tytuły są przecież zwodnicze, vide „Szekspir" Rudnickiego), dla jakiego kręgu wśród milionów czytelników przeznaczony jest 10-cio, czy 20-to tysięczny nakład, na jakie wartości należy w książce zwrócić uwagę i przed jakimi błędnymi wnioskami autora należy się strzec. (To samo dotyczy zresztą książek tłumaczonych). Czekanie przez czytelników na recenzje spowodowałoby, że książek kupowano by u nas stokrotnie mniej, niż się sprzedaje obecnie. Czytelnik kupuje więc, czy wypożycza książkę bądź „na nosa", bądź na podstawie zasłyszanej opinii innego czytelnika, czy według oceny „na oko" czytelnika i książki przez bibliotekarza, czy świetlicowego instruktora, czy księgarza.

Ten proces wytwarzania się przypadkowej „dzikiej opinii" o książce odbywa się bez współudziału naszej krytyki i bez wiedzy wydawnictwa i autora. Od czasu powstania „Domu Książki Polskiej" dowiedzenie się, czy książka rozeszła się, i w jakim czasie i czy jest czytana, jak stwierdza wielu autorów, jest prawie niemożliwe. Kontakty autora z czytelnikami w akcji TWP dają autorowi wiele różnorodnych korzyści, ale nie mogą mu dać pełnego obrazu, co sądzi masa czytelników o jego twórczości.

Krytycy zaś, chwaląc, czy ganiąc autora, jakże często zbyt późno, kiedy od napisania książki upłynął rok, a autor biedzi się już nad nową problematyką, nie biorą pod uwagę faktu, że czytelnicy już wydali swój tajemniczy sąd i książka niezależnie od krytyki jest czytana lub nieczytana. Ale byłoby niesłuszne, zrzucać winę wyłącznie na krytyków za to przerwanie obiegu prądu w trójkącie Pisarz — Krytyk — Czytelnik. Ponoszą tu winę również pisarze, którzy, mając swój Związek, nie potrafili do tej pory wypracować form jak najszybszego kontaktu z opinią czytelników, najpotężniejszym dotąd krytykiem ich dzieł.

Dlatego też wydaje mi się, że właśnie w Polsce, w kraju, w którym w ciągu kilku lat przybyły miliony nowych czytelników, nadszedł czas skontrolowania bardzo dokładnego narosłych opinii i gustów, a następnie wprowadzenia stałej kontroli czytelnictwa każdej pozycji literackiej, własnej, czy tłumaczonej, bo inaczej będziemy się wiecznie mijać — pisarze — krytycy — czytelnicy.

Cóż więc należałoby uczynić?

Przede wszystkim — tak mnie się wydaje — wprowadzić to, że Związek Literatów zobowiąże wydawców do wydawania wszystkich książek, własnych i tłumaczonych, z krótkim wstępem biograficzno-krytycznym, podpisanym przez recenzenta literackiego, kwalifikującego książkę do druku. Poza tym, w wydaniach następnych, książkę zamykać winny wyjątki pozytywnych i negatywnych wypowiedzi o książce w dziennikach, czy czasopismach. W ten sposób osiągniemy stałą łączność między opinią krytyków a opinią czytelników. Czytelnik będzie mógł skonfrontować swą opinię z oceną krytyków. To pobudzić może czytelnika do dyskusji i z autorem i z krytykiem. By to ułatwić, należałoby w każdej książce podawać adres Instytutu Literackiego, czy sekcji czytelnictwa przy Związku Literatów, czy innej centralnej, dla tego celu stworzonej instytucji, dokąd kierować mógłby swe opinie każdy czytelnik, pisząc do autora, czy krytyka. Oczywiście opieranie się na opinii samych listów jest niewystarczające. Z kolei, powołana instytucja musiałaby mieć dostęp do miesięcznych sprawozdań z rozsprzedaży książek w poszczególnych okręgach kraju i do statystyk ruchu poszczególnych pozycji literackich w bibliotekach i wypożyczalniach. Dopiero wówczas mielibyśmy obraz, co i gdzie, w jakiej części kraju naprawdę się czyta. To zaś pozwoliłoby z kolei pisarzom i krytykom na wejście w nieprzypadkowy osobisty kontakt z czytelnikami i wybadanie na miejscu argumentacji czytelników, a w dyskusji z nimi wyjaśnienie im i sobie wielu problemów wypieku pisarskiego chleba, problemów, które dotąd dyskutowane są w próżni, bez głosu konsumentów.

Sądzę przy tym, że uwaga nasza skoncentrowana być winna przede wszystkim na młodzieży. Jej głos i proces urabiania się wśród nich „dzikich" czy świadomych opinii o książkach, jest dla nas pisarzy i krytyków najważniejszy. W następnym półwieczu oni stanowić będą dobrych lub złych odbiorców słowa pisanego.

Edmund Osmańczyk

STANISŁAW MARCZAK OBORSKI

Z TEATRÓW WYBRZEŻA

PRZYJACIEL LUDZI

Jeśli któryś z pisarzy zasłużył sobie na to piękne miano — to na pewno Maksym Gorki.

Wyszedł ze środowiska drobnych rzemieślników, całe trudne sieroce dzieciństwo i młodość spędził wśród ludu rosyjskiego. W niekończących się wędrówkach po kraju poznał urodę i okrucieństwo życia, na własnej skórze doznawał wszystkich potworności carskiego ustroju. Trzeba było wielkiego serca, aby w poniewierce i nędzy nie zatracić miary i sprawiedliwości w ocenie człowieka. Trzeba było wielkiego pisarstwa, aby tę sumę wiedzy o świecie zamknąć w nieśmiertelny kształt literacki.

Dzieła Gorkiego są przykładem doskonałego dopełnienia się twórczości i ideologii. Świadomość rewolucyjna wyjaśniła wszystkie doświadczenia pisarza. Jego utwory stały się potwierdzeniem myśli marksistowskiej.

Dramaty Gorkiego, ciągle jeszcze zbyt rzadko ukazujące się na naszych scenach, są nieprześcignioną dotąd szkołą literatury socjalistycznej, precyzyjnie łączącej głęboką znajomość człowieka z wiedzą o rozwojowych prawach społecznych.

Teatr „Wybrzeże" (Gdańsk, Gdynia, Sopot) wystąpił z premierą „Wassy Żeleznowy" — sztuki wprowadzonej do repertuaru w sezonie 1911-12 przez łódzki teatr Zelwerowicza, a potem niezmiernie rzadko wznawianej w Polsce. „Wassa" napisana przez Gorkiego po roku 1905, następnie przerobiona (niewiadomo czy ostatecznie) przed śmiercią pisarza — nie należy do jego dzieł scenicznych największego kalibru. A jednak i w tym utworze obserwować możemy nowatorstwo i wielkość autora „Matki".

Jesteśmy na pozór w świecie dusznego dramatu rodzinnego z epoki naturalizmu. Żona zmusza do samobójstwa męża-rozpustnika, któremu grozi katorga za defloarację nieletnich; po domu snuje się niedorozwinięta dziewczynka; ciężarna służąca wiesza się w łazience. W zakończeniu na scenie umiera matka rodu, a mniej lub więcej uprawnieni spadkobiercy plądrują trupa, rzucają się do kasy.

Dramat okropności? Nie. Oto widzimy jak w trakcie akcji straszne wydarzenia schodzą na drugi plan, ustępują miejsca treściom ważniejszym, stają się wreszcie jedynie argumentem — oskarżeniem dla pisarza malującego bezlitosnie środowisko burżuazji rosyjskiej. Widz nie wynosi z teatru wrażenia przygnębienia. Zobaczył całą otchłań gnijącego świata, ale zarazem przekonany został o jego nieuniknionej i słusznej klęsce.

Budowa dramatu opiera się na postaci Wassy; to ona od pierwszego epizodu do końca prowadzi bieg akcji; wszystkie figury jej scenicznego otoczenia służą do demaskowania bohaterki. W introdukcji pierwszego aktu podziwiać można konsekwencję metody pisarskiej Gorkiego. Każda następna, choćby najkrótsza scena, maluje nowy rys charakteru Wassy. Pierwsza rozmowa z Krotkich stawia ją od razu jako człowieka interesu, zdradza jej chytrość i inteligencję zarazem, zaznacza pogardliwy stosunek do ludzi. Aktorka Stanisławska w przedstawieniu „Wybrzeża" podkreśla to świetnie niechętnym, opędzającym się ruchem ręki, jakim Wassa odprawia materialnie od siebie zależnych.

Kim jest Żeleznowa? Właścicielką Towarzystwa Żeglugi Rzecznej, typowym rekinem kapitalistycznym, upartym i przemyślnym wyzyskiwaczem. Ale mentalność rekina nie wyczerpuje całej prawdy o Wassie. Jest to kobieta, przerastająca nie tylko rozmachem, ale również inteligencją swoje otoczenie, rozumiejąca jego nicość, a zarazem bezcelowość własnej szamotaniny. Powiada: „Bogaci żyją marnie i licho", ale nie potrafi i nie chce nawet myśleć o przyczynach zła, o możliwościach naprawy. Mówi dalej: „Nie jestem przyjacielem ludzi", „Ludzie są gorsi od zwierząt" — jest to miara jej nikczemności, ale równocześnie trafnego i krytycznego osądu stosunków panujących w ustroju burżuazyjnym. Postać Wassy zawiera w sobie całą potworność świata wyzyskiwaczy, a zarazem jego smutek, świadomość bezsensu, poczucie zbliżającej się zagłady.

Gorki nie tracąc ani na chwilę z oczu społecznych kryteriów oceny człowieka, umie pokazać całą jego skomplikowaną treść wewnętrzną, bogactwo jego psychologii. Wassa jest figurą literacką wielkiej miary. Wnikliwość z jaką została naszkicowana pokazuje szczegół charakterystyki: kocha ona córkę Ludmiłę, kocha wnuka, nie kocha natomiast drugiej córki Natalii, która — jest do niej podobna. Konsekwencja w rysunku tej postaci: po spowodawaniu śmierci męża szuka usprawiedliwienia swojego czynu; stąd jej opowieść o plugawej przeszłości kapitana w scenie z córkami. Bogactwo rysów psychicznych Wassy odsłania Ludmiła, mówiąc o „dobrej, czułej twarzy" matki. Demaskatorska odkrywczość to scena, kiedy Żeleznowa na kwadrans przed otruciem męża bezwzględnie osądza swojego brata Prochowa właśnie z pozycji moralnych. Gorki analizuje tu nie tylko zakłamanie, ale i wzajemną nienawiść do siebie ludzi tego kręgu.

Pokazuje również jak ustrój kapitalistyczny unieszczęśliwia wszystkich — nawet swoich uprzywilejowanych. Poczucie krzywdy mają nie tylko wszyscy bohaterowie „Na dnie" — ale również Jegor Bułyczow, Jakub Bardin z „Wrogów", Tatiana z „Mieszczan", Liza z „Dzieci słońca". W omawianej sztuce ma je również kapitan Żeleznow, ostatni łajdak, katorżnik, a przecież nienawiść, jaką wybucha w rozmowie z żoną jest m. in. jego protestem przeciw panoszeniu się pieniądza.

Gorki naprawdę rozumiał, że warunki ekonomiczne i społeczne determinują postępowanie i morale ludzkie, umiał widzieć zło nie w człowieku a w ustroju, nie malował nigdy postaci plakatowo czarnych — na tym polega nowatorstwo i piękno jego humanizmu. Rozumiał zarazem konieczność walki z zepsutym światem, płonął sprawiedliwym gniewem przeciw wyzyskiwaczom — i to stanowi o mądrości jego humanizmu.

fot. Edmund Zdanowski

Państwowy Teatr „Wybrzeże" w Gdańsku, „Wassa Żeleznowa" M. Gorkiego, Reż. — Jerzy Walden, scenografia — R. Bubiec.

Reprezentantką nowego świata jest w utworze emigrantka polityczna Raszel. Gorki nie stworzył nigdy wielkiej postaci rewolucjonisty na scenie. Raszel to również jedna z „szeregowych" rewolucji. W sztuce jest postacią raczej konturowo zarysowaną, stąd pewne skrzywienie proporcji, niejako uratowane kapitalną pointą. W minutę po śmierci Wassy rodzina grabi gorączkowo jej majątek. Raszel woła do Prochora grzebiącego w papierach na biurku: „Kradnie pan!" Prochor: „Po co? Swoje bierzemy". Raszel: „Swoje — a co wy macie swojego?". Lapidarny, dosadny osąd świata Żeleznowych i innych, po którym zapada kurtyna.

Wielka twórczość Gorkiego nie doczekała się dotąd żadnej obszerniejszej rozprawy w naszej krytyce, nie ma nawet przekładu monografii literackiej pisarza. W ramach krótkiej recenzji trudno o miejsce na omówienie ciekawego tła politycznego sztuki (lata Dumy, lata wzrostu „Związku Narodu Rosyjskiego"), krytyki obyczajowości mieszczaństwa (szubrawiec Prochor — kandydatem na burmistrza, przekupstwo palestry), dokładniejszej analizy postaci, z których każda prawie zasługiwałaby na studium (zupełnie epizodyczne postacie dwu służących— jakże skontrastowane i po ludzku zarysowane).

W dramatach Gorkiego odzywają się pewne pogłosy naturalizmu, wprawdzie uszlachetnione wielkim talentem i humanizmem pisarza, aleć zawsze nawiązujące do mniej twórczych tradycji literatury rosyjskiej. Rzeczą teatru powinno być tuszowanie tych elementów na rzecz socjalnych treści sztuki — a nie (jak to się czasem dzieje) budowanie na nich właśnie scenicznej wyrazistości utworu. Przedstawienie Teatru „Wybrzeże" starało się (na ogół z powodzeniem) uniknąć tego błędu. Reżyser Jerzy Walden pilną pracą analityczną z zespołem osiągnął dużą przejrzystość ideową spektaklu. Aktorka grająca Wassę w trakcie prób zmieniła psychologistyczną manierę gry na rzecz pogłębionej społecznie relacji postaci. W efekcie ujrzeliśmy kawał przyzwoitego teatru, najwartościowszą bodaj z dotychczasowych pozycji „Wybrzeża"; spektakl bardzo sugestywny, bojowy politycznie, chwilami tylko pozwalający się przytłoczyć nalotowi makabry. W robocie reżyserskiej zwracało uwagę dążenie do pozbawionego sztampy stawiania postaci i bardzo staranne wypunktowanie pauz.

Zgodnie z tekstem na czoło dramatis personae wysunęła się zdecydowanie Wanda Stanisławska-Lothe w roli głównej. Jej Wassa, może tylko zbyt „uarystokratyczniona", za mało mieszczańska — była w pełni zrozumiała, antypatyczna i przykuwająca uwagę widza. Bardzo wnikliwie i przejrzyście zagrana róla.

Przerażającego łajdaka Prochora, odznaczającego się wedle własnych słów „prostoduszną wesołością charakteru", grał soczyście Marian Nowicki. Nie wpadając w błazenadę — wydobył nurt humorystyczny tej postaci, rozładowując zgodnie z intencjami autora ponurą atmosferę sztuki.

Kira Pępłowska bardzo skupionymi i oszczędnymi środkami aktorskimi pokazała złość, rozgoryczenie i beznadziejny bunt Natalii. Wybitnie interesującej roli wytknąć by można za mało zaznaczone podobieństwo psychiczne do matki, o którym parokrotnie mówi się w utworze.

Z pozostałego zespołu wyróżnić jeszcze należy młodą aktorkę Grodyńską, grającą z umiarem anormalną Ludmiłę, oraz Marię Nochowicz za sylwetkę Anny, donosicielki i powiernicy Wassy.

Stefania Waldenowa doskonale wyglądała w roli Raszel, szkoda jednak, że zamiast tuszować pewne rezonerstwo tej postaci — pogłębiła je jeszcze.

Dekoracje Romana Bubieca staranne, widzieliśmy już jednak ciekawsze rozwiązania tego uzdolnionego scenografa. Za nadto pstrokate wnętrze domu Żeleznowych nie miało „przestronnego, jasnego, wesołego" charakteru, jak chce tego autor; stanowiło zbyt neutralne tło dla wydarzeń scenicznych.

Stanisław Marczak-Oborski

KSIĄŻKA O MIECZNIKOWIE*)

Ta niezwykła książeczka, napisana w sposób jasny i prosty, jako że o najbardziej poważnych i skomplikowanych problemach można mówić zrozumiale i przystępnie, informuje o dziele i życiu jednego z największych uczonych swej epoki Ilji Iljiczu Miecznikowie, założycielu pierwszych w Rosji pracowni bakteriologicznych, organizatorze i późniejszym dyrektorze Instytutu Pasteura w Paryżu.

Autor pokazuje nam nie tylko dzieło ale i samą postać I. I. Miecznikowa. We wstępie od razu zaznacza, że tego rodzaju prekursorzy nauki indywidualnością swą przerastają zwykle epokę, w której żyją. Autor podkreśla, że na fakt powstania dzieła wielkiego uczonego składa się ogół warunków historycznych, oraz własny niezmierny wysiłek jednostki, bez którego nie ma w ogóle osiągnięć naukowych. Zjawiają się one tylko jako rezultat kumulacji ogromnej ilości wiedzy, pracy i inwencji twórczej. Książka prof. Gremiackiego informuje nas o życiu Miecznikowa, środowisku z którego pochodził, daje obraz warunków zdobywania wiedzy w Rosji XIX wieku. Ukazuje jakie trudności miał do pokonania młody uczony, którego prace podważały w sposób zasadniczy ówczesne wyobrażenia o świecie. To też nowatorstwo naukowe zaniosło go do najbardziej postępowej pracowni myśli naukowej swego czasu w Europie — do Instytutu Pasteura. Niedopuszczany do szerzenia nowych osiągnięć biologii w carskiej Rosji, Miecznikow, znalazł katedrę w Paryżu. Przynosił ze sobą najwspanialsze osiągnięcia, podbudowując teorie Pasteura. Prof. Roux, następca i wieloletni dyrektor Instytutu pisał doń:

„Pańskie obserwacje dotyczące trawienia u zwierząt niższych doprowadziły Pana do zagadnienia odporności. Było więc rzeczą naturalną, że skierował Pan swoje kroki do pracowni Pasteura, jak również zrozumiałe było to, że Pasteur przyjął Pana z otwartymi ramionami — przynosił mu Pan ni mniej ni więcej jak naukę o odporności na choroby zakaźne.."

Książka Gremiackiego została poprawnie przetłumaczona, wydana starannie i dobrze zilustrowana w sposób wyjaśniający treść pracy uczonego. Wydawnictwo słusznie uczyniło korzystając tu ze znakomitego wzoru wydawnictw radzieckich. Na wyróżnienie zasługuje też szata graficzna książki i okładka J. S. Miklaszewskiego.

W. M.

*) M. A. Gremiacki „Miecznikow". Przekład W. Librowicza. Okładka: J. S. Miklaszewski. Wyd. „Czytelnik", 1950,

Aleksander Rafałowski — „Walka patriotów polskich", obraz powstały w 1942 r. w Związku Radzieckim. Własność Muzeum w Kujbyszewie, historyczny dokument radziecko-polskiego braterstwa broni w walce z faszyzmem.

W ŚWIECIE KULTURY RADZIECKIEJ

GORKI I SYBERIA

Niedawno wydane zostały w ZSRR dwie nowe książki o Gorkim: „Gorki i Syberia" oraz „M. Gorki i pisarze syberyjscy"*). Zawierają one wspomnienia o wielkim pisarzu związane z Syberią i jego listy do poszczególnych osób i organizacji społecznych na Syberii.

Gdy czyta się je, trudno uwierzyć, że akcja odbywała się dwadzieścia — trzydzieści lat temu, tak aktualnie i mocno brzmią jeszcze dziś słowa Gorkiego. Gorki każdym słowem był i nadal jest użyteczny narodowi radzieckiemu w jego walce o komunizm. Do kogokolwiek by pisał — czy do kopaczy złota Ałdanu, czy do kołchoźników-szturmowców Zachodniej Syberii, czy też do pionierów i młodzieży szkolnej Igarki — podkreślał przede wszystkim wielką misję historyczną Kraju Rad i doniosłą rolę człowieka radzieckiego — budowniczego nowego ustroju.

„W Rosji odbywa się to, czego nigdy i nigdzie nie było — pisze Gorki do pierwszego zjazdu literatów syberyjskich — rosyjski lud pracujący łączy naprawdę wszystkie ludy różnoplemienne we wspólnej wielkiej sprawie — w tworzeniu nowych form życia... Rosja udziela światu doniosłej nauki o tym, jak należy łączyć czynniki różnorodne i jednolite pod względem duchowym, pod względem dążeń."

Charakteryzując nowego człowieka — twórcę społeczeństwa komunistycznego, Gorki mówi o niebezpieczeństwie, które mu grozi ze strony wojującego kapitalizmu. W liście do Ałdańskich kopaczy złota Gorki w styczniu 1931 roku tak charakteryzuje agresywne zamiary burżuazyjnych imperialistów: „Rozumieją i czują oni, że potężny rozwój robotniczo-chłopskiego państwa zagraża im nieuniknionym zniszczeniem, nieuniknioną zgubą. Ze strachu i rozpaczy dawno już rzuciliby się na nas z karabinami maszynowymi, czołgami i samolotami i gazami trującymi, lecz ich niedorzeczna i nieludzka chciwość stworzyła taką sytuację, że obecnie w Europie i Ameryce pozostaje bez pracy około trzydziestu milionów robotników. Jest rzeczą ryzykowną uzbroić i wysłać przeciwko nam te miliony, bo karabiny i kulomioty mogą zacząć strzelać w kierunku innym, niż życzą sobie tego kapitaliści".

Jakże aktualne są w dobie dzisiejszej słowa te, pisane dwadzieścia lat temu! W listach swoich Gorki poświęca wiele uwagi demaskowaniu społeczeństwa burżuazyjnego z jego drapieżnymi instynktami, zakłamaną moralnością i zgniłą kulturą.

Gdy w roku 1927 jeden z młodych literatów Nowosyberyjska prosił listownie Gorkiego o scharakteryzowanie od strony społecznej utworów angielskiego moralisty Smilesa ,wielki pisarz proletariacki odpowiedział mu treściwym, ostrym listem, skierowanym przeciwko burżuazyjnej literaturze reakcyjnej, usiłującej ukryć eksploatatorską istotę kapitalistycznego społeczeństwa.

„Smiles — pisał Gorki — to typowy angielski mieszczanin, bardzo, jak każdy mieszczanin, obłudny i bardzo nieudolny. Idea przewodnia jego dzieł jest następująca: „Jeżeli źle ci się powodzi, sam za to ponosisz winę". Jak widzicie, wybraliście sobie niefortunnego nauczyciela. W Rosji dzieła Smilesa były popularne w ósmym i na początku dziewiątego dziesięciolecia XIX wieku, tj. w latach ofensywy reakcji, gdy nasi domorośli „Smilesowie" w rodzaju prawicowego dziennikarza Mieńszykowa, pouczali młodzież: „Nasze czasy — to nie czasy wielkich zadań". A jest akurat przeciwnie — każda epoka jest czasem wielkich zadań.

Wy nie chcecie, by życie sprowadzało się wyłącznie do jedzenia i snu. Smiles zaś propaguje właśnie to i oprócz tego konieczność podporządkowania się prawom, wydanym przez ludzi, którzy żyją z cudzej pracy. „Kiedyś szewc — pilnuj kopyta". Oto, co znajdziecie u Smilesa, jeżeli uważnie zastanowicie się nad jego kazaniami.

Niepokojące was „zróżniczkowanie ludzi" stanowi przeważnie wynik ich społecznej nierówności, którą popierają tacy ludzie, jak Smiles".

Zbiór „Gorki i Syberia" zawiera wiele podobnych listów, opublikowanych w swoim czasie w małorozpowszechnionych wydawnictwach lub wcale nieopublikowanych. Autorzy zbioru, zebrawszy je i zaopatrzywszy w komentarze, dali czytelnikom radzieckim możność ponownego spotkania się z ulubionym pisarzem i ponownego przekonania się, jak wytrwale i konsekwentnie walczył z burżuazyjną ideologią, walczył o pokój i szczęście ludzkości, jak doceniał osiągnięcia robotników przemysłowych i rolnych, i rozwój radzieckiej nauki i sztuki.

ŻYCIE RADZIECKIEJ ESTONII

O twórczym charakterze pracy ludzi radzieckich i o ich uporczywej walce z przyrodą w imię dobra ludzkości opowiada estoński pisarz Oswald Tooming w powieści „Zielone złoto".**).

Zielonym złotem lud estoński nazywa wspaniałe lasy, w które obfituje radziecka Estonia.

Treścią niedawno wydanej powieści Toominga jest walka o naukowe metody eksploatacji tego „złota". Akcja odbywa się w jednym z leśnictw, gdzie przebywa nowy leśniczy Remmełgas. Pierwsze jego poczynania spotykają się z oporem ze strony kierownika miejscowego przedsiębiorstwa leśnego, Osmusa. Między Remmełgasem i Osmusem wynika walka. Idzie o sprawy, mające znaczenie dla całej ludności okolicznej. Osmus, człowiek bezwzględny, energiczny i pewny siebie, wykonuje, podobnie jak w latach poprzednich, plan produkcji z nadwyżką. Ale powodzenie zawdzięcza temu, że prowadzi wyrąb w pobliżu wąskotorowej kolejki i wielkiej drogi, niszcząc młode lasy, gdy tymczasem głębiej położone partie leśne posiadają doskonały drzewostan, stary, wymagający wyrębu. Prowadzi więc rabunkową gospodarkę leśną, niezgodną z interesem ogółu.

Remmełgas, który jest komunistą i przeszedł twardą szkołę w drugiej wojnie światowej, na plan pierwszy w swej pracy wysuwa interes publiczny. Jest człowiekiem o szerokich horyzontach, człowiekiem umiejącym patrzeć w przyszłość. Oddaje pod wyrąb nie te działki leśne, które ułatwiają Osmusowi wykonanie z nadwyżką planu produkcji, ale te, które ze względów fachowych muszą być wycięte w pierwszej kolejce.

W swych celowych poczynaniach Remmełgas spotyka się z oporem nie tylko Osmusa, który nie lubi lasu i nie dba o dobro ogółu, lecz również z oporem starego leśniczego Nugisa, który jest w lesie rozmiłowany. Pod wpływem Remmełgasa Nugis zaczyna rozumieć o co w danym wypadku idzie. Zrozumienie istoty konfliktu pomiędzy Remmełgasem a Osmusem wprowadza go w szeregi partii komunistycznej. Córka-komunistka uświadamia go, że bagna, niszczące jego ukochany las, mogą być osuszone drogą melioracji.

Podniecający starego Nugisa problem zachowania lasu łączy się nierozdzielnie z problemem planowego wyrębu i naukowej hodowli drzewostanu, co jest troską Remmełgasa. Łączy to młodego ze starym, a obu — z okoliczną ludnością. Błota bowiem leśne wywierają ujemny wpływ na pola miejscowego kołchozu. Wspólnym wyjściem z niekorzystnej sytuacji jest śmiały plan wielkich robót melioracyjnych, związanych ze zmianą koryta rzeki Kulliare.

„Dotąd — mówi Remmełgas — nie posiadaliśmy siły, która potrafiłaby oddać przyrodę na usługi ludzi, w tej liczbie ludzi Tuliksaaru. Teraz taką siłę mamy! Siłą tą jest nasz lud, władza radziecka, partia bolszewicka!"

Trudną walkę o przekształcenie przyrody prowadzą pod przewodem wiejskiej organizacji partyjnej mieszkańcy okolicznych wsi. Roboty melioracyjne przybierają charakter ogólnokrajowy, stają się początkiem zmiany warunków życiowych w leśnictwie Tuliksaaru. Jeszcze huczą ekskawatory, żłobiące nowe koryto rzeki, a już ogólnokrajowe przedstawicielstwo ludowe przygotowuje się do omówienia sprawy elektryfikacji Tuliksaare...

Oswald Tooming napisał dobrą książkę o życiu ludzi Radzieckiej Estonii. Dopomoże ona niewątpliwie jej ludności w zwalczaniu przeżytków przeszłości i w kroczeniu ku sprawiedliwemu ustrojowi społecznemu.

KIEDY CZŁOWIEK SIĘ ŚMIEJE?

„Kiedy człowiek się śmieje?" — zapytuje w jednym ze swych artykułów znany krytyk radziecki, Łunaczarski. I odpowiada: Wówczas, gdy wewnętrznie zwyciężył, gdy jest przekonany o ostatecznym swym zwycięstwie".

Tak właśnie śmieje się Kornijczuk w najnowszej komedii „Kalinowy Gaj".***) W ciągu pieciu lat, które upłynęły od końca drugiej wojny światowej, „Kalinowy Gaj" kompletnie odbudowano. Gospodarka kołchozu prosperuje, kołchoźnicy żyją w dobrobycie. Organizacja partyjna cieszy się w gromadzie zasłużonym autorytetem. Wśród kołchoźników są odznaczeni, — jak ogniwowa (zwieniewaja) Wasilisa Kowszyk — znani poza obrębem obwodu. Przewodniczący kołchozu, Iwan Romaniuk „przewodniczący od lat dziewiętnastu, cieszy się zaufaniem ludzi". Słowem, zdawać by się mogło, że w „Kalinowym Gaju" dzieje się dobrze, że nie ma podstaw do niepokoju lub niezadowolenia. Tak właśnie myśli Romaniuk i jego zastępca, Archip Wakulenko, zdając sobie jednak sprawę, że kołchoz, którym kierują, należy do kategorii „przeciętnych". Ubolewa nad tym jeden z bohaterów komedii, komunista Karp Wietrowaj, zaznaczając: „Wleczemy się, jak stare szkapy. Siedzimy na krążowniku, boga poruszamy się z pomocą wioseł. Czy tak można?" Te słowa Wietrowego określają temat sztuki.

Tow. Stalin w artykule „Współzawodnictwo i entuzjazm pracy mas" pisał: „Socjalistyczne współzawodnictwo głosi: jedni pracują źle, drudzy dobrze, inni jeszcze lepiej. Dopędzaj lepszych i doprowadź do ogólnego entuzjazmu."

Doniosłe zagadnienie podciągnięcia wzwyż przeciętnych kołchozów stanowi właśnie zasadniczą treść najnowszej komedii Kornijczuka.

Kornijczuk przekonywująco dowodzi, że wszystkie bez wyjątku kołchozy mogą zwiększyć szybkość swego kroczenia ku komunizmowi i wyśmiewa ludzi, którzy nie umieją wykorzystać w tym celu zalet i osiągnięć kolektywnego ustroju rolnego. W komedii Kornijczuka śmiech jest skuteczną bronią przeciwko dawnym nawykom prowadzenia gospodarki rolnej, bronią bolszewickiej krytyki i samokrytyki. Godzi on przede wszystkim w przewodniczącego kołchozu Romaniuka. Upojony minionymi sukcesami, Romaniuk wpada w zarozumiałość i staje się figurą w całym tego słowa znaczeniu komiczną, przywódcą bez mas. Kołchoźnicy dawno go już wyprzedzili, a jemu wciąż zdaje się, że nadal nimi kieruje. Kolektyw kołchozu — jak należało się spodziewać — okazał się dostatecznie silnym, by nie tylko przełamać bierność Romaniuka, lecz również dopomóc mu do uświadomienia swych omyłek. Gdy w końcu komedii Romaniuk oświadcza z cechującą go otwartością, że jedzie uczyć się w charakterze zwykłego szeregowca do przodującego kołchozu — widz śmieje się z ulgą, ciesząc się, że Romaniuk wkroczył na właściwą drogę.

Ten nieszczęśliwy śmiech jest współczesną bronią pisarza-komunisty, który — w odróżnieniu od pisarzy burżuazyjnych — nie potrzebuje uciekać się do satyry i piętnować wszystkich swych bohaterów w czambuł. Zgodnie z tym Kornijczuk, dydaktycznie wyśmiewając błędy swych bohaterów, uwidacznia jednocześnie, że są to uczciwi, wartościowi ludzie radzieccy, szczerze kroczący z postępem ku wyższym formom społecznym.

Web.

*) „Gorki i Syberia". Zbiór opracowany przez S. Kożewnikowa i A. Kaptiełowa. Irkuckie wydawnictwo Obwodowe. 1949. „M. Gorki i pisarze syberyjscy". Zbiór wspomnień. Opracowali S. Kożewnikow i A. Kaptiełow. Nowosyberyjskie wydawnictwo Obwodowe. 1950. („Nowyj Mir", październik 1950).

**) Oswald Tooming. „Zielone złoto". Tallin, 1950. („Nowyj Mir", październik 1950).

***) Aleksander Kornijczuk. „Kalinowy Gaj". Przekład z ukraińskiego. („Znamia", wrzesień 1950).

STANISŁAW MĘDELSKI

Rodowód australijskiej klasy robotniczej

Bohaterami książki Katharine Prichard pod tytułem „Burzliwe lata“ [1]) są poszukiwacze złota. Akcja toczy się w końcu ubiegłego stulecia na pustynnych terenach południowo - zachodniej Australii. Jak dowiadujemy się z przedmowy, zamierzeniem autorki „...było wierne odtworzenie początków przemysłu górniczego na terenach złotonośnych...“. Zacznijmy więc od tego zamierzenia. Nieporozumieniem jest „wierne odtwarzanie“ rzeczywistości w powieści, podstawową wartością utworu realistycznego jest bowiem umiejętność selekcji faktów i odpowiednie ich ustawienie. Konsekwencją tej umiejętności jest to, że otrzymujemy w powieści typowy przebieg zjawiska, a nie jego wierne odtworzenie.

Autor przedmowy, którym jest nie Prichard, ale anonim kryjący się za majestatem Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik“, ma jednak rację o tyle, że książka Katharine Prichard pozostawia na czytelniku raczej wrażenie zbeletryzowanej kroniki niż powieści w całym tego słowa znaczeniu.

Przede wszystkim „Burzliwe lata“ nie spełniają ważnego postulatu realizmu: typowości bohaterów. Główną bowiem i pozytywną postacią jest Sally — mieszczka, żyjąca w świecie swych drobnych miłosnych i ekonomicznych tarapatów. Pod ten główny wątek podkłada dopiero autorka dzieje odkrycia i eksploatacji złota w południowo-zachodniej Australii i usiłuje ukazać pewne konflikty społeczne. W rezultacie tej konfiguracji nietypowego bohatera z typowymi zjawiskami społecznymi otrzymaliśmy to, że większą część książki zajmują osobiste przygody Sally, mające tylko formalny związek z zagadnieniem poszukiwania złota. — Sally jest żoną poszukiwacza. W tych natomiast partiach książki, gdzie autorka zaznajamia nas z problemami społecznymi, postać Sally oddala się na bardzo daleki plan, a miejscami nawet zanika zupełnie.

Rzućmy okiem na te problemy społeczne — aby móc je później poddać interpretacji. Poszukiwacze złota to ludzie z różnych krajów, z różnych klas, o szerokim wachlarzu światopoglądowym. Łączy ich jedno: wspólny los wykolejeńców i wygnańców. Los ten zawdzięczają ustrojowi kapitalistycznemu. Nie są oni jednak wrogami tego ustroju. Szukając bowiem złota, działają w oparciu o podstawową zasadę kapitalizmu — wolną konkurencję. Marzeniem każdego z nich jest zostać bogaczem: właścicielem kopalni lub akcjonariuszem i pędzić dalej spokojne, beztroskie życie kosztem klasy robotniczej. Ale nie ma nic bardziej obłudnego niż zasady, na których rozwija się kapitalizm. Okazuje się, że nie wystarczy mieć pieniądze aby zostać kapitalistą. Tak sprawa wygląda tylko formalnie. W rzeczywistości potrzebny jest do tego współczynnik łotrostwa. Kiedy poszukiwacze, po pokonaniu nieludzkich wprost trudów — jak na przykład brak wody, głód, zakaźne choroby — odkryli bogate złoża złota i zgodnie z ustawą otrzymali na własność działki górnicze, zapewniające im w zasadzie zamożność — zjawiają się na pustyni przedstawiciele wielkich towarzystw akcyjnych z Europy i zaczynają przywłaszczać sobie prawa do terenów złotonośnych — spychając równocześnie dawnych, wolnych poszukiwaczy do rzędu zwykłych, zależnych od ich łaski proletariuszy. W tym wywłaszczaniu poszukiwaczy pomaga agentom towarzystw rząd australijski, przez wydawanie odpowiednich ustaw. Poszukiwacze występują do walki z wielkim kapitałem w obronie swoich praw.

Walkę tę prowadzą w oparciu o istniejące ustawodawstwo. Polega ona głównie na protestach, manifestacjach i głosowaniu w parlamencie. Autorka ocenia ją pozytywnie jako walkę klasową proletariatu z burżuazją i usiłuje udowodnić, że poszukiwacze zakończyli ją zwycięsko.

Dotarliśmy tu zatem do drugiego nieporozumienia. Walki poszukiwaczy złota z kapitalistami nie można traktować tak, jak walkę proletariatu. W gruncie rzeczy przecież, poszukiwacze złota byli drobnymi właścicielami, a nie robotnikami. Zwalczali burżuazję po to, aby uchronić od zagłady swoje istnienie — istnienie stanu średniego. Walczyli nie o uwolnienie się od systemu kapitalistycznego, ale o prawo zostania kapitalistami. Walka ich była więc nie rewolucyjna, — jak sugeruje nam autorka — ale wręcz reakcyjna, usiłuje bowiem obrócić wstecz koło historii. Inna rzecz, że walka ta przyczyniła się do podważenia ustroju kapitalistycznego, przez to, że przyspieszała zepchnięcie drobnych właścicieli do szeregów klasy robotniczej i powiększała w ten sposób ilość przyszłych grabarzy tego ustroju. [2])

Dalszym niewłaściwie rozwiązanym problemem jest sprawa metod walki. Poszukiwacze złota zrzeszeni w organizacji zawodowej prowadzą walkę z rządem i kapitałem w oparciu o istniejące ustawodawstwo — jak pisałem już wyżej. Zwycięstwo ich — według autorki — polega na tym, że otrzymują pewne formalne ustępstwa, dotyczące eksploatacji terenów złotodajnych — zagwarantowane ustawą. Fakty jednak, które autorka w swej powieści ujawnia, mówią o tym, że poszukiwacze nie zwyciężyli wielkiego kapitału i zwyciężyć go nie mogli. Nie zwyciężyli dlatego, że już po rzekomym pokonaniu właścicieli kopalń, następuje gwałtowna proletaryzacja dawnych poszukiwaczy. Nie mogli natomiast zwyciężyć dlatego, że ustawodawstwo jest przecież narzędziem walki klasy rządzącej — a taką jest w ustroju kapitalistycznym burżuazja a nie lumpenproletariat ewentualnie drobnomieszczaństwo, do których należy zaszeregować poszukiwaczy złota.

Do tych zasadniczych błędów natury ideologicznej i artystycznej można by dorzucić także garść spostrzeżeń, które mówią o tym, iż autorka nie panuje nad techniką budowy powieści. W książce swej na przykład posługuje się Prichard postacią Chrisa — obłąkanego maniaka, który spełnia właściwie anachroniczną już dziś rolę chóru z klasycznej tragedii greckiej. Ponieważ „Burzliwe lata“ ukazały się jako tom I większej całości powieściowej można narazie wstrzymać się z zarzutem, że Prichard nie pokusiła się o pokazanie życia i walki prawdziwych proletariuszy - górników zatrudnionych w wielkich kopalniach będących własnością towarzystw akcyjnych. Sądzę, że takie właśnie ustawienie tematu uratowałoby książkę przed tymi wszystkimi potknięciami ideologicznymi, które wyżej wykazałem. O ile bowiem zajęcie się na początku powieści życiem poszukiwaczy złota jest w pełni uzasadnione, a nawet konieczne — gdyż byli oni jedyną klasą społeczną, działającą na tych terenach — o tyle, z chwilą utrwalenia się na dawnej pustyni stosunków kapitalistycznych należałoby zainteresować się walką proletariatu, jako walką decydującą o przyszłości społeczeństwa a przez to najbardziej typową.

Narazie autorka poświęca jednak sprawie choroby Sally kilka rozdziałów, obliczonych na efekty natury raczej egzotycznej — a los proletariatu kwituje taką oto, zgoła dziennikarską notatką: „Kiedy jednak Kolgoorlie stało się kwitnącym ośrodkiem inwestycji kopalnianych i spekulacji, sprzeczność interesów właścicieli i kierowników kopalń z jednej strony, a górników i poszukiwaczy z drugiej — stała się bardziej wyraźna. Wybuchły strajki na pierwszych kopalniach w Boulder i robotnicy walczyli dalej o lepsze warunki pracy i wyższą płacę“.

Nie można czytelnika zbywać taką notatką. Chciałby on zobaczyć te strajki i robotników w akcji, bo przekonuje się go poprzez ukazywanie działania, a nie drogą dziennikarskiego opisu.

Oczywiste jest, że wszystkie te braki ograniczają znaczenie książki, nie na tyle jednak, by przyćmić jej strony pozytywne. Książka zdziera maskę obłudy z burżuazyjnej „wolnej konkurencji“. Pokazuje złodziejskie metody kapitalistów na przykładach machinacji giełdowych. Potrafi także właściwie ukazać pozytywną rolę ustroju kapitalistycznego w jego początkowym stadium — zwłaszcza na odcinku postępu technicznego.

Główną zaś wartością książki Katharine Prichard jest to, że ujęła ona w artystyczne kształty rodowód australijskiej klasy robotniczej. Jego początki uchwyciła dobrze, zgodnie z rzeczywistością i realistycznie. Należy oczekiwać, że w drugim tomie potrafi odmalować również dalsze dzieje ruchu robotniczego w Australii.

Stanisław Mędelski.

---

[1]) K. S. Prichard: „Burzliwe lata“. Tłumaczył Klemens Szaniawski. Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik“ — 1950, str. 564.

[2]) Porównaj Lenin — „Marks, Engels, marksizm“. Wyd. „Książka“. str. 19.

Hamlet i jego poznańska inscenizacja

(dokończenie ze str. 8-ej)

prawie sympatycznego władcę, który nie tylko nie może uchodzić za typowego przedstawiciela obłudnego i zbrodniczego systemu rządzenia, ale nawet wydaje się niezdolny do dokonanego morderstwa i zamiaru zgładzenia Hamleta. A gdy dręczony jakże egoistycznymi w gruncie rzeczy wyrzutami sumienia modli się i ulega atakowi histerii(!), pokładając się na schodach (okropny pomysł reżyserski), budzi raczej politowanie. Tak jak w postaci dobrotliwego Klaudiusza ujęto zło jego groźną, nieludzką, antyspołeczną a przy tym historycznie uzasadnioną wymowę, tak też pozbawiono właściwego sensu postaci królewskich dworzan i popleczników. Z Poloniusza (Stefan Orzechowski) zrobiono wyłącznie „kapitalne cielę“, farsowego, niegroźnego błazna, zapominając o tym, że jest on bądź co bądź wpływowym szambelanem, realistycznie przez Szekspira odmalowanym typem dwulicowego dworaka. Poloniusz to przeciętny, ale przewrotny intrygant, strojący się w szaty czcigodności, to człowiek, dla którego cel uświęca środki, („Przynętą fałszu złowisz karpia prawdy“, „skromną świętoszka miną, uczynkami budującymi ocukrzymy nieraz samego diabła“), to charakterystyczny produkt określonego ustroju. Tego wszystkiego w poznańskim Poloniuszu nie ma. Pojawia się on tylko gwoli ucieszenia drobnomieszczańskiej części publiczności. Tę samą komiczną funkcję spełnia też emfatyczny Laertes. Wreszcie ze swoich ról małych płatnych szpiegów nie wywiązują się należycie Rozenkranc (Zdzisław Salaburski) i Gildenstern (Andrzej Witkowski). Jak już zwrócił uwagę Goethe (który w ogóle w kilku rozdziałach „Lat nauki Wilhelma Meistera“ poddał „Hamleta“ świetnej analizie) te dwie nędzne kreatury występują w sztuce jako przedstawiciele masy zdeprawowanych ludzi, niezbędnych podpór wszelkich systemów opartych na przemocy. W poznańskim spektaklu Rozenkranc i Gildenstern, którym Hamlet ufa „tak jak żmijom“, robią wcale przyzwoite, najwyżej nijakie wrażenie, ich wysługiwanie się królowi nie wydaje się dostatecznie uzasadnione.

Ponieważ nie piszę recenzji z przedstawienia, a chodzi mi jedynie o wykazanie zasadniczego kierunku w jakim poszła, względnie nie poszła inscenizacja Horzycy, nie będę bliżej omawiać ani mówiącego z poznańska Ducha, ani poprawnej, doskonałej w postawie królowej Gertrudy, ani reszty wykonawców. Wypada tylko jeszcze wspomnieć, że — rzecz znamienna — ideowo ważni Horacjo i Fortynbras wypadają zupełnie blado, nie reprezentują niczego oraz że jedynymi postaciami, które w zupełności stoją na wysokości zadania to Ofelia Zofii Rysiówny oraz grabarz I. Bolesława Rosłana. Rysiówna gra z przekonywującą dyskrecją rolę bezbronnej, wiotkiej istoty, która dostała się „między ostrza potężnych szermierzy“, a potem naprawdę wstrząsa w subtelnie wycieniowanej scenie obłędu. Rosłan zaś dał kapitalną w swym komizmie kreację i bez reszty wydobył z tekstu cały jego realistyczny i społeczno-polityczny sens — sens przez innych, z twórcą widowiska na czele, niestety nie uchwycony.

Rzecz prosta, że oderwanie się od tradycyjnych koncepcji inscenizacyjnych, rewizjonistyczne spojrzenie na wielkie dzieła przeszłości tak długo — świadomie czy nieświadomie — fałszywie naświetlane i interpretowane przez idealistyczno-formalistyczną naukę i praktykę teatralną, nie jest ani łatwe, ani nie da się od razu przeprowadzić. „Problem przewartościowania i wydobycia klasyków — jak się nie dawno wyraził min. Sokorski — stoi jeszcze przed nami ciągle otwarty“. Do jakiego stopnia problem ten jest rzeczywiście „otwarty“ — o tym przekonywuje nas m. i. poznański „Hamlet“.

Egon Naganowski

KORESPONDENCJA

W sprawie klubów literackich

W n-rze 28 „Nowej Kultury“ z dnia 8.X br. p. Jan Edward Kucharski, w artykule pt. „Nowe zadania Klubów Literackich“ bardzo wnikliwie i rzeczowo omówił zadania Klubów Literackich. Artykuł ten należałoby jednak — moim zdaniem — uzupełnić paroma uwagami.

Kluby Literackie powstały cztery lata temu w oparciu o poszczególne Oddziały Związku Literatów Polskich, które przez wyznaczonych pośród swoich członków opiekunów, miały spełniać rolę doradczą. Byliśmy wtedy u progu realizacji postulatu państwa ludowego. Rodzima reakcja stała jeszcze na mocnych nogach, nie wierzyła w możliwość utrwalenia się u nas władzy ludowej, negatywnie i wrogo ustosunkowywała się do wszelkich jej poczynań. Kluby, jak słusznie zauważył p. Kucharski, organizowane były przez aktyw inteligencji, należałoby jednak dodać, że nie zawsze był to aktyw inteligencji związanej z ideologią Polski Ludowej.

Kluby Literackie niejednokrotnie stawały się bazą dla pisarzy reakcyjnych. Potwierdzić to może lista zapraszanych w tym czasie na wieczory klubowe prelegentów. Jeśli chodzi o audytorium, to — z małymi wyjątkami — było ono elitarne - inteligenckie. W Klubach Literackich na podstawie cichego porozumienia między kierownictwem a prelegentami miała być zachowana „czysta“ atmosfera literatury i sztuki, „nie skażona polityką“.

Pod naporem opinii publicznej i na skutek wglądu Zarządu Głównego Związku Literatów w działalność i programy Klubów Literackich zmieniło się do pewnego stopnia oblicze audytorium, skład osobowy prelegentów na wieczorach klubowych i treść prelekcji.

Jest to niewątpliwie fakt pozytywny. Mimo tej zmiany na lepsze działalność Klubów jest niekiedy chaotyczna i bezplanowa. W moim przekonaniu przyczyną tego jest fakt, że skład osobowy zarządów Klubów nie uległ zmianie, że nie weszli do nich nowi ludzie. Nastąpiło po prostu przystosowanie dawnych ludzi do nowych warunków.

Kluby Literackie, przed którymi rzeczywiście stoją poważne zadania oddziaływania środkami artystycznymi na wyrobienie kulturalne i artystyczne mas, muszą rozwijać swą działalność planowo, zgodnie z ideologią Państwa Ludowego. Kierownictwo Klubów powinno znajdować się w rękach ludzi odpowiednich przedstawicieli szerokich mas społeczeństwa i młodzieży, którzy by trzymali rękę na pulsie potrzeb reprezentowanego przez siebie środowiska. Muszą to być ludzie o wyraźnym obliczu politycznym i ideologicznym. Tylko wtedy bowiem Kluby Literackie będą mogły wypełnić należycie swą rolę.

Celina Kwiatuszyńska
Sosnowiec

PIW

Lesław M. Bartelski i Stanisław Wygodzki
SŁOWO O WIELKIM BRATERSTWIE
str. 119 zł 170

Aleksander Puszkin
LIRYKI WYBRANE
w przekładzie M. Jastruna
str. 111 zł 200

Leopold Staff
POEZJE
tom I
str. 413 zł 450

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

PIW

Iwan Wazow
NIEMILI I NIEKOCHANI
str. 131 zł 220

Iwan Wazow
POD JARZMEM
t. I/II
str. 261 i 291 zł 740

Ludomił Stojanow
MEHMED SINAD
str. 129 zł 220

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Treść numeru 11 (57)
„PAŃSTWA I PRAWA“

Trzydzieści trzy lata walki o pokój; *Dr Karol Koranyi*, rektor UMK; Burżuazja a armia: *Prof. S. B. Krylow*, sędzia Międzynarod. Trybunału w Hadze: Walka Związku Radzieckiego o zasady prawa międzynarodowego; *N. D. Kazancew*, prof. Instytutu Prawa w Moskwie: Przebudowa rolnictwa w krajach demokracji ludowej.

* * *

Z życia Zrzeszenia Prawników Polskich: *Dr Witold Czachórski:* Z zagadnień niesłusznego bogacenia w prawie cywilnym radzieckim; *Lex.* Z bieżących zagadnień prawa i stosunków międzynarodowych.

Z PRAC PODSEKCJI PRAWA I KONGRESU NAUKI POLSKIEJ

Pierwszy Zjazd Historyków Prawa w Toruniu *(N. B.)*

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA

Wiktor Kornatowski: „Rozwój pojęć o państwie w starożytnej Grecji“ (rec. *Henryk Piętka)*; *Władysław Namysłowski:* „System prawa konsularnego“ (rec. *K. Libera)*; *D. B. Lewin:* „Dipłomaticzeskij Immunitiet“ (rec. *Stanisław Vaniuk)*; *M. J. Raginski* i *S. J. Rozenblit:* „Międzynarodowy proces głównych japońskich zbrodniarzy wojennych“ (rec. *Ludwik Gelberg)*; *Józef Giebułtowicz:* W sprawie artykułu o „Problemie odpowiedzialności karnej Państwa“. Przegląd czasopism radzieckich (*Wojciech Morawiecki*),

ORZECZNICTWO CYWILNE — ORZECZNICTWO KARNE — ORZECZNICTWO ARBITRAŻOWE — BIULETYN INFORMACYJNY WARSZAWSKIEJ RADY ADWOKACKIEJ — POLSKA BIBLIOGRAFIA PRAWNICZA.

Streszczenie w języku rosyjskim i angielskim oraz zestawienie numeracji artykułów kodeksu postępowania cywilnego (oprac. *Z. Warman)* (wkładki).

WYJAŚNIENIE KLUBU MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI

Klub Międzynarodowej Prasy i Książki wyjaśnia, że ogłoszenie w prasie o odbiorze 1-ego tomu „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej“ dla odbiorców warszawskich w Księgarni Klubu przy ul. Bagatela 14 miało na celu dobro ludzi pracy zamieszkałych w Warszawie.

Koszt pobrania pocztowego za wysyłkę każdego egzemplarza, obciążający odbiorcę, wynosi bowiem zł 3.45, czyli około 10 proc. ponad cenę I tomu.

Ponadto odbiór książki przez subskrybenta w dowolnym dniu, kiedy posiada na ten cel gotówkę, jest też dla niego udogodnieniem.

Automatyczna wysyłka za pobraniem pocztowym bez uprzedzenia subskrybenta nie może być stosowana, subskrypcja może bowiem być już dla odbiorcy nieaktualna, zaliczenie może nie zastać subskrybenta w Warszawie, wielu zaś subskrybentów zmieniło w międzyczasie swoje adresy, bez powiadomienia nas o tym.

Jest rzeczą jasną, że wszystkim subskrybentom, którzy życzą sobie otrzymać I tom „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej“ do domu, jest on wysyłany na pierwsze życzenie, wyrażone pisemnie czy telefonicznie.

Subskrybentom, którzy nie dokonają odbioru w księgarni, tom I wysłany zostanie za zaliczeniem, po uprzednim pisemnym uzgodnieniu.

Zaznacza się, że podany wyżej system odbioru, zastosowany został tylko w Warszawie i w miejscowościach posiadających Oddziały Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, natomiast subskrybenci prowincjonalni otrzymali I tom „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej“ za zaliczeniem.

Należy również podkreślić, że „Wielka Encyklopedia Radziecka“ sprzedawana jest wyłącznie subskrybentom, przy czym subskrypcja jest nadal otwarta i nowym subskrybentom tom I jest dostarczany w miarę nadchodzenia dalszych transportów.

Książki nadesłane

„KSIĄŻKA I WIEDZA“

J. Stanisławski. Gramatyka angielska dla zaawansowanych. Szczegółowa analiza rozbieżności zachodzących między gramatyką angielską a polską. Tom I. Warszawa, 1950; str. 241 i 1 nl.

Goethe. Cierpienia młodego Werthera. Przekład **Leopolda Staffa.** Studium wstępne **Tadeusza Żeleńskiego (Boya).** Warszawa, 1950; str. 181 i 3 nl.

Podręcznik prawa międzynarodowego. Pod red. **W. N. Durdieniewskiego** i **S. B. Krylowa.** Warszawa, 1950; str. 711 i 3 nl.

Stefan Kieniewicz. Konspiracje galicyjskie. (1831—1845). Warszawa, 1950; str. 236 i 4 nl.

S. F. Tokmałajew. Kapitał handlowy i zysk handlowy. Warszawa, 1950; str. 114 i 4 nl.

W. I. Lenin. Co to są „przyjaciele ludu“ i jak oni wojują przeciwko socjaldemokratom? Warszawa, 1950; str. 246 i 2 nl.

Adolf Dygasiński. Nowele i opowiadania. Tom 2 (Pisma wybrane. Pod red. **Bogdana Horodyskiego.** Tom VIII). Warszawa, 1950; str. 244 i 4 nl.

Plan sześcioletni. Warszawa, 1950; str. 168 i 2 nl.

Louis Aragon. Piękne dzielnice. Przełożyła **Krystyna Dołatowska.** Okładkę projektował **Piotr Baro.** Warszawa, 1950; str. 484 i 4 nl.

Balzac. Historia trzynastu. Przełożył i wstępem opatrzył **Tadeusz Żeleński (Boy).** Warszawa, 1950; str. 432 i 4 nl.

Karol Schulz. Kamień i cierpienie. Przełożyła z czeskiego **Maria Erhardtowa.** Warszawa, 1950; str. 496 i 4 nl.

Anatol France. Pan Bergeret w Paryżu. Przełożył **Julian Rogoziński.** Warszawa, 1950; str. 193 i 3 nl.

Maksym Gorki. Baśnie włoskie. Tłumaczył **Anatol Stern.** Warszawa, 1950; str. 162 i 2 nl.

Hans Marchwitza. Moja młodość. Przełożyli: **Adolf Sowiński, Olga** i **Andrzej Ziemilscy.** Okładkę proj. **Antoni Pucek.** Warszawa, 1950; str. 437 i 3 nl.

Władysław Machejek. Chłopcy z lasu. Okładkę projektował **Zbigniew Rychlicki.** Warszawa, 1950, str. 310 i 4 nl.

Jan Sokołowski. Z biologii ptaków. Ilustracje autora Warszawa, 1950; str. 290 i 2 nl.

Artur D. Kann. Zmarnowane zwycięstwo. Początki okupacji amerykańskiej w Niemczech Warszawa, 1950; str. 235 i 5 nl.

Renaud de Jouvenel. Międzynarodówka zdrajców. Warszawa, 1950; str. 1X i 1 nl i 152 i 2 nl.

A. J. Jeżow. Podręcznik statystyki przemysłowej. Warszawa, 1950; str. XII i 2 nl. i 385 i 1 nl

Anatol Sofronow. Moskiewski charakter. (Biblioteczka Świetlicowa CRZZ. Nr 64). Warszawa, 1950; str. 104 i 4 nl.

I. Koczerga. Maszynista Czerewko. (Biblioteczka Świetlicowa CRZZ. Nr 63). Warszawa, 1950; str. 50 i 2 nl.

Antoni Czechow. Wesele. Niedźwiedź. Zapomniałem. (Biblioteczka Świetlicowa CRZZ. Nr 66). Warszawa, 1950 str. 64 i 4 nl.

Izydor Sztok. Gastello. (Biblioteczka Świetlicowa CRZZ. Nr 60). Warszawa, 1950; str. 112 i 4 nl.

G. Fisz. Nauka, która żyje. Warszawa, 1950; str. 63 i 1 nl.

A. Władimirow i **P. Szełachin.** Węgiel dla ojczyzny. Warszawa, 1950; str. 169 i 3 nl.

Monika Warneńska. Ludzie czerwonej woli. (Biblioteka Młodzieżowa ZMP. Nr 7). Warszawa, 1950; str. 59 i 1 nl.

Klaudia Żeltowa. Włodzimierz Woroszyn i jego brygada. (Biblioteka Przodowników Pracy. Nr 48). Warszawa, 1950; str. 70 i 2 nl.

Wywalczymy pokój! Warszawa, 1950; str. 23 i 1 nl.

Sprawozdanie polskich działaczy kultury i sztuki z pobytu w Związku Radzieckim w czasie 27.V.—17.VI.1950. Warszawa, 1950; str. 45 i 3 nl.

Pierwszy Zlot Korespondentów robotniczych i chłopskich (Materiały). Warszawa, 1950; str. 51 i 5 nl.

Roman Juryś. Pamięci bohaterów Władysława Hibnera, Henryka Rutkowskiego, Władysława Kniewskiego, Naftalego Botwina. Warszawa, 1950; str. 62 i 2 nl.

Jedna rodzina narodów radzieckich. Warszawa, 1950; str. 37 i 3 nl.

Zenon Nowak. Zagadnienie kadr w planie sześcioletnim. Warszawa, 1950; str. 35 i 1 nl.

O imperializmie. Materiały dla kursów partyjnych do tematu trzeciego. Warszawa, 1950; str. 47 i 1 nl.

Jak rozwijało się społeczeństwo ludzkie. Materiały dla kursów partyjnych do tematu pierwszego. Warszawa, 1950; str. 30 i 2 nl.

W. I. Lenin. Przyczynek do historii zagadnienia nieszczęsnego pokoju. Warszawa, 1950; str. 76 i 4 nl.

Laurent Casanova. Partia komunistyczna, intelektualiści i naród. Warszawa, 1950; str. 83 i 5 nl.

N. Kazancew. Stalinowski statut artelu rolnego. Podstawowe prawo w życiu kołchozów. Warszawa, 1950; str. 31 i 1 nl.

G. Giezerman. Jak przygotować i przeprowadzić pogadankę. Warszawa, 1950; str. 64 i 4 nl.

J. W. Stalin. Dzieła. Tom 10. Warszawa, 1950; str. 403 i 1 nl.

W. I. Lenin. Dzieła. Tom 1, Warszawa, 1950; str. 587 i 1 nl

W. I. Lenin. O walce przeciwko wojnie imperialistycznej. Warszawa, 1950; str. 458.

Maurice Thorez. Syn ludu. Wydanie II. (Biblioteka „Trybuny Ludu“). Warszawa, 1950; str. 165 i 3 nl.

Aleksander Bek. Szosa Wołokołamska. Przełożył **Stefan Kłonowski.** Wydanie IV. (Biblioteka „Chłopskiej Drogi“). Warszawa, 1950; str. 243 i 5 nl.

Władysław Broniewski. Komuna Paryska. Warszawa, 1950; str. 18 i 2 nl.

Władysław Broniewski. Słowo o Stalinie. Warszawa, 1950; str. 17 i 3 nl.

Róża Luksemburg. Listy z więzienia. Warszawa, 1950; str. 76 i 4 nl i 1 knl.

Eliza Orzeszkowa. Pamiętnik Wacławy. Tom I i II (Pisma zebrane. Pod redakcją **Juliana Krzyżanowskiego.** Tom XXXVIII i XXXIX). Warszawa, 1950; str. t. I 329 i 3 nl; t. II str. 241 i 3 nl.

R. J. Wipper. Powstanie literatury chrześcijańskiej. Warszawa, 1950; str 323 i 1 nl.

Stanisław Witkiewicz. Aleksander Gierymski. (Pisma wybrane. Pod redakcją **Jana Zygmunta Jakubowskiego.** Tom II). Warszawa, 1950; str. 168 i 2 nl.

Adolf Dygasiński. Właściciele. (Pisma wybrane. Pod redakcją **Bogdana Horodyskiego.** Tom VII). Warszawa, 1950; str. 195 i 5 nl.

Bolesław Prus. Kartki z podróży Tom I i II. (Pisma. Pod redakcją **Zygmunta Szweykowskiego.** Tom XXVII i XXVIII). Warszawa, 1950; t. I str. 290 i 6 nl; t. II str. 290 i 2 nl.

Bolesław Prus. Pierwsze opowiadania. (Pisma. Pod redakcją **Zygmunta Szweykowskiego.** Tom IV). Warszawa, 1950; str. 299 i 5 nl.

Bolesław Prus. Studia literackie, artystyczne i polemiki. (Pisma. Pod redakcją **Zygmunta Szweykowskiego.** Tom XXIX). Warszawa, 1950; str. 287 i 5 nl.

Jerzy Plechanow. O literaturze i sztuce. Warszawa, 1950; str. 282 i 2 nl.

E. Snangenberg. Przygody przyrodnika. Tłumaczyła z rosyjskiego **W. Olszewska.** Warszawa, 1950; str. 259 i 5 nl.

Arnold Słucki Ziemia jaśnieje. Warszawa, 1950; str. 52 i 4 nl.

Gustaw Flaubert. Bouvard i Pecuchet. Przekład i słowo wstępne **Wacława Rogowicza.** Okładkę projektował **Antoni Pucek.** Warszawa, 1950; str. 327 i 1 nl.

Wilis Łacis. Nawałnica. Przełożył **Stanisław Damrosz.** Warszawa, 1950; str. 526 i 2 nl.

SPROSTOWANIE

Do poprzedniego (35) n-ru „Nowej Kultury“ wkradło się kilka przykrych błędów a mianowicie:

Na str. 3 u dołu pod rysunkiem „Delegatka Korei na trybunie“ oraz na str. 10 pod rysunkiem przedstawiającym Howarda Fasta podano błędnie nazwiska rysowników, przypisując je w pierwszym wypadku J. Lenicy, w drugim M. Rudnickiemu, podczas gdy autorem obu jest Charlie (na drugim z rysunków wynika to zresztą z umieszczonej pod nim sygnatury).

Ponadto na str. 5 wiersze Pablo Nerudy zostały zamieszczone w niewłaściwej kolejności, która powinna być następująca: Drzewo wolności, Wiatr nad Lincolnem, Prestes Brazylijski, Co powiedziałem w Pacaembu.

REDAKCJA

mała kronika

Było to po owej nocy kongresu, gdy przemawiał delegat z Południowej Ameryki. Wszedłszy na trybunę, wyciągnął skrwawioną koszulę studenta, zamordowanego przez faszystów i pokazał całemu światu. Demonstrował mechanizm imperializmu, pokazywał jego krwawe ślady. Sala milczała, wstrząśnięta. Potem mówili inni: Amado, Neruda, patriarcha Roussian; sesja przeciągała się głęboko w noc. Można było wyjść z sali obrad, przejść się do restauracji, obejrzeć kioski z książkami i gazetami albo zwiedzić galeryjkę z podarunkami, które robotnicy i młodzież polska nadesłali dla delegatów kongresu. Były wśród nich zeszyty z pozdrowieniami od dzieci i modele wagonów towarowych od załogi Pafawagu, chustki z fabryk łódzkich, torebki i rękawiczki, swetry i koszule, ogromnie ciężkie postumenciki i rzeźby, a nawet misternie pokryte rysunkami miedziane lampki karbidowe i naftowe od uczniów szkoły zawodowej. (Dostał je potem poeta pakistański Rahman, który obiecał nauczyć się sposobu ich użycia). Można było także zawędrować na półpiętro i przyjrzeć się rysunkom dzieci o pokoju. Obok w gablotce leżały rozkoszne zabawki, które przemysł amerykański dostarcza dzieciom: kajdanki, rewolwery, miniaturowe karabiny maszynowe, małe czołgi i armaty wykonane aż nazbyt realistycznie, samoloty bombowe i „atomowe"; dwa światy, dwie metody wychowania, faszyzm i socjalizm. W hallu kongresu narody urządziły wystawy fotograficzne; każdy naród pokazywał światu, jak żyje. Narody Związku Radzieckiego mówiły o budowlach komunizmu, narody demokracji ludowej — o fundamentach socjalizmu. Szerokie pola spółdzielcze, ogromne kombajny, zbierające bawełnę i buraki, osiedla robotnicze, roześmiane dzieci, młodzież, gotowa do pracy i obrony pokoju — ten sam świat w Rumunii co i w Chinach, w Niemieckiej Republice Demokratycznej co i w Polsce. Ale można na tej wystawie było obejrzeć zdjęcia, które pokazywały skutki zabawek dziecinnych w ręku dorosłych faszystów: zniszczone dzielnice Seulu, bezludne wsie, wysadzone w powietrze mosty, pomordowane dzieci, stosy rozstrzelanych „zakładników", puste okna wypalonych domów i szerokie mordy żołdaków, delektujących się fajką z wiśniowej gałęzi.

Oglądając te zdjęcia, milczeliśmy; milczeliśmy również wtedy, gdy autokar wiozący nas na obiad, mijał ruiny getta, wbite deszczami jeszcze głębiej w ziemię.

Przed niewielu laty, mógłbym opowiedzieć pasażerom autokaru, delegatom niemieckim, na miejscu tych gruzów wznosiły się domy; pewnego dnia zaczęły płonąć jak domy Seulu. Siedziałem wtedy w więzieniu w getcie, dym przenikał przez okienka celi i drapał w gardle. Wyglądaliśmy przez okno, podstawiając stołek pod ścianę i zakrywając plecami judasza w drzwiach. Getto paliło się i dymy zasnuwały niebo, ciągnąc z wiatrem na wschód. Wreszcie pożar doszedł i do „naszej" ulicy. Doszedł — jako gromada uzbrojonych po zęby SS-mannów. Szli od domu do domu i przez okna wrzucali do pokojów na parterze granaty, które podpalały słomę, zalaną benzyną. Pożar nieuchwytnie przerzucał się na piętro, pojawiał się we wszystkich oknach, w których wisiały strzępy firanek, ogarniał strych i cała ulica zaczynała huczeć ogniem jak piec. Na innych ulicach w domach ukrywali się jeszcze ludzie; mam przyjaciela, asystenta matematyki, który skakał wraz z rodzicami z trzeciego piętra palącego się domu, uratował się cudem. Pamiętam, jak przed pożarem na „naszej", Dzikiej ulicy, przyprowadzono na podwórze, pod mur Pawiaka policjantów żydowskich. Spędzono ich między anemiczne krzaki bzów i kazano się rozebrać. Pomagali jeden drugiemu ściągać chromowe „oficerki" i świecąc białą bielizną, znikali pojedyńczo po drugiej stronie ulicy, w bramie przechodniej kamienicy, skąd co chwila rozlegał się tępy strzał z automatu. Zdrajcy narodu niemieckiego płacili zdrajcom narodu żydowskiego.

Właśnie po owej nocy kongresu ci, którzy są narodem niemieckim, złożyli hołd tym, którzy byli narodem żydowskim. Było deszczowe popołudnie, wiał ostry, jesienny wiatr. Ruiny getta, ponure, przysiadłe ku ziemi, straszyły człowieka, który tylko co wyrwał się z hali kongresu, oświetlonej reflektorami, pełnej gołębi pokoju, chorągwi i kwiatów. Delegacja niemiecka na II Światowy Kongres Pokoju złożyła tego popołudnia wieniec pod Pomnikiem Bohaterów Getta. Niósł go wspaniały bojownik o pokój, sekretarz generalny Niemieckiego Komitetu Pokoju, Willmann; niósł go wielki pisarz Arnold Zweig, niosła towarzyszka Elli Schmidt, przewodnicząca Demokratycznej Ligi Kobiet Niemieckich, które wysłały setki tysięcy pocztówek do Adenauera z protestem przeciw remilitaryzacji Niemiec Zachodnich. Był w tej delegacji pisarz, oficer Brygady Międzynarodowej w Hiszpanii i poeta, towarzysz jego walk; był dowódca krążownika „Emden" z pierwszej wojny światowej, który z oburzeniem zdemaskował czynione mu przez klikę z Bonn propozycje szkolenia kadr oficerskich dla najemnego żołdactwa z Trizonii; tradycja postępowej myśli mieszczańskiej łączyła się z kierowniczymi, rewolucyjnymi zdobyczami proletariatu: obok profesorów kroczyli młodzi chłopcy, przodownicy pracy w fabrykach i stacjach traktorowych, działacze młodzieżowi z Niemiec Zachodnich. Doktor Pawłow z Zachodniego Berlina niedawno został wypuszczony z więzienia za propagandę pokojową i opiekę nad bezrobotnymi Berlina Zachodniego; młody górnik z Westfalii trzydzieści siedem razy siedział po wojnie w przeróżnych więzieniach Niemiec Zachodnich za pracę wśród młodzieży, „podżeganie" do strajków o podwyżkę płac, udział w demonstracjach politycznych. Wiatr rozwiewał wstążki wieńca i przynosił z oddali szum traktorów, uprzątających gruzy, łopot niebieskich sztandarów z gołębiem Picassa, na wieżowcach świeciły się napisy „Pokój. Frieden. Mir" i migotały tysiące małych, biało-czerwonych chorągiewek, splecionych z flagami wszystkich narodów świata.

Tak samo kiedyś przedstawiciele narodu amerykańskiego złożą wieńce pod pomnikiem bohaterów Seulu i Phenjanu; tak samo naród francuski uczci poległych synów Viet-Namu, tak samo naród angielski dumny będzie z walki wyzwoleńczej narodów Malajów i Indii, Afryki i Azji. Trumani, podobnie jak Hitlerzy, przychodzą i odchodzą, ale narody, walczące o wolność, ale ludzkość, miłująca pokój — pozostają.

Tadeusz Borowski

JAN BRZECHWA

FRASZKA

Rzekł mały Adenauer w Bonn:
— To dobra jest robota,
Niech myślą: jednak duży on,
Skoro się porwał na Joliota.

MISTER ROGGE

Klient rzekł do adwokata:
— „Proszę, oto jest zapłata,
Musisz w moim interesie
Palnąć mówkę na Kongresie".

I już płatny kauzyperda
Przed klientem zadkiem merda,

Forsa wzięta, to rzecz święta!
Opłacony przez klienta
Radca prawny mister Rogge
Rzekł: „O, key!" i ruszył w drogę.

Klient płaci i wymaga,
Mister Rogge się nie wzdraga,
Na Kongresie palnął mówkę,
Długą mówkę za gotówkę,
Górnolotnie się wysławiał,
Tita chwalił i wysławiał,
Bronił Tita, w myśl rozkazu,
Po dolarze od wyrazu.

Pokój innych miał obrońców,
Co ze wszystkich świata końców
Przyjechali do Warszawy
Dla największej w świecie sprawy
A ich pracom pełnym chwały
Towarzyszył gołąb biały.

Gdy przemawiał mister Rogge
Cedząc swoje słówka droggie,
Gołąb mu na czubku głowy
Złożył bilet wizytowy.
Trudno! Gołąb, mister Rogge,
Też ma swoją fizjologgię.

Komentarze

Herman Hesse ostrzega

Herman Hesse, jeden z największych prozaików niemieckich, który od wielu lat mieszka w Szwajcarii wystosował do redakcji „Mannheimer Zeitung" w Niemczech Zachodnich list potępiający zbrodniczą propagandę wojenną. Hesse jest pisarzem mieszczańskim, dalekim od komunizmu, pisarzem unikającym problematyki politycznej. W rzeczonym liście, który przerywa długoletnie milczenie autora „Wilka stepowego", Hesse zwraca się do Niemców stref zachodnich. Czytamy w nim między innymi następujące słowa:

„Niewiele czasu upłynęło od okresu, w którym pozwoliliście propagandzie Hitlera tak długo napędzać sobie śmiertelne strachu przed bolszewikami, dopóki cały naród niemiecki nie był gotów obarczyć się brzemieniem nowej wojny. Tak jak ongiś, wyrażacie i teraz pełną obłędu wiarę i aprobatę reklamie i propagandzie ludzi, którzy są zainteresowani w wybuchu nowej wojny. Wojna nie spada z pogodnego nieba, lecz wymaga przygotowań. Przygotowują ją i sugerują ludzie i siły, którym przynosi ona korzyści. Wojna przynosi im bądź bezpośrednie zyski pieniężne, bądź też wzmacnia ich znaczenie, szacunek i potęgę, w czym na przykład zainteresowani są pozbawieni zajęcia generałowie i pułkownicy.

Sugestiom tych ludzi i grup, dla których wojna jest interesem, i to lepszym niż pokój, tym ludziom, którzy was zatruwają i uwodzą swoimi zaklęciami, ulegacie bez oporu. Tym samym bierzecie na siebie współodpowiedzialność za ewentualną wojnę.

My, przyjaciele pokoju i prawdy, nie powinniśmy dawać posłuchu ani pomagać tym kombinatorom; musimy zawsze dawać wyraz niewzruszonej wierze, że do pokoju wiodą inne drogi, a do zapewnienia ładu w świecie inne środki — niż bomby i wojna".

kst

Uratowany honor

W kraju, który eksportuje demokrację i gumę do żucia, przyłapano na gorącym uczynku niebezpiecznego zbrodniarza. Złoczyńcą jest docent Uniwersytetu Waszyngtońskiego James Sage, który zbierał podpisy pod apelem sztokholmskim. Sage został natychmiast usunięty z uniwersytetu i osadzony w więzieniu, gdzie przebywał do rozprawy sądowej.

Przed sądem oskarżał Sage'a prokurator Robert G. Novel, miotając na uczonego gromy oburzenia za jego działalność pokojową. Domagając się wyroku skazującego, oskarżyciel potępił Sage'a następującymi słowy:

„Przed wami stoi człowiek, który w Ameryce woła o pokój w czasach wojny. Czyż ten czyn nie świadczy o najgłębszej pogardzie dla całego naszego systemu i porządku publicznego, dla naszego rządu i całości naszego ustawodawstwa?".

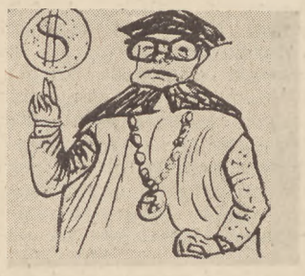

„Sąd" podzielił oburzenie prokuratora i skazał oskarżonego na zapłatę grzywny w wysokości czterystu dolarów. Za tę niewielką kwotę został uratowany honor amerykańskiego „systemu, porządku publicznego, rządu i ustawodawstwa". **rk**

Nieporozumienie

W 44-ym numerze „Tygodnika Powszechnego" ukazał się artykuł Leopolda Tyrmanda pt. „Lesseps życzliwy Warszawie".

Przeciętny warszawiak, znęcony obiecującym tytułem, w nadziei uzyskania nowych jeszcze oświetleń, dotyczących naszego miasta, czyta artykuł od deski do deski. Pierwsza część, operując ciekawym wstępem, zapowiada interesujące rozwinięcie tematu. Bo skoro twórca Kanału Sueskiego już w w. XIX wróżył wielkość Warszawie, to — oczekujemy teraz obrazu tej wizji ustokrotnionej historią lat następnych i tymi wszystkimi czynnikami, które nadały kształt i charakter nowym dziejom naszego miasta. Taką przynajmniej sugestię poddają nam uwagi autora artykułu, uzupełniające luki w „proroczym rozumowaniu" słynnego inżyniera. „Jakie mogą być elementy, nieodzowne dla stworzenia metropolii o wszech-europejskim znaczeniu?" — czytamy. Odpowiedź brzmi: „Po pierwsze miłość do miejsca i potężna wola jego rozwoju...

Po drugie — dostateczny zasób sił gospodarczych...

Po trzecie — element mglisty, „idealistyczny", relatywny i wieloznaczeniowy... który nazwać można „duszą miasta..."

Ponieważ sprawa zasobu sił gospodarczych i miłości swego miasta została skwitowana paroma zdaniami, oczekujemy jakiegoś potężnego ładunku od strony tego trzeciego, któremu autor wyznaczył funkcję wyrażenia spotęgowanej wizji Lessepsa. A więc najpierw dowiadujemy się, które miasta mają dusze, a które nie, i o tym, że Budapeszt jest piękny, a Paryż pełen czaru, ale nigdy, i to pod żadnym pozorem na odwrót. I, że czołową ekspozyturą Paryża wobec świata jest muzyka, teatr, moda i poezja i że mniej więcej tak samo jest z Wiedniem. Potem dowiadujemy się, że „dusza miasta" istnieć może tylko pojmowana psychicznie, stąd zasadniczy subiektywizm jej natury.

To niejako uspakaja, ale szkoda, że autor nie odniósł się konsekwentnie do swej własnej tezy i nie zaakcentował konkretnie i ściśle subiektywnego charakteru swojej pracy. Gdyby np. tytuł brzmiał: „Warszawa w moich oczach" lub „Moje wspomnienia" albo „Zapach Warszawy", czytelnik domyśliłby się od razu sensu całej koncepcji, a mianowicie chęci pogawędzenia o takich czy innych swoich odczuciach, tak czy owak określanych. Spiritus flat ubi vult — zostało niegdyś stwierdzone i każdy do tego odnosi się z szacunkiem. Ale jeżeli duch swobodnie wzlatujący pretenduje do obiektywizacji jakiegoś zagadnienia i to w dodatku tak czułego jak nasze miasto — budzi w bezpośrednim odbiorcy wyraźny niepokój.

Więc Warszawę, tę Warszawę, której dziejów i rozwoju nie umiał przewidzieć Lesseps, wyznaczając jej przecież bardzo poważną rolę w układzie spraw światowych, charakteryzuje drewniak Teatru Letniego, „Jedziemy dorożką w Aleje" lub „Madame Loulou", a jeżeli „Powstanie Listopadowe" to od strony „rzewnego zapachu", a jeżeli Bolesław Prus to od strony motywów wizualnych, doznań węchowych, wzrokowych, uczuciowych?!

Ogród Botaniczny jest ważny wskutek tego, że wywołuje u autora skojarzenie z książką Maine — Reid'a. To jest wzruszające i każdy z nas ma prawo do tkliwego hodowania skojarzeń, dotyczących dzieciństwa, ale cóż to ma wspólnego z Ogrodem Botanicznym naszej Stolicy? Czy autor pisał o sobie, czy o Warszawie? Bo przecież trudno zrozumieć dlaczego dla „duszy" Warszawy jest tak ważne wspomnienie składów firmy „Wacław Rago", choćby stanowiły one część jednego z popularniejszych fragmentów krajobrazu miasta.

Autor w zakończeniu artykułu wyjaśnia, że na termin „dusza miasta": — „składają się specyficzne cechy ludzi, domów, zapachów, murów, wrażeń, powietrza, słońca i Bóg wie jeszcze czego!..." Ale czytelnik warszawski wie przecie również, czego jeszcze i czego nie wolno było pominąć, pisząc obszerny, pretendujący do rzeczowej rozprawy artykuł o Warszawie. **zr**

Przez Białą Podlaske

Wczesnym rankiem dnia 16.XI br. wypadło mi spędzić blisko trzy godziny na Dworcu Głównym w Warszawie. Oczekiwałem pociągu, który miał przywieźć partię delegatów i gości na Kongres Pokoju. Pociąg ten został niespodziewanie zawrócony z drogi do Sheffield, nic więc dziwnego, że natrafił w drodze do Warszawy na rozmaite przeszkody, które spowodowały opóźnienie.

Z nudów zawsze snujących się po poczekalniach dworcowych zacząłem słuchać wszystkich zapowiedzi wygłaszanych przez megafon. Kolejowa obsługa informacyjna działa pod tym względem naprawdę świetnie. W odpowiednim czasie zapowiada się podstawienie, odejście, przybycie i ewentualne opóźnienie danego pociągu.

Wszystko byłoby w idealnym porządku, gdyby nie ta — „g i ę ś". Głos kobiecy, który rozlegał się z megafonu, uporczywie zmiękczał nazwy poszczególnych stacji według typu „gięś" i „Kiercelak". Okęcie było oczywiście „Okięciem". Czasem jednak odzywało się coś w rodzaju stanowczego zaprzeczenia własnym zasadom wymowy. Głos kobiecy zapowiedział twardo, że ten a ten pociąg pojedzie „przez Białą Podlaske".

Należy koniecznie przeszkolić personel obsługujący megafony na Dworcu Głównym w Warszawie. Na Dworcu Głównym w Warszawie głos przez megafon musi przemawiać wzorową polszczyzną. Bo jakbyśmy na przykład zareagowali, gdybyśmy w Krakowie lub Katowicach usłyszeli zapowiedź, że dany pociąg odjedzie „z czwartej sztreki", a nie z czwartego toru? **(si)**

JÓZEF PRUTKOWSKI

ŚMIERĆ I AGITATOR

Przyszła śmierć do agitatora
— Już pora!
Lecz agitator był bardzo zajęty
Sprawdzał afisze i transparenty.

Więc śmierć przyszła jeszcze raz
— Już czas!
Lecz agitator miał ważne zebranie
Na tym zebraniu referat o Planie.

Przyszła jutro, pojutrze...
A dni już coraz krótsze
Robotę na nowy pcha tor
Bez przerwy agitator.

Śmierć zygzak kosą kreśli
— Wezmę go — myśli — we śnie.
Lecz agitator nie śpi.
Za wcześnie...

Śmierć czuje bardzo źle się.
Zniknął gdzieś agitator,
A on siedzi na Kongresie,
Ale przed drzwiami zator.

Śmierć rzuca kosę i chustkę,
Ku wejściu pcha się śmiało.
— Obywatelko, przepustkę!
Nie miała.

Więc coraz bardziej się biesi
I mruczy Kyrie Elejson,
Lecz słyszy, że na Kongresie
Wszyscy przeciwko niej są.

Słucha bezbronna i wściekła
— Ale dopiekli mi tu!
Jak oparzona uciekła.
Podobno w stronę Wall Streetu.

„HIS MASTERS VOICE - KO"

Głos ich pana... *Rys. B. Linke*

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, ul. Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—; kwartalnie zł 9.—; półrocznie zł. 18.—; rocznie zł. 36.—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 5 zł. 40 gr. za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń „Czytelnik". Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

...owy Gaj".
...mia", wrzesień

Drukarnia Nr 3 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5